

# Głowy

## Bear Greg



calibre 0.9.43

# GREG BEAR

## *Głowy*

Porządek jest chłodem, polityka – pełną żaru pasją. Narzucanie niewłaściwego porządku skazuje na gniew, destrukcję, powolne konanie. Wszystko to stało się moim udziałem. Przeszedłem przez fizyczne i duchowe piekło, straciłem tych, których kochałem, musiałem też wyzbyć się złudzeń. W moich snach powraca uporczywie jeden tylko obraz: wielkie srebrzyste chłodnie wysokości czterech pięter, wiszące nieruchomo w mrocznej pustce Lodowej Komory; bezgłówna, ssąca energia pracujących bezustannie Pomp Chaosu; upiorne widmo mojej siostry, Rho, której ciało roztapia się, znika; wyraz twarzy Williama Pierce’a, gdy napotkał swe przeznaczenie, odchodząc w absolutną Ciszę.

Sądzę, że Rho i William nie żyją, choć nigdy nie będę tego całkiem pewien. Zupełnie też nie mam pojęcia, co stało się z czterystu dziesięcioma głowami.

Komora Lodowa znajdowała się na głębokości pięćdziesięciu metrów pod szaropopielatą powierzchnią regolitu1 Oceanu Burz, dokładnie w centrum rozległych i prawie całkiem pustych terytoriów Rodziny Sandoval. Powstała ona wskutek jednorazowej erupcji, jakby czknięcia wulkanu, które uformowało tę “bańkę” o szerokości prawie dziewięćdziesięciu metrów. Niegdyś była wypełniona wodą przesączającą się z pobliskiego lodospadu.

Komora tworzyła swego czasu kopalnię przynoszącą spory zysk. Znajdowało się tu jedno z najobfitszych na Księżycu złóż czystej wody w postaci lodowych brył, które jednak już dawno wyeksploatowano.

Rodzina, do której należę, Zjednoczona Mnogość Sandoval, nie pozbyła się Lodowej Komory, lecz zachowała ją, organizując tu stację hodowlaną przynoszącą jedynie straty. Było to zgodne z zasadą niepozostawiania żadnych członków Rodziny bez zajęcia. W stacji

zapewniano warunki życiowe trzydziestu kilku ludziom zamiast, trzystu zamieszkującym niegdyś to miejsce. Obecnie baza przedstawiała opłakany widok. Była źle zarządzana i straszliwie zaniedbana. Jej korytarze i pomieszczenia, a to najgorsze z punktu widzenia panujących na Księżycu obyczajów, raziły nieopisanym brudem. Sama Lodowa Komora świeciła pustkami, ponieważ nie wykorzystywano jej do żadnych rozsądnych celów. Już dawno wyparował wypełniający ją niegdyś azot, który zapewniał odpowiednią wilgotność. Dno Komory pokrywał skalny rumosz – skutek wstrząsów księżycowej powierzchni. Właśnie to niegościnne miejsce upodobał sobie mój szwagier, William Pierce, poszukując zera absolutnego, które jest ostateczną granicą porządku, spokoju i ciszy. Prosząc o możliwość użycia do tego celu Lodowej Komory, William zarzekał się, że przemieni jej skalny rumosz w brylanty odkryć naukowych. W zamian za udostępnienie mu tego pustkowiecia Zjednoczona Mnogość Sandoval będzie mogła poszczycić się poważnym projektem naukowym, co podwyższy status Rodziny w ramach Trójni, a w konsekwencji również jej pozycję finansową. Baza w Lodowej Komorze stanie się czymś więcej niż przestrzenią życiową kilkudziesięciu bezrobotnych górników, przebranych dla niepoznaki za farmerów. Zaś on, William Pierce, zyska coś niezaprzeczalnie swojego, inspirującego, w co będzie mógł zaangażować się bez reszty.

Moja siostra, Rho, wspierała męża jak mogła, używając przy tym całej energii i osobistego uroku oraz wykorzystując zaufanie naszego dziadka, dla którego była chodzącym ideałem.

Niezależnie od poparcia dziadka, całą koncepcję poddano szczegółowej analizie.

Zajęli się tym przedstawiciele Rodziny: finansisci i przedsiębiorcy, a także naukowcy oraz inżynierowie. Ci spośród nich, którzy pracowali niegdyś z Williamem, znali jego niezwykle uzdolnienia. Rho umiejętnie przeprowadzała projekt przez labirynt szczegółowych badań i

krytycznych obserwacji.

Losy projektu Williama ważyły się długo, ale w końcu przeszedł pomimo protestów finansistów i bardzo wstrzemięzliwego poparcia kręgów naukowych.

Przywódca naszej Zjednoczonej Mnogości, Thomas Sandoval-Rice, udzielił swojej zgody bardzo niechętnie, ale w końcu zatwierdził plan Williama. Musiał widocznie uznać, że ryzykowny i ambitny projekt badawczy może się przydać; czasy były ciężkie i wysoki prestiż miał rozstrzygające znaczenie nawet dla Rodziny znajdującej się prawie na szczycie hierarchii.

Thomas postanowił również użyć projektu jako swoistego poligonu dla zdolnych i obiecujących członków Rodziny. Rho, bez mojej wiedzy, wymieniła mnie wśród kandydatów na współpracowników projektu. Nagle okazało się, że muszę odegrać rolę znacznie przekraczającą moje możliwości zarówno jeśli chodzi o wiek, jak i doświadczenie. Zostałem mianowicie kierownikiem finansowym i głównym zaopatrzeniowcem nowej stacji badawczej.

Wskutek wstawiennictwa siostry, a także zobowiązany lojalnością wobec mojej Rodziny, musiałem przerwać naukę w Tranquil<sup>2</sup> i stawić się w Bazie Lodowej Komory.

Pierwsze wrażenia, jakie odniosłem, dalekie były od entuzjazmu. Czułem. Że moim powołaniem są raczej nauki humanistyczne, nie zaś finansowe i kierowanie

1 Regolit – zbiór luźnych cząstek mineralnych, pokrywających stały pokład skalny (przyp. tłum.)

2 Tranquil – chodzi o bazę umiejscowioną na Morzu Spokoju – Mare Tranquillitatis (przyp. tłum.)

przedsiębiorstwami. W oczach najbliższych marnowałem tu wiedzę, którą zdobyłem podczas studiów historii, filozofii oraz klasyków ziemskiej literatury i sztuk pięknych.

Mimo to czułem, że podołam nowym zadaniom. Miałem przecież duże uzdolnienia techniczne – w mniejszym stopniu dotyczyły one nauk teoretycznych – oraz, skromny co prawda, udział w prowadzeniu rodzinnych finansów. Chciałem, by wszystko się udało choćby

dlatego, żeby udowodnić rodzicom, że mój humanistyczny umysł jest w stanie tego dokonać.

Teoretycznie byłem szefem projektu Williama, odpowiadając osobiście przed finansowym kierownictwem Rodziny. Oczywiście William bardzo szybko znalazł sposób, by wtrącić tu swoje trzy grosze. Zdecydował o tym mój brak doświadczenia miałem wówczas zaledwie dwadzieścia lat, a William już trzydzieści dwa.

We wnętrzu Lodowej Komory stworzono warstwę izolacyjną przez spryskanie jej ścian pianką, która zawierała skalny pył. Chroniła ona nadającą się do oddychania atmosferę. Nadzorowałem te generalne porządki. Istniejące już pomieszczenia i korytarze zostały odremontowane, a we wnętrzu komory zainstalowano laboratorium zapewniające badaczom niemalże spartańskie warunki pracy.

Od czasów, gdy wydobywano tu lód, w tutejszej bazie przechowywane były gigantyczne chłodnie. Teraz przemieszczano je do wnętrza Komory. Zapewniały znacznie większą zdolność chłodzenia niż ta, której potrzebował William.

Wibracja powoduje wzrost temperatury. Dzięki temu, że generatory mocy Lodowej Komory znajdowały się na powierzchni, chłodnie i umieszczone w laboratorium urządzenia Williama były odizolowane od ich hałasu i wzbudzanego przez nie pogłosu. Absorpcję resztek wibracji, które mogły zagrozić urządzeniom, zapewniała skomplikowana sieć stalowych sprężyn oraz amortyzujące pole siłowe.

Także promienniki ciepłe Lodowej Komory znajdowały się w pobliżu powierzchni.

Zostały zainstalowane na głębokości sześciu metrów, w wiecznym cieniu, w szczelinach powierzchni Księżyca. Płaszczyzna radiacyjna każdego z nich skierowana była ku pochłaniającej wszystko pustce kosmicznej przestrzeni.

Od rozpoczęcia projektu minęły trzy lata, a William wciąż nie mógł uwieńczyć go sukcesem. Domagał się coraz dziwniejszego i droższego sprzętu. Coraz częściej też

spotykał się z odmową. W miarę upływu czasu stawał się samotnikiem ulegającym zmienności nastrojów.

Spotkałem Williama w przedsionku korytarza prowadzącego do Lodowej Komory, przy szybie głównej windy. Zwykle widywaliśmy się jedynie w przejściu, przemykając chłodnymi, wykutymi w skale korytarzami na trasie łączącej kabiny mieszkalne z laboratorium. Tym razem William miał ze sobą pudełko komputerowych plików pamięciowych oraz miedziany solenoid; wyglądał na względnie zadowolonego.

Był człowiekiem wysokim i smagłym. Miał około dwóch metrów wzrostu, głęboko osadzone, ciemne oczy, długi i wąski podbródek, cienkie wargi, wyraźny dołek w brodzie. Jego włosy i brwi wydawały się czarne niczym kosmiczna przestrzeń. Tylko wtedy, gdy pochłaniała go praca, bywał spokojny i cichy. Gwałtowność i szorstkość były dominującymi cechami Williama. Jeśli brał udział w spotkaniu czy dyskusji na ogólnoksiężycowej sieci łączności bez mitygującego opiekuna, swą popędliwością powodował nieomal samounicestwienie. Mimo to ludzie z najbliższego otoczenia Williama kochali go i obdarzali szacunkiem.

Wielu spośród inżynierów Rodziny Sandoval uważało, iż William jest geniuszem techniki, któremu posłuszne są wszelkie narzędzia i maszyny. W trakcie tych rzadkich chwil, kiedy dane mi było oglądać, gdy jego dłonie pianisty skłaniają aparaturę do działania jakby perswadując jej coś, jakby uwodząc mechanizmy swym delikatnym dotykiem, by dały się wkomponować w podporządkowaną jednemu wspólnemu celowi całość, byłem skłonny zgodzić się z opinią inżynierów. Mimo to bardziej kochałem Williama, niż darzyłem go szacunkiem.

Rho na swój historyczny sposób szalała za Williamem; poza tym, podobnie jak on, żyła jakby na przyspieszonych obrotach. Wydawało się cudem, że oboje są w stanie

współpracować ze sobą, i że ich energia psychiczna sumuje się.

Zrównaliśmy krok.

– Rho wróciła właśnie z Ziemi – powiedziałem. – Nadlatuje tutaj z Kosmoportu Jin.

– Odebrałem wiadomość – odparł William. Szedł szybko i energicznie. Kilkakrotnie

wybił się do skoku, muskając palcami sufit korytarza. Strącił rękawicą nieco pyłu z

pokrywającej go skalnej pianki. – Powinniśmy wezwać robotników, żeby to znów spryskali –

zauważył tonem roztargnionym, tak jakby nie zależało mu na tym, czy ktoś go słucha, czy

nie. – Wiesz, Mike, w końcu rozgryzłem tę maszynkę do logiki kwantowej. To, co przekazuje

mi interpretator, zaczyna mieć sens. Moje problemy są już rozwiązane.

– Zawsze tak mówisz, dopóki nie powstrzyma cię jakiś nowy, nie przewidziany efekt.

Zbliżyliśmy się do wielkich, okrągłych białych drzwi z płyty ceramicznej, będących

wejściem do Lodowej Komory. Stanęliśmy przy białej, namalowanej na podłodze przez

Williama trzy lata temu z charakterystycznym dla niego całkowitym brakiem delikatności.

Linia ta mogła zostać przekroczona jedynie na zaproszenie gospodarza i władcy tego miejsca,

którym był właśnie on.

Właz otworzył się i ciepły powiew z Lodowej Komory wypełnił korytarz. W jej

wnętrzu panowała zawsze wyższa temperatura niż na zewnątrz. Pracowało tam przecież całe

mnóstwo wytwarzającej ciepło elektronicznej aparatury. Mimo to powietrze z komory

pachniało chłodem; była to zagadka, której nigdy nie zdołałem rozwikłać.

– Udało mi się w końcu określić źródło ubocznego promieniowania – stwierdził

William. – To jakiś ziemski metal, w którym musi być zawartość pyłu radioaktywnego z

dwudziestego wieku. – Poruszył gwałtownie ręką. – Już zastąpiłem ten metal dobrą,

księżycową stalą. Zdołałem też właściwie podłączyć Kwantowego Logika. Udziela już

jasnych odpowiedzi na moje pytania... oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe w wypadku

logiki kwantowej. Proszę, nie niszczyć moich złudzeń akurat w tej chwili.

– Przepraszam.

Wielkodusznie wzruszył ramionami.

– Chciałbym zobaczyć, jak to wszystko działa – dodałem odważnie.

William zatrzymał się nagle. Twarz wykrzywił mu grymas irytacji. Najwyraźniej stracił dobry nastrój, jakby powróciła dawna apatia.

– Przepraszam cię, Mike. Jestem durniem. Walczyłeś przecież o nasz wspólny sukces.

Zasłużyłeś, żeby to zobaczyć. Chodź ze mną.

Wspólnie

przekroczyliśmy

białą

linię,

a

potem

przeszliśmy

przez

czterdziestometrowy, szeroki na dwa metry pomost ze stalowych belek wzmocnionych prętami. Po drugiej stronie znajdowała się Lodowa Komora.

William wysforował się nieco, wchodząc pomiędzy strefy oddziaływań Pomp Chaosu.

Zatrzymałem się na chwilę przy tych owalnych formach pokrytych warstwą brązu, zamontowanych po obu stronach mostka. Przypominały nieco rzeźby abstrakcyjne. Mimo swego pozornie nieużytecznego kształtu należały do najbardziej skomplikowanych i czułych urządzeń Williama. Pracowały nieprzerwanie, nawet wtedy, gdy nie były podłączone do submolekularnych czujników.



Przechodząc pomiędzy pompami doznałem dziwnego uczucia. Był to wewnętrzny skurcz lub drzenie, tak jakby moje ciało stało się nagle wielkim uchem wsłuchanym w coś, co można odróżnić od akustycznego tła jedynie z najwyższym trudem. Była to ledwie uchwytna, a jednak pochłaniająca wszystko cisza. William spojrzał na mnie i uśmiechnął się współczująco.

– Upiorne uczucie, nieprawdaż?

– Nienawidzę tego – zgodziłem się.

– Masz prawo, ale wiedz, że dla mnie to jest jak przepiękna muzyka... tak, to najpiękniejsza muzyka dla moich uszu.

Za Pompami Chaosu wisiała w przestrzeni Jama, połączona z mostem krótkim i wąskim chodnikiem. Była zamknięta w stalowej klatce Faradaya<sup>3</sup>. Wewnątrz niej znajdowała się kula o średnicy jednego metra, zrobiona z kwarcu w idealnym stanie skupienia. Kula ta była ponadto pokryta lustrzaną warstwą niobu. W środku, w każdej z ośmiu izolowanych cel o średnicy ludzkiego kciuka, znajdowało się mniej więcej tysiąc atomów miedzi. Każda z tych cel otoczona była przez osobny nadprzewodzący elektromagnes. Były to czujniki należące zarówno do mikro-, jak i makroświata, zdolne do detekcji makroskopowych temperatur, a równocześnie wystarczająco małe, by przynależeć do mikroskopijnej dziedziny zjawisk kwantowych. Nigdy nie pozwalano, by osiągnęły temperaturę wyższą niż milion stopni Kelvina.

Laboratorium znajdowało się w końcowej części mostu. Na skonstruowanej ze stali platformie udało się wygospodarować mniej więcej sto metrów przestrzeni użytkowej, osłoniętej ze wszystkich stron ścianą z tworzywa sztucznego.

Trzy spośród czterech potężnych agregatów chłodzących były podwieszane pod znajdującą się wysoko w górze kopułą Lodowej Komory na specjalnych, tłumiących wibrację

resorach i linach, wspomaganych przez pole antygravitacyjne. Wyglądały niczym filary jakiejś świątyni w tropikalnym lesie, wylaniające się spomiędzy dżungli przewodów i kabli. Ciepło, uboczny produkt pracy tych urządzeń, było transportowane elastycznymi przewodami poprzez rozpiętą pod kopułą siatkę, chroniącą laboratorium przed odłamkami skał. Dalej przechodziło przez skalną piankę, którą pokryto wewnętrzną stroną kopuły, aż do zainstalowanych w szczelinach na powierzchni promienników cieplnych, ekspediujących ów zbędny produkt w przestrzeń.

Czwarty, ostatni, a zarazem największy z agregatów chłodniczych znajdował się wprost ponad Jamą i był zainstalowany na górnej powierzchni kwarcowej kuli. Z pewnej odległości agregat chłodniczy i Jama przypominały razem nieco spłaszczony termometr rtęciowy starego typu, przy czym Jama mogła odgrywać rolę bańki na rtęć.

Laboratorium miało kształt litery “T” i składało się z czterech pomieszczeń, z których dwa tworzyły kreskę pionową, pozostałe dwa – położone po bokach – poziomą. Minęliśmy z Williamem drzwi laboratorium, a właściwie zastępującą je elastyczną zasłonę, i weszliśmy do pierwszego pomieszczenia. Wypełniały je: niewielki metalowy stół oraz krzeselko,

3 Klatka Faradaya – osłona elektrostatyczna w postaci gęstej siatki metalowej, chroniąca urządzenia przed

zewnątrznymi polami elektrostatycznymi i magnetycznymi (przyp. tłum.)

zdemontowane złącze logiczne<sup>4</sup>, pracujące w odstępach nanosekundowych<sup>5</sup> oraz szafki pełne kostek do złączy i dysków komputerowych. W następnym pokoju znajdowała się wielka platforma, którą prawie w całości zajmował sztuczny mózg, zwany przez Williama Kwantowym Logikiem. Wokół pozostało jedynie około pół metra wolnego miejsca.

Na ścianie po lewej stronie znajdował się – obecnie rzadko używany – pulpit sterowania ręcznego oraz dwa okna, za którymi była widoczna Jama. W pokoju tym panowały cisza i chłód. Właśnie ze względu na spokój i bezruch przypominał on nieco

klasztorną celę.

Niemal od początku funkcjonowanie swego projektu William utrzymywał w przedstawicielach Rodziny przekonanie, że jego urządzenia nie mogą być odpowiednio sterowane ani przez najsprawniejszych operatorów, ani najbardziej nawet skomplikowany komputerowy system kontroli. Oczywiście czynił to za pośrednictwem moim oraz Rho, ponieważ nigdy nie pozwolilibyśmy, żeby sam, we własnej osobie, rozmawiał z oficjelami. Wszystkie niepowodzenia związane z projektem – jak twierdził, gdy był w ponurym nastroju – sprowadzały się w gruncie rzeczy do jednej przyczyny: niemożności dostosowania się jakichkolwiek makroskopowych kontrolerów do spektrum wielkości kwantowych, w których operowały czujniki.

Tym, czego potrzebował William – a właściwie czego potrzebował projekt – był sztuczny mózg, posługujący się logiką kwantową. Tego rodzaju urządzenia produkowano wyłącznie na Ziemi, a tam obowiązywał zakaz ich eksportu. Ze względu na bardzo niewielką produkcję, nie były one dostępne na czarnym rynku Trójni, koszty zaś ich kupna oraz frachtu na Księżyc z pominięciem zwykłych procedur celnych były kolosalne. Ani ja, ani nawet Rho, nie byliśmy w stanie przekonać przedstawicieli Rodziny, aby zdecydowali się na taki wydatek. Miałem wrażenie, że William wini za to osobiście mnie.

Przełomem stała się dla nas wiadomość, że jedno z azjatyckich konsorcjów przemysłowych oferuje nieco zdezaktualizowany model sztucznego mózgu tego właśnie typu. William zdecydował, że owo urządzenie będzie wystarczające do zaspokojenia potrzeb projektu, mimo iż ten model określano mianem “przestarzały”. Było ono również podejrzanie tanie i prawie na pewno nie należało do nowoczesnych. William zupełnie nie był tym zmartwiony.

Ku zaskoczeniu wszystkich przedstawiciele Rodziny zaaprobowali ten wydatek.

Najprawdopodobniej był to swego rodzaju ostatni podarunek Sandovala-Rice'a dla Williama,

4 Złącze logiczne – układ do przetwarzania informacji za pomocą sygnałów dwuwartościowych (przyp. tłum.)

5 Nanosekunda – 10<sup>-6</sup> sekundy (przyp. tłum.)

a zarazem swoisty test, któremu poddawał on kierownika projektu. Miało to oznaczać, że jeśli złoży on zapotrzebowanie na jakiegokolwiek kolejne kosztowne urządzenie, nie zarysowując równocześnie perspektywy sukcesu swoich badań, Lodowa Komora zostanie po prostu zamknięta.

Rho wybrała się na Ziemię, żeby ubić interes z azjatyckim konsorcjum. Sztuczny mózg został zapakowany i wysłany. Dotarł na Księżyc sześć tygodni przed naszą wspólną wizytą w Lodowej Komorze. Od czasu zakupu aż do wiadomości z Kosmoportu Jin nie miałem od Rho żadnej informacji na temat jej spodziewanego powrotu z Ziemi. Spędziła tam cztery dodatkowe tygodnie, a ja byłem bardzo ciekaw, co też mogła porabiać w tym czasie.

William pochylił się nad platformą i z dumą poklepał sztuczny mózg.

– Nie wyłączam go prawie nigdy – powiedział. – Jeśli odniesiemy sukces, będzie to w dużej mierze zasługą Kwantowego Logika.

Samo urządzenie zajmowało około jednej trzeciej powierzchni platformy. Poniżej znajdowały się autonomiczne układy zasilania sztucznego mózgu. Zgodnie z obowiązującym w Trójni prawem, wszystkie urządzenia były wyposażone w układy zasilania zdolne do całorocznej pracy bez uzupełniania energii z zewnątrz.

Pochyliłem się nad sztucznym mózgiem, wpatrując się w biały cylindryczny pojemnik, stanowiący jego osłonę.

– Jakby co, to kto dostanie Nobla: ty czy Logik? – zapytałem.

William potrząsnął głową przecząco.

– Przecież nikt spoza Ziemi nie dostał jeszcze Nobla – odparł. – Oczywiście, będę

miał swój udział w ewentualnym sukcesie – dodał po chwili – gdyby nie ja, to skąd Logik mógłby się dowiedzieć, jaki problem należy rozwiązać?

Poczułem wdzięczność dla swojego szwagra za to, że odpowiedział sympatycznie na mój zjadliwy docinek.

– A co powiesz na temat tego? – delikatnie dotknąłem palcem interpretatora.

Zajmował drugą połowę platformy i był połączony z Logikiem za pomocą światłowodów grubości pięści. Sam interpretator był również rodzajem sztucznego mózgu. Przyjmował on zawile rozważania Kwantowego Logika i tłumaczył je tak wiernie, jak to tylko było możliwe, na zrozumiały dla ludzi język.

– Interpretator...? Sam w sobie jest nieledwie cudem.

– Powiedz mi coś o nim.

William spróbował mnie zbesztać.

– Widać, że nie przestudiowałeś plików – zarzucił mi.

– Byłem zbyt zajęty użeraniem się z przedstawicielami Rodziny, żeby cokolwiek studiować – odparłem z zimną krwią. – Poza tym sam przecież wiesz, że teoria nie jest moją najmocniejszą stroną.

William przyklęknął naprzeciw mnie, za platformą. Wyglądał na zamyślonego i pełnego czci dla spraw, o których zamierzał mówić.

– Czytałeś kiedyś o Huang-Yi Hsu?

– Opowiedz mi o nim – odparłem cierpliwie. William westchnął.

– Możesz za to zapłacić jeszcze większą niewiedzą, Mike. Mógłbym na przykład teraz całkowicie wprowadzić cię w błąd.

– Ufam ci, William – powiedziałem po prostu.

Zgodził się z tym wspaniałomyślnie, choć nie bez widocznego powątpiewania,

zapewne dotyczącego moich możliwości zrozumienia jego wywodów.

– Otóż Huang-Yi Hsu wynalazł swoją post-boole'owską 6 trójwartościową logikę jeszcze przed rokiem 2010. Do 2030 nikt nie zwrócił na nią większej uwagi. W tym czasie sam Huang-Yi Hsu już nie żył. Wolał popełnić samobójstwo, niż pogodzić się z Rządami Siedmiu, ustanowionymi przez Bei-dzinga. Ten Hsu był genialnym facetem, ale jego sposób myślenia wydawał się wówczas kompletnie zwariowany. Dopiero później kilku fizyków z Grupy Laboratoryjnej Kramera na Uniwersytecie Waszyngtońskim odkryło, że mogą zastosować to, co wymyślił Hsu, do rozwiązywania problemów logiki kwantowej. Okazało się, że logika post-boole'owska i kwantowa są jakby dla siebie stworzone. Około roku 2060 zbudowany został pierwszy sztuczny mózg, posługujący się logiką kwantową. Nie uznano tego jednak za sukces.

Na szczęście obowiązywał już wówczas zakaz wyłączania bez zezwolenia sądowego sztucznych mózgow, które zostały wcześniej aktywowane. Ale akurat z tym mózgiem nikt nie mógł się dogadać. Nie był w stanie zrozumieć żadnego z ludzkich języków, bo ich logika różniła się zasadniczo od jego sposobu myślenia. Mike, ten umysł był dla ludzi całkowitą zagadką; wiedzieli, że jest genialny, ale nie udawało im się przeniknąć do jego wnętrza. Stał więc bezużytecznie w jednym z pomieszczeń Centrum Rozwoju Sztucznym Mózgów Uniwersytetu Stanford, dopóki Roger Atkins... wiesz chyba, kto to był Roger Atkins?

– William... – odezwałem się błagalnie.

– No tak... a więc stał tam, dopóki Atkins nie wynalazł podstawy wszelkich systemów realnej logiki czynnościowej, Świętego Graala myśli i języka, krótko mówiąc – interpretatora 6 Logika post-boole'owska – logika posługująca się inną liczbą wartości niż dwie; George Boole, twórca nowoczesnej logiki matematycznej, potraktował logikę formalną jako przykład algebry dwuelementowej.

UTWL. Jego Uniwersalny Tłumacz Wszystkich Logik pozwolił ludziom przemówić wreszcie do Kwantowego Logika. To był, niestety, łabędzi śpiew Atkinsa – William westchnął. – Zmarł rok później. A zatem – kontynuował mentorskim tonem – to – poklepał dłonią interpretator, płaskie, szare pudełko o powierzchni około piętnastu i wysokości mniej więcej dziewięciu centymetrów – pozwala nam przemawiać do tego – dotknął Kwantowego Logika. – Dlaczego nikt do tej pory nie użył Kwantowego Logika jako operatora innych urządzeń? – zapytałem.

– Ponieważ Kwantowy Logik, a w każdym razie ten Kwantowy Logik, nawet zaopatrzonego w interpretator, jest kompletnym dziwolągiem, nie nadającym się prawie do współpracy – William stuknął w przycisk dysплеja i na powierzchni sztucznego mózgu pojawiła się wielobarwna seria pasków oraz gmatwanina jakichś wykresów. – Właśnie dlatego był taki tani. Nie uznaje żadnych priorytetów, nie ma najmniejszego poczucia konieczności zaspokajania potrzeb swojego użytkownika czy osiągnięcia jakichś celów. Myśli, ale wcale nie musi czegokolwiek rozwiązywać. Kwantowy Logik może jakby naszkicować samą istotę problemu, zanim zrozumie jego źródła i pytania, na które należy odpowiedzieć. Z naszego punktu widzenia wszystko, co robi, to jeden wielki bałagan. Bardzo często formułuje on na przykład rozwiązanie jakiegoś problemu, który nie został jeszcze postawiony. Potencjalnie jest w stanie robić wszystko oprócz linearnego rozumowania, zgodnego z jednokierunkową strzałką czasu. Co najmniej połowa jego wysiłków jest bezsensowna z punktu widzenia istot takich jak my: rozumujących i działających w sposób celowy. Mimo to nie mogę eliminować tych jego prób, jak przerośniętych gałęzi żywopłotu, ponieważ wiem, że gdzieś pośród nich leży rozwiązanie moich problemów, nawet jeśli jeszcze nie sformułowałem żadnego z nich lub też nie uświadamiam sobie w ogóle ich istnienia. Tak, Mike, to jest właśnie inteligencja post-boole’owska. Mimo, że Kwantowy Logik funkcjonuje

w czasie i przestrzeni, całkowicie ignoruje stwarzane przez nie ograniczenia. Jest po prostu “dostrojony” do logiki zupełnie innego *continuum* czasoprzestrzennego: *continuum*

Planca-Wheelera. Tam właśnie znajduje się rozwiązanie mojego problemu.

– Na kiedy wyznaczyłeś termin decydującej próby?

– Za trzy tygodnie lub wcześniej, jeśli nie będzie żadnych innych przeszkód.

– Czy jestem zaproszony?

– Dla wszystkich niedowiarków przygotowałem siedzenia w pierwszym rzędzie –

odparł. – Odezwij się do mnie, kiedy Rho już tu będzie. Powiedz jej, że złapałem byka za rogi.

Moje biuro znajdowało się przy granicy północnego obszaru uprawy, w odizolowanej, cylindrycznej komorze, która służyła kiedyś jako zbiornik skroplonej wody. Wielkość tego pomieszczenia znacznie przekraczała moje potrzeby. W gruncie rzeczy było ono olbrzymie, tak że moje łóżko, biurko, szafki z segregatorami oraz pozostałe umeblowanie zajmowało jedynie niewielki jego fragment, mniej więcej pięć metrów kwadratowych w pobliżu drzwi.

Wszedłem tam, usadowiłem się w wygodnym fotelu z poduszek powietrznych, wywołałem na ekranie Giełdę Trójni – kursy walut w obszarze ekonomicznym Wielkich Planet, obejmującym Ziemię, Księżyc i Marsa. W ten sposób zaczęła się moja codzienna kontrola stanu finansowego trustu Sandoval. Właśnie przez takie wrózenie z fusów mogłem zwykle szacować roczne fundusze operacyjne Lodowej Komory.

Godzinę później na Amortyzatorze Czwartym wylądował prom z moją siostrą na pokładzie. Byłem właśnie pochłonięty oceną stopnia realizacji nakładów inwestycyjnych trustu, kiedy Rho odezwała się do mnie na drugim kanale łączności. Okazało się, że William nie odpowiada na swoim.

– Mike, pogratuluj mi! – usłyszałem jej uradowany głos. – Mam coś naprawdę



kapitalnego.

– Pewnie jakiś nowy ziemski wirus, na który nie jesteśmy uodpornieni – stwierdziłem.

– Mike, to poważna sprawa.

– William prosił, żebym przekazał ci, że jest bardzo blisko rozwiązania.

– To dobrze. A teraz posłuchaj...

– Gdzie jesteś?

– W windzie dla personelu. Posłuchaj mnie...

– Tak?

– Ile dodatkowej pojemności chłodzącej ma William w swoich lodówkach?

– Naprawdę tego nie wiesz?

– Proszę cię, Mike...

– Około ośmiu bilionów kalorii. Wiesz przecież, że nie mamy tu problemów z pojemnością chłodzącą.

– Przywiozłam ładunek o objętości dwudziestu metrów sześciennych. Zakładam, że ma gęstość wody z dużą zawartością tłuszczu. Czy to byłby mniej więcej dziewiąty stopień chłodzenia? Ładunek jest zanurzony w płynnym azocie o temperaturze sześćdziesięciu stopni Kelvina. Dobrze by było, gdyby udało się go jeszcze bardziej schłodzić, zwłaszcza jeśli zdecydujemy się na przechowywanie tego przez dłuższy czas.

– Co to jest? Przeszmuglowałaś supernowoczesne mikroobwody, które ocalą księżycowy przemysł?

– Chciałbyś, co? Nie, to nie jest nic aż tak niebezpiecznego. Chodzi o czterdzieści dość starych pojemników Dewara<sup>7</sup>. Są zrobione z nierdzewnej stali i wyposażone w izolację próżniową.

– Czy w środku jest coś, czym mógłby się zainteresować William?

– Wątpię. Jak sądzisz, czy mogłabym od razu skorzystać z tej dodatkowej pojemności chłodzącej?

– William nigdy nie wykorzystał tych dodatkowych możliwości, nawet gdy zaczynało mu jej brakować. Ale nie wydaje mi się, żeby akurat teraz był w nastroju do...

– Spotkajmy się w domu. Będziemy mogli razem pójść do Williama i powiedzieć mu o tym.

– Chyba raczej “poprosić go” – sprostowałem/

– Nie. Właśnie “powiedzieć” – twardo oznajmiła Rho. Dom Rodziny Pierce-Sandoval znajdował się mniej więcej dwie przecznice na południe od mojego biura, w niewielkiej odległości od plantacji, opodal przyjemnego, ogrzewanego, dwa razy szerszego niż zwykle otworu odkrywkowego dawnej kopalni, którego gładkie białe ściany pokryte były sproszkowaną skałą. Dopiero pół godziny po naszej rozmowie z Rho dotknąłem dłonią tabliczki identyfikacyjnej na drzwiach tego domu, pozostawiwszy mojej siostrze czas na odświeżenie się po podróży z Krateru Kopernika, która zwykle była niezbyt luksusowa. Gdy wszedłem, Rho wyłoniła się z niszy kąpielowej swojego mieszkania ubrana w mechaty zawój z księżycowej bawełny, określane tu słowem *zaftig*. Wstrząsnęła głową, odrzucając na plecy pukle swych pięknych, długich rudych włosów i znaczącym gestem wyciągnęła w moją stronę jakąś broszurę.

– Słyszałeś kiedyś o Towarzystwie Ochronnym “Gwiezdny Czas”? – spytała, podając mi bardzo stary druk oprawiony w błyszczącą folię.

– Papier – stwierdziłem, delikatnie zważywszy go w ręce. – Prawdziwy, solidny papier.

– Na Ziemi mieli tego pełne pudła. Cały ich stos znajdował się w zakurzonej kącie jednego z ziemskich biur. To pozostałości po najlepszym, platynowym okresie w ich historii.

Wiedziałeś o tym?

7 Pojemnik Dewara – naczynie o podwójnych, posrebrzanych od wewnątrz ściankach, spomiędzy których

wypompowano powietrze (przyp. tłum.).

– Nie – odparłem, przeglądając pobieżnie broszurę. Zobaczyłem tam mężczyzn i

kobiety w oszronionych kostiumach; szklane pojemniki wypełnione tajemniczą mgłą; puste pomieszczenia, które chłód pokrył delikatnym niebieskim odcieniem. Była tu też reprodukcja obrazu przedstawiającego przyszłość widzianą oczyma artysty z początków dwudziestego pierwszego wieku: powierzchnia Księżyca z dziwaczными, przejrzystymi kopułami. Pod nimi, jakby pod gołym niebem, znajdują się budowle. “Oferujemy Ci zmartwychwstanie w czasach spełnienia marzeń rodzaju ludzkiego, czasach dojrzałości i cudów...” – głosił podpis pod obrazkiem.

– Zamrożone ciała – wyjaśnił Rho, gdy stałem tak z niewyraźną miną

– Ach, więc to tak – skonstatowałem z westchnieniem.

– Społeczność, która miała składać się z trzystu siedemdziesięciu jednostek. Przyjęli jeszcze pięćdziesiąt dodatkowych przed ostatecznym terminem zamknięcia w 2064 roku.

– Czteryśta dwadzieścia zamrożonych ciał? – spytałem.

– Tylko głów – sprostowała. – Czteryśta dwadzieścia indywidualnych istot ludzkich, które poddały się dobrowolnej dekapitacji. Każde z nich zapłaciło za to wówczas pół miliona ziemskich dolarów. Przetrwało czteryśta dziesięć, co stanowi liczbę doskonale mieszczącą się w ramach udzielonych przez firmę gwarancji.

– Masz na myśli to, że oni zostali ożywieni? – spytałem, nie wierząc własnym uszom.

– Ależ nie... – odparła, pogardliwym spojrzeniem kwitując moją ignorancję. – Chyba

wiesz o tym, że nikomu jeszcze nie udało się przywrócić do życia hibernowanej ludzkiej istoty. To jest czteryśta dziesięć ludzkich jednostek, które można ożywić jedynie teoretycznie.

Nie możemy ich reaktywować, ale Zjednoczona Mnogość Cailetet posiada doskonale rozwinięte możliwości przechowywania ludzkich mózgów i badania ich za pomocą skanera.

– Słyszałem o tym, ale sądziłem, że dotyczy to żywych ludzi.

Niecierpliwym gestem oddaliła moje obiekcje.

– A czy nie słyszałeś przypadkiem, że Zjednoczona Mnogość Onnes posiada nowe procesory logiczne dla całych grup ludzkich języków wewnętrznych? Studiujesz przecież na bieżąco kopie ich zapotrzebowań finansowych nadchodzące z banków centralnych, prospekty patentowe. Nie wiesz nic na ten temat?

– Słyszałem coś o ich osiągnięciach na tym polu.

– Jeżeli to prawda i jeżeli uda nam się wypracować porozumienie pomiędzy trzema Zjednoczonymi Mnogościami, to dajcie mi tylko parę tygodni czasu, a będę mogła odczytać zawartość pamięci tych głów. Będę mogła powiedzieć wam, jakie są ich wspomnienia i o czym myśleli w swym aktywnym życiu. Będę w stanie to uczynić, nie naruszając ani jednego zamrożonego neuronu. Możemy to zrobić wcześniej niż ktokolwiek na Ziemi i gdziekolwiek w znanym Kosmosie.

Spojrzałem na nią w sposób, który, jak się obawiam, nie wyrażał w pełni braterskiego szacunku dla jej osoby.

– Bardzo stary i przykurzony pomysł – powiedziałem.

– To własny mózg powinieneś oczyścić z kurzu, Mike – odparła. – Mówię zupełnie poważnie. Głowy są już w drodze tutaj. Podpisałam zobowiązanie, że trust Sandoval zajmie się ich przechowywaniem.

– Podpisałaś kontrakt w imieniu Zjednoczonej Mnogości? – złapałem się za głowę.

– Mam na to pozwolenie.

– Kto tak powiedział? Jezu Chryste, Rho, zrobiłaś to nie porozumiewając się z nikim...

– Mike, to będzie największa antropologiczna rewelacja w całej historii Księżyca!

Pomyśl, czterysta dziesięć ziemskich głów...

– Umarlaki! – zachnąłem się.

– Tak, ale idealnie zachowani w bardzo niskiej temperaturze. W najgorszym wypadku mógł nastąpić minimalny rozkład.

– Ale, Rho – nie wytrzymałem. – Komu są potrzebne te zamrożone głowy?

– Musiałam licytować się z czterema innymi antropologami, żeby je zdobyć. Trzech spośród nich było z Marsa, a jeden z któregoś z pomniejszych planet.

– Licytować się? – spytałem nieprzytomnie.

– Wygrałam – pochwaliła się Rho.

– Nie miałaś aż takich pełnomocnictw.

– Owszem, miałam, zgodnie z kartą ochrony dóbr Rodziny. Wystarczy do niej zajrzeć.

“Wszyscy członkowie rodziny i ich uznani spadkobiercy – i tak dalej, i tak dalej – mają wolną rękę w wydawaniu pieniędzy – oczywiście w granicach przyzwoitości – w celu ochrony wszelkich świadectw i innego rodzaju spuścizny Rodziny, a także ochrony dobrego imienia oraz dóbr materialnych należących do wszystkich jej uznanych spadkobierców” – zacytowała.

Zamurowało mnie.

– Co? – zapytałem zszokowany. Jej pełne triumfu spojrzenie było niczym wzrok drapieżnika.

– Robert i Emilia Sandoval – powiedziała niespiesznie – jak zapewne pamiętasz, zmarli na Ziemi. Oboje byli członkami Towarzystwa “Gwiezdny Czas”.

Szczęka opadła mi całkowicie. Wiedziałem oczywiście, że Robert i Emilia Sandoval, nasi prapradziadowie, byli pierwszymi ludźmi, którzy kochali się na Księżycu. Dziewięć miesięcy później stali się pierwszymi rodzicami na Srebrnym Globie, dając życie naszej

prababci Deirdre. Gdy oboje byli już nieco starszawi, powrócili na Ziemię – do Oregonu w starych, dobrych Stanach. Dziecko pozostało na Księżycu.

– Oboje wstąpili do Towarzystwa Ochronnego “Gwiezdny Czas”. Uczyniło to wówczas wielu słynnych ludzi – stwierdziła Rho.

– A zatem...? – spytałem niecierpliwie. Moja ciekawość dosięgła szczytu.

– Muszą być w tej grupie. To zagwarantowane przez Towarzystwo.

– Rozalindo, co mówisz?! – wykrzyknąłem, zupełnie jakbym dowiedział się właśnie, że umarł ktoś bliski. Poczulem nagle na swych barkach brzemień przeznaczenia, które rządzi losem pokoleń. – Czy oni powrócą do życia?

– Nie przejmuj się – uspokoiła mnie. – Nikt o tym nie wie oprócz powierników Towarzystwa, mnie... a teraz także ciebie.

– Prapradziadunio i praprababunia... – skonstatowałem z niesłabnącym zdumieniem.

Rho uśmiechnęła się do mnie uśmiechem, który zawsze powodował, że miałem ochotę ją uderzyć.

– Czyż to nie wspaniałe? – spytała.

William pochodził z nie zjednoczonej księżycowej rodziny – Pierce’owie zamieszkiwali Bazę Badawczą Numer Trzy w Kraterze Kopernika. Jednak nawet nie zrzeszona rodzina księżycowa nie składa się wyłącznie z osób wywodzących się od jednej matki i jednego ojca, lecz stanowi ściśle związaną społeczność osadników sponsorowanych z jednego źródła. Wspólnota ta w pocie czoła ryje pod powierzchnią, zakłada nowe obszary uprawy, powiększając terytorium i pomnażając zaludnienie Srebrnego Globu. Poszczególni członkowie tej społeczności z reguły zachowują swoje nazwiska bądź przydomki, ale deklarują wierność wobec głównej rodziny nawet wtedy, gdy – jak czasami się zdarzało – wszyscy jej członkowie już zmarli.

Podobnie jak nasza rodzina, Zjednoczona Mnogość Sandoval, Pierce'owie należeli do piętnastki rodzin, które w pierwszej kolejności osiedliły się na Księżycu, w roku 2019. Jak twierdzą nieoficjalnie opowieści z początków księżycowego osadnictwa, byli oni dość dziwną społecznością: trzymali się zawsze na uboczu i niechętnie kontaktowali z nowymi osadnikami. Rodziny, które na początku osiedliły się na Księżycu – zwane Pierwszymi – rozproszyły się po całej jego powierzchni, nawiązując i zrywając przymierza ewentualnie łącząc się, pod wpływem presji Ziemi, w związki ekonomiczne nazwane później Zjednoczonymi Mnogościami. Pierce'owie nie połączyli się z żadną z powstających Mnogości, chociaż nawiązywali luźne przymierza z innymi rodzinami.

Rodziny nie połączone w Mnogości zwykle nie prosperują dobrze. Pierce'owie stracili swe wpływy, mimo że należeli do grupy Rodzin Pierwszych. Skompromitowali się ostatecznie współpracą z rządami ziemskich państw w czasie Rozłamu. Ziemia zerwała wtedy związki z Księżycem, by ukarać nas za naszą zarozumiałość wyrażającą się w dążeniu do niepodległości. Od tego czasu na wiele dziesięcioleci Pierce'owie i im podobni stali się kimś w rodzaju społecznych wyrzutków.

W przeciwieństwie do nich, zjednoczone superrodziny znakomicie poradziły sobie ze spowodowanym przez Rozłam kryzysem.

Pierce'owie i większość podobnych im nie zjednoczonych rodzin, kierowani ubóstwem i urazą do Zjednoczonych Mnogości, w roku 2094 zaoferowali swoje usługi francusko-polskiej stacji technologicznej w Kraterze Kopernika i w ten sposób ostatecznie włączyli się w główny nurt porozłamowej ekonomiki Księżyca.

Mimo to potomkowie Pierce'ów aż do dnia dzisiejszego spotykali się z przejawami wyczuwalnych uprzedzeń ze strony księżycowej społeczności. Zyskali nie dobrą sławę nieokrzesanej bandy i przestawali wyłącznie sami ze sobą we wnętrzu oraz wokół stacji w

Kraterze Kopernika.

Te uwarunkowania w oczywisty sposób wpłynęły na Williama, gdy był dzieckiem, i spowodowały, iż stał się człowiekiem nieodgadnionym.

Gdy moja siostra spotkała Williama na tańcach w Kraterze Kopernika, poderwała go.

On był zbyt nieśmiały i pełen uprzedzeń, by przegadać ją. W końcu poprosiła go, by jako jej mąż stał się członkiem Zjednoczonej Mnogości Sandoval. William musiał potem wytrzymać szczegółowe badanie swojej osoby przez dziesiątki podejrzliwych i niezdecydowanych przedstawicieli Rodziny.

Williamowi brakowało instynktownego niemal dążenia do życia w harmonii ze zbiorowością, charakteryzującego każde dziecko wychowane w Zjednoczonej Mnogości; w epoce bezwzględny jednostek, doskonale przystosowanych do jeszcze bardziej bezwzględnych i wymagających społeczności, on był samotnikiem: porywczym, lecz sentymentalnym, lojalnym, lecz krytycznym, błyskotliwym, ale skłonny jednocześnie do podejmowania zadań tak trudnych, iż wydawało się, że jego przeznaczeniem jest zawsze przegrywać.

W czasie tych pełnych napięcia miesięcy William pod nieustanną opieką Rho dał jednak błyskotliwe przedstawienie, narzucając sobie uprzejmy i pełen pokory sposób bycia. Spowodowało to, iż został przyjęty do Zjednoczonej Mnogości Sandoval.

Rho była kimś w rodzaju księżycowej księżniczki. Genetycznie pochodziła z rodu Sandoval, będąc w prostej linii praprawnuczką Roberta i Emilii Sandoval. Jej przyszłość stanowiła przedmiot troski zbyt wielu osób, w związku z czym Rho przyjęła postawę pełnego przekory indywidualizmu. Fakt, iż związała się z kimś takim, jak przedstawiciel rodziny Pierce'ów, był – biorąc pod uwagę jej charakter i wychowanie – zarówno możliwy do przewidzenia, jak i szokujący.



Jednak dawne uprzedzenia z czasem znacznie osłabły. Pomimo wątpliwości nadopiekuńczych “ciotek” i “wujków” Rho oraz napięć związanych z wprowadzaniem do rodziny i ślubem, a także pomimo sporadycznych powrotów do swego szorstkiego sposobu bycia, William wkrótce okazał się cennym uzupełnieniem naszej rodziny. Był błyskotliwym projektantem i teoretykiem. Przez cztery lata wspierał w istotny sposób wiele spośród naszych naukowych przedsięwzięć; jednak fakt, iż był jedynie pomocnikiem, człowiekiem pełniącym rolę w pewnym sensie usługową, musiał głęboko ranić jego godność.

Miałem piętnaście lat, gdy Rho i William pobrali się, dziewiętnaście zaś, gdy mój szwagier ostatecznie zerwał ze swoją mniej lub bardziej służalczą maską, prosząc o możliwość kierowania eksperymentem w Lodowej Komorze. Nigdy nie zrozumiałem w pełni ich wzajemnej fascynacji; księżycowa księżniczka zwabiona przez potomka rodziny banitów. Ale jedno było pewne: cokolwiek William uczynił, by rozpałcić w Rho uczucia dla siebie, ona odpłaciła mu za to z nawiązką.

Pomogłem Rho przygotować argumenty do ewentualnej dyskusji i po godzinie wyruszyliśmy wspólnie do Lodowej Komory.

Miała absolutną rację: jako Sandovalowie mieliśmy obowiązek chronić dobre imię Zjednoczonej Mnogości Sandoval oraz jej spadkobierców, co – zgodnie nawet z najsurowszą logiką prawa – obejmowało założycieli rdzennej gałęzi naszego rodu.

Całkiem inną sprawą było to, że mieliśmy równocześnie przyjąć czterysta osiem całkiem obcych jednostek... Ale jak słusznie zauważyła Rho, bardzo trudno jest obecnie jakiegokolwiek społeczności sprzedawać pojedynczych zamrożonych ludzi. Oczywiście nikomu nie przyszłoby do głowy, że sprowadzanie na Księżyc takiej obfitości możliwej do wykorzystania informacji jest złym pomysłem. Stara, znużona Ziemia już ich nie chciała; byli dla niej jedynie dodatkowymi zamrożonymi ciałami na świecie, który dosłownie dusił się od

ich nadmiaru. Te były jedynie anonimowymi głowami, ściętymi na początku dwudziestego pierwszego wieku. Były pozbawione jakiegokolwiek przynależności państwowej, niemalże wyjęte spod prawa. Nie obejmowały ich żadne normy ludzkie, z wyjątkiem ochrony wynikającej z faktu zapłacenia pieniędzy oraz istnienia chylącej się ku upadkowi fundacji “Gwiezdny Czas”.

Towarzystwo Ochronne o tej nazwie *de facto* nie sprzedawało nikogo ani niczego. Po prostu przekazywało swoich członków, ruchomości oraz zobowiązania Zjednoczonej Mnogości Sandoval do czasu całkowitego rozpadu pierwotnej społeczności zamrożonych głów; mówiąc krótko, po stu dziesięciu latach Towarzystwo w końcu wypływało brzuchem do góry niczym śnięta ryba. Bankructwo było przestarzałym terminem; teraz określało się to mianem “całkowitego wyczerpania zasobów i środków”. Niech i tak będzie; w końcu gwarantowało swoim członkom założycielom tylko sześćdziesiąt jeden lat czulej i pełnej miłości opieki. Po upływie tego czasu można ich było z powodzeniem ogrzać do temperatury pokojowej.

– Społeczności założone w latach 2020 i 2030 ogłosiły, że ich limit przechowywania wyczerpie się całkowicie w ciągu dwóch–trzech lat – stwierdziła Rozalinda. – Ale do tej pory tylko jedna społeczność pochowała swoich umarłaków. Większość wykupili przedsiębiorcy handlujący informacją albo uniwersytety.

– Ktoś z nich ma nadzieję, że na tym skorzysta? – spytałem.

– Nie bądź zbyt hałaśliwy, Mike – powiedziała. Jak zdołałem wywnioskować, to jej określenie oznaczało niezdolność do przetwarzania informacji na wartościową wiedzę. – Oni nie są zwykłymi martwymi ludźmi – to gigantyczne biblioteki. Ich wspomnienia są teoretycznie nie naruszone, przynajmniej w tym stopniu, w jakim śmierć i choroba pozwoliły na to. Degradacja ich umysłów wynosi prawdopodobnie około pięciu procent; możemy użyć

algorytmów naturalnych języków ludzkich, by zredukować tę degradację do około trzech procent.

– To bardzo hałaśliwe – stwierdziłem.

– Nonsens. Te zarejestrowane przez mózg koleje losu mogą być użyteczne. Natomiast twoje własne wspomnienia z siódmych urodzin uległy już piętnastoprocentowej degradacji.

Spróbowałem przypomnieć sobie swoje siódme urodziny, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Dlaczego akurat to? Co zdarzyło się w czasie moich siódmych urodzin?

– Nic ważnego, Mike – odparła Rho.

– No więc komu jest potrzebny ten rodzaj informacji? Jest zdezaktualizowana, hałaśliwa, trudno będzie ujawnić jej pochodzenie... i niewiele łatwiej sprawdzić ścisłość.

Zatrzymała się i zmarszczyła brwi. Była wyraźnie wytracona z równowagi.

– Sprzeciwiasz mi się w tej sprawie, prawda?

– Rho, jestem odpowiedzialny za finanse projektu. Muszę stawiać głupie pytania. Jaką wartość mogą mieć dla nas te głowy, nawet jeśli uda nam się wydobyć z nich informacje? A poza ty – gestem ukazałem, że zbliżam się do puenty – co stanie się, jeśli wydobycie informacji z mózgow okaże się niszczące dla ich tkanki? Nie możemy zrobić sekcji tych głów

– przyjąłś przecież określone warunki kontraktu.

– W ubiegłym tygodniu z Tampa na Florydzie kontaktowałam się z Mnogością Cailetet. Powiedzieli mi, że szansa odtworzenia wzorów neuronów i ich dynamicznych stanów na podstawie badania zamrożonych głów bez jakiegokolwiek ingerencji wynosi około osiemdziesięciu procent. Bez żadnych mikroskopowych iniekcji, bez najdelikatniejszego nawet uszczyplenia. Oni są w stanie przebadać dokładnie każdą molekułę we wszystkich tych głowach nie naruszając nawet pojemników, w których są zamknięte.

Niezależnie od tego, jak dziwaczne były koncepcje Rho, zawsze planowała je dokładnie. Skłoniłem głowę w geście rezygnacji i podniosłem rękę, poddając się.

– W porządku – powiedziałem. – To rzeczywiście fascynujące. Możliwości, które się przed nami otwierają są...

– ...ośniewające – dokończyła za mnie Rho.

– Ale kto kupi od nas informacje o znaczeniu wyłącznie historycznym?

– To są najświetniejsze umysły dwudziestego wieku – powiedziała Rho. – Możemy zacząć sprzedawać udziały w naszych przyszłych osiągnięciach.

– Jeżeli uda się ożywić te głowy – odparłem. Osiągnęliśmy już białą linię, wymalowaną na podłodze przez Williama, i zbliżaliśmy się do wielkiego porcelanowego włazu zamykającego Lodową Komorę. – W tej chwili nie są ani zbyt aktywne, ani zbyt twórcze – zauważyłem złośliwie.

– Wątpisz w to, że uda nam się ożywić je w przyszłości – może za dziesięć lub dwadzieścia lat?

Potrząsnąłem głową z powątpiewaniem.

– Już sto lat temu zastanawiano się nad możliwością ożywiania. Jednak nawet najwyższej jakości mikroskopowe narzędzia chirurgiczne nie były w stanie temu podołać. Skomplikowaną maszynę można wypolerować do połysku, przygotować ją do pracy tak, że wszystko wewnątrz niej będzie do siebie pasowało, ale jeśli nie wiadomo, gdzie nacisnąć, żeby zadziałała... Wiele czasu upłynie, zanim ujrzy się światełko w tunelu.

Rho dotknęła dłonią zabezpieczenia włazu. William nie spieszył się z odpowiedzią na sygnał.

– Jestem optymistką – stwierdziła Rozalinda. – Zawsze nią byłam.

– Rho, jestem teraz zajęty – powiedział William przez komunikator.

– Na litość boską, Williamie. To ja, twoja żona; nie było mnie przez trzy miesiące –

Rho mówiła z żartobliwą urazą, nie wydawała się zirytowana. Właz otworzył się i ponownie poczułem zapach chłodu w powietrznym prądzie z wnętrza Lodowej Komory.

– Te głowy są bardzo stare – kontynuowałem, przekraczając przedsionek razem z

Rho. – Musiałyby od nowa nauczyć się myślenia, nauczyć wszystkiego. Są to

prawdopodobnie mózgi ludzi podstarzałych, rozumujących nieelastycznie... Ale wcale nie to stanowi największą przeszkodę; największą trudność stanowi fakt, że są martwe.

Zamiast odpowiedzi wzruszyła ramionami i energicznie przeszła przez pomost ze

stali. Powiedziała mi kiedyś, że William, w chwilach największego napięcia i frustracji, lubił kochać się z nią na tym pomoście. W związku z tym zastanawiałem się nad kwestią drgań wzbudzonych.

– Gdzie personel? – spytała.

– William powiedział, że mogę zwolnić tych ludzi. Stwierdził, że już ich nie potrzebujemy, kiedy Kwantowy Logik wszystko kontroluje.

Przez trzy lata pracowaliśmy z grupą młodych techników, wybranych spośród wielu innych rodzin zamieszkałych wokół Oceanu Burz. Dwa dni po zainstalowaniu Kwantowego Logika William poinformował mnie, że dziesięciu naszych kolegów nie będzie już nam potrzebnych. Powiedział mi to z bezwzględną szczerością i nie owijał w bawełnę, że to właśnie ja będę musiał zająć się zerwaniem kontraktu.

Jego argumentacja była trudna do podważenia; Kwantowy Logik nie będzie potrzebował ludzkiej pomocy a przeznaczone na nią środki finansowe będziemy mogli zużyć na inne cele. Pomimo instynktownego przekonania, że ten krok niej jest zgodny z dobrymi manierami współżycia księżycowych rodzin, nie mogłem przeciwstawić się Williamowi w tej kwestii. Uwagi zachowałem więc dla siebie i spróbowałem stłumić impuls gniewu lub

skierować go ku innemu celowi.

Rho przesunęła się pomiędzy podwójnymi korpusami Pomp Chaosu, pochyliwszy się na chwilę, jakby pod wrażeniem dużych umiejętności technicznych swego męża lub też na skutek efektu, jaki Pompy Chaosu wywierały na jej ciało. Ze współczuciem spojrzała przez ramię.

– Biedny Mike – stwierdziła.

William otworzył drzwi i rozłożył ramiona tak, jakby apodyktycznie nakazywał Rho, by weszła w jego objęcia; przytulił żonę.

Kocham swoją siostrę. Nie wiem, czy to jakaś perwersyjna zazdrość, czy też szczere pragnienie jej pomyślności powodowało, że zawsze odczuwałem niepokój, widząc Williama obejmującego Rho.

– Mam coś, co może nam się przydać – powiedziała moja siostra, spoglądając na męża z żarliwą adoracją, która wyrównywała wszelkie między nimi różnice.

– Tak? – spytał William, w którego oczach malowała się rezerwa. – Co to jest?

Leżałem w łóżku, niezdolny do usunięcia z myśli bezgłośnego ssania Pomp Chaosu; doznawałem czegoś w rodzaju oczyszczenia ciała. Po okresie intensywnego wysiłku zacząłem pogrążyć się w swojej zwykłej księżycowej drzemce; w półsennej malignie obraz Williama obejmującego Rho mieszał mi się z uczuciem, jakiego doznawałem, gdy Pompy Chaosu obejmowały mnie swoim zasięgiem; myślałem też o reakcji Williama na rewelację Rho, co przywołało uśmiech na moją twarz; w końcu zasnąłem.

William nie wydawał się zadowolony z tego, co zrobiła Rho. Dla niego była to niepotrzebna ingerencja w tok badań; tak, miał dodatkową pojemność chłodzącą; tak, jego procesory mogły obecnie zostać użyte do stworzenia bezpiecznych warunków przechowania głów w Lodowej Komorze; jednak akurat teraz nie chciał żadnego dodatkowego stresu,

niczego, co odwracałoby jego uwagę od bliskiego już celu.

Rho przekonywała Williama, używając charakterystycznej dla niej mieszanki szczerego przekonania i determinacji. Porównywałem zawsze moją siostrę z ludźmi obdarzonymi przez naturę silnym duchem, którzy wstrząsają biegiem dziejów; z tymi, którzy swym irracjonalnym uporem zmieniają kurs ludzkich rzek... na dobre, czy na złe – o tym najczęściej trudno zdecydować nawet następnym pokoleniom.

Oczywiście William w końcu ustąpił. Ostatecznie przyznał, że będzie to dla niego niewielki kłopot: surowce potrzebne do tego przedsięwzięcia mogą zostać sfinansowane z funduszu wypadków nadzwyczajnych, zgromadzonego przez Zjednoczoną Mnogość Sandoval; być może będzie nawet w stanie wycisnąć, w ramach odwzajemnienia się za przysługę, nieco pożytecznego sprzętu, którego mu odmówiono z powodów czysto fiskalnych.

– Oczywiście, robię to głównie przez wzgląd na twoich czcigodnych przodków – zastrzegł się William.

Głowy zostały przywiezione pięć dni później przez prom z Kosmoportu Jin. Wraz z Rho kontrolowałem wyładunek pojemników na Amortyzatorze Czwartym położonym najbliżej wejścia do windy prowadzącej do Lodowej Komory. Głowy, zapakowane w sześciennie stalowe pudła, wyposażone we własne zamrażarki, zajmowały nieco więcej miejsca, niż to pierwotnie oceniała Rho. Po załadowaniu sześciu transporterów i po siedmiu godzinach od momentu lądowania cały transport znajdował się w windzie towarowej.

– W Zjednoczonej Mnogości Nernst zamówiłam projekt specjalnej konstrukcji ochronnej, którą zbudują automaty Williama – powiedziała Rho. – A przez następny tydzień głowy będą mogły zostać tutaj – stuknęła palcem w najbliższy pojemnik, jej twarz rozjaśniła się uśmiechem poprzez szybę hełmu.

– Mogłaś wybrać kogoś tańszego – stwierdziłem zrzędlwym tonem. W ciągu ostatnich kilku lat Nernstowie zdobyli niczym nie uzasadniony, wysoki status; osobiście wybrałem jakąś bardziej rozsądną Zjednoczoną Mnogość o porównywalnych zdolnościach technicznych.

– Dla naszych przodków wszystko, co najlepsze – odparła Rho. – Chryste, Mike, pomyśl o tym.. – odwróciła się w stronę pojemników ustawionych w pierścieniu wewnątrz kolistej windy. Ze skierowanej ku środkowi windy ścianki każdego z pudeł wystawał charakterystyczny kształt agregatu chłodniczego. Zjechaliśmy w dół szybu. Nie widziałem twarzy Rho, ale w jej głosie słyszałem emocję. – Pomyśl o tym, Mike, co będzie, kiedy naprawdę zyskamy dostęp do nich...

Przespacerowałem się wokół pierścienia pojemników i pomiędzy nimi. Były ze staroświeckiej, jasnej stali wysokiej jakości, pięknie ukształtowane i doskonale zespawane.

– Mamy tu mnóstwo gadatliwych staruszków – stwierdziłem.

– Mike... – zbeształa mnie łagodnie. Wiedziała, że coś rozważam.

– Czy one mają tabliczki identyfikacyjne – spytałem.

– To jest pewien problem – przyznała Rho. – Mamy listę nazwisk, a wszystkie pojemniki są ponumerowane; jednak “Gwiezdny Czas” nie gwarantuje, że nazwiska i numery dokładnie sobie odpowiadają. Najwyraźniej po terminie zamknięcia społeczności w rejestry wkradł się błąd.

– Jak to mogło się stać? – spytałem, zdziwiony bardziej brakiem profesjonalizmu niż oczywistym “nadprogramowym” rozwijaniem społeczności.

– Nie mam pojęcia – odparła Rho.

– A co będzie, jeśli okaże się, że “Gwiezdny Czas” narobił też dużo innych głupot i na przykład głowy naprawdę są tylko fragmentami ciał umarłaków?



Rho wzruszyła ramionami. Zrobiła to tak zdawkowo, jakby po wszystkich staraniach, po wydaniu części z trudem zarobionego kapitału Rodziny Sandoval, fakt ten mógłby nie okazać się katastrofalny. Skuliłem się ze strachu.

– Będzie to oznaczać, że straciliśmy trochę pieniędzy – stwierdziła. – Ale nie sądzę, żeby zrobili aż takie głupstwo.

Na dnie szybu powoli wyrównały się ciśnienia we wnętrzu i na zewnątrz windy. Rho uważnie obserwowała pojemniki, wypatrując najmniejszych śladów ich odkształcenia. Nie dostrzegła niczego; głowy były zapakowane po mistrzowsku.

– Ludzie ze Zjednoczonej Mnogości Nernst mówią, że na zbudowanie bariery ochronnej maszyny Williama będą potrzebowali około dwóch dni. Czy mógłbyś nadzorować tę budowę? William odmawia...

Ściągnąłem hełm, strząsnąłem nieco księżycowego pyłu z butów o wylot rury próżniowej i uśmiechnąłem się z przygnębieniem.

– Jasne – powiedziałem. – Nie mam nic lepszego do roboty.

Rho położyła dłonie w próżniowych rękawicach na moich ramionach.

– Mike, braciszku...

Patrzyłem na pojemniki, a moje zaintrygowanie wzrastało w sposób zatrważający. Co będzie, jeśli głowy w ich wnętrzu nadal żyją i będą w stanie – na swój sposób charakterystyczny dla pół-nieboszczyków – opowiedzieć nam o swoim życiu? To będzie coś nadzwyczajnego. Wydarzenie historyczne. Zjednoczona Mnogość Sandoval może zyskać dzięki temu rozgłos, co znajdzie swój wyraz w eskalacji naszej wartości w obrębie sieci Trójni.

– Zajmę się tym nadzorem – obiecałem. – Ale ty skłoń Zjednoczoną Mnogość Nernst, by wysłali tutaj człowieka, a nie tylko automat inżynierski. To powinno znaleźć się w

kontrakcie na ten projekt; chciałbym, żeby ktoś z ich strony osobiście kontrolował wykonanie.

– Nie mam obawy – odparła Rho. – Uścisnęła mnie szybko dłonią już bez rękawicy, ale w przylegającym do skóry kostiumie. – Zaczniemy to przetaczać! – zakomenderowała, kierując pierwszy wózek z ułożonymi na nim pojemnikami przez otwarte drzwi windy w stronę obszaru składowego Lodowej Komory. Tam głowy będą przechowywane w najbliższym czasie.

Pierwsza zapowiedź kłopotów pojawiła się szybko. Janis Granger, zastępczyni Fiony Task-Felder odwiedziła nas zaledwie sześć godzin po rozładowaniu głów.

Zaniedbałem poinformowania Rho o tym, co zdarzyło się w księżycowej polityce od czasu jej odlotu na Ziemię. Chodziło o wybór Fiony Task-Felder na przewodniczącą Rady Mnogości, co, jak sędzę, jeszcze rok temu nie byłoby możliwe.

Janis Granger wyraziła życzenie spotkania z nami poprzez przedstawiciela

Zjednoczonej Mnogości Sandoval, rezydującego w Kosmoporcie Jin. Zgodziłem się na spotkanie, mimo że nie miałem najmniejszego nawet pojęcia, czego miałyby dotyczyć.

Trudno odmawiać propozycji spotkania, która wyszła od przedstawicielki przewodniczącej Rady. Jej prywatny prom wylądował na Amortyzatorze Trzecim sześć godzin po tym, jak wyraziłem swoją zgodę.

Przyjąłem ją w moim skromnie urządzonej, ale przestronnym oficjalnym biurze w obszarze nadzoru upraw.

Janis Granger miała dwadzieścia siedem lat, czarne włosy, euroazjatyckie rysy i amerindyjską skórę; wszystkie te cechy idealnie ze sobą harmonizowały. Była ubrana w doskonale czyste, niemal wymuskane drelichowe intensywnie niebieskie spodnie i białą bluzę z kołnierzykiem wykończonym koronką, której ozdoby tworzyły zmienny wzór delikatnych

białych figur geometrycznych. Fiona była nie tylko szefem, ale i “siostrą” Janis, ponieważ obie należały do Zjednoczonej Mnogości Task-Felderów.

Task-Felderowie byli rodziną założoną na Ziemi jako księżycowa Zjednoczona Mnogość, co stanowiło procedurę tak niezwykłą, że przed pięćdziesięcioma laty ludzie otwierali usta ze zdumienia. Przypuszczalnie wszyscy członkowie tej Mnogości wywodzili się z sekty Logologów, a w każdym razie nikt nie wiedział o żadnych wyjątkach od tej zasady. Task-Felderowie byli jedyną Zjednoczoną Mnogością ufundowaną na zasadach religijnych, z tych właśnie przyczyn znajdowali się poza węzłem wzajemnych relacji księżycowych i byli raczej bezsilni w księżycowej polityce, jeśli polityką można nazwać owo wspólne dążenie do korzyści, wzajemnych uprzejmości i współpracy wewnątrz niewielkich społeczności w obliczu oczywistych nacisków finansowych.

Logologowie ze Zjednoczonej Mnogości Task-Felderów pieczołowicie doglądali swoich interesów; odgrywając rolę księżycowych biznesmenów, zwracali uwagę na najdrobniejsze szczegóły i jakość swoich produktów, a także starannie rozdzielali względy oraz pożyczki innym Mnogościom i ich Radzie. W nieprawdopodobnym tempie torowali sobie drogę po szczeblach drabiny poważania i szacunku wśród księżycowych rodów, wierząc równocześnie w prawdy, od których innym włos zjeżyłby się na głowie.

– Mam przy sobie raport Rady o stanie realizacji projektu – oświadczyła Janis Granger, sadowiąc się z gracją na krześle naprzeciwko mnie. Nie siedziałem za biurkiem; miejsce za nim było zarezerwowane do prowadzenia pertraktacji przed podpisywaniem kontraktów oraz do ubijania różnego rodzaju interesów finansowych.

– Chciałabym przedyskutować z panem ten raport, ponieważ to właśnie pan zarządza największym projektem naukowym, który jest aktualnie realizowany przez Zjednoczoną Mnogość Sandoval.

Słyszałem coś o tym raporcie Rady; w fazie wczesnych projektów wydawał się kolejnym nieszkodliwym układem, świadczącym o aprobachie Zjednoczonych Mnogości dla naszych działań.

– Mamy zgodę najważniejszych Zjednoczonych Mnogości na to, by konsultować z sobą nawzajem projekty, które mogą wpłynąć na pozycję Księżyca w Trójni – stwierdziła Janis Granger.

“Dlaczego nie poszła z tym do pełnomocników rodziny w Kosmoporcie Jin? Dlaczego przebyła całą tę drogę, aby porozmawiać ze mną?” – pomyślałem.

– W porządku – powiedziałem na głos. – Przypuszczam, że przedstawicielka Mnogości Sandoval przeglądała tę umowę.

– Zrobiła to. Powiedziała mi, że w związku z umową może powstać spór dotyczący waszego bieżącego projektu, a nie projektu podstawowego. Poradziła mi, żebym wysłała przedstawiciela przewodniczącej Rady, by z panem porozmawiał; zdecydowałam, iż jest to tak ważne, że powinnam przyjechać osobiście.

Janis Granger miała w sobie wewnętrzną siłę, którą przypominała mi Rho. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Nie uśmiechała się. Pochyliła się do przodu, przez cały czas trzymając łokcie na poręczach krzesła, i powiedziała dobitnie:

– Rozalinda Sandoval podpisała kontrakt na sprowadzenie ziemskich zamrożonych głów.

– Podpisała – zgodziłem się. – Nawiasem mówiąc jest moją rodzoną siostrą.

Janis Granger zamrugała powiekami. U członka Zjednoczonej Mnogości zorientowanego na wartości rodzinne podobne stwierdzenie wywołałoby uprzejmą uwagę:

“Co nowego w pańskiej gałęzi rodziny?” Jednak Granger nie bawiła się w uprzejmości.

– Czy planujecie ożywienie ich? – zapytała w końcu.

– Nie – odparłem. – Na razie – odpowiedziałem w myśli. – Liczymy na przyszły wzrost ich wartości.

– Jeśli nie zostaną ożywione, ich przyszła wartość będzie zerowa.

Pokręciłem głową przecząco.

– To jest wyłącznie nasz problem – stwierdziłem.

– Rada wyraziła opinię, że ten precedens może doprowadzić w przyszłości do zalania naszego rynku zamrożonymi głowami. Patrząc realnie, Księżyc nie będzie w stanie przyjąć stu tysięcy zamrożonych ciał. To może doprowadzić do gigantycznego finansowego drenażu.

– Nie widzę w tym żadnego precedensu – powiedziałem, zastanawiając się, do czego zmierza Janis Granger.

– Zjednoczona Mnogość Sandovala to wielka rodzina. Macie wpływ na nowo powstające rodziny i nowe gałęzie rodów. Już w tej chwili otrzymaliśmy informację, że dwie inne Mnogości rozważają podpisanie analogicznych umów, gdyby okazało się, że jest w tym jakieś ziarno prawdy. Obie skontaktowały się już ze Zjednoczoną Mnogością Cailetet.

Przypuszczam, że Rozalinda Sandoval-Pierce próbowała podpisać z Cailetetami oficjalny kontrakt na wyłączność. Czy zatwierdził pan to wszystko?

Oczywiście nie zrobiłem tego. Rho nie powiedziała mi, że działa tak szybko. W rzeczywistości nie zdziwiło mnie to. Był to logicznie uzasadniony, kolejny krok w jej planie.

– Nie dyskutowałem z nią o tym. Na ten projekt miała aprobatę pierwszego stopnia ze strony Mnogości.

Najwyraźniej stwierdzenie to zaskoczyło Janis Granger.

– Statutowy priorytet Zjednoczonej Mnogości?

– Tak.

– Dlaczego?

Nie widziałem powodu, żeby wyjawiać tajemnice rodziny. Mój instynkt mówił mi, że jeśli ona jeszcze nie wie, to nie ma powodu, by w ogóle się dowiadywała.

– To tajemnica gospodarcza.

Janis Granger spojrzała w bok i zastanawiała się nad tym niepokojąco długo; potem przeniosła wzrok na mnie.

– Mnogość Cailletet zwróciła się do Rady z prośbą o sformułowanie opinii. Wydała oficjalne oświadczenie wyrażające dezaprobatę. Uważamy, że tego rodzaju transakcje mogą ujemnie wpłynąć na notowania naszej waluty w obrębie Trójni. Obecnie na Ziemi zamrożone głowy są przedmiotem silnych animozji moralnych i religijnych; ożywianie głów zostało zakazane przez siedem wspólnot narodowych. Sądzymy, że to wzięliście pod uwagę.

– My tak nie sądzymy – odparłem.

– Niezależnie od tego Rada rozważa wydanie rozporządzenia zakazującego przechowywania oraz użytkowania zamrożonych głów w jakikolwiek sposób.

– Przepraszam – powiedziałem. Sięgnąłem przez biurko do mojej tabliczki szyfrowej managera. – Autodoradca, proszę – głośno wyraziłem życzenie. Nie chcąc, by Janis Granger to słyszała, wystukałem szyfrowane instrukcje prosząc o opinię prawną na temat zarysowanej przez moją rozmówczynię możliwości.

– Nielegalne, zgodnie z bieżącym stanem prawnym – odpowiedział szybko autodoradca, podając stosowne cytaty.

– Nie wolno krępować swobody autonomicznej uprzywilejowanej Zjednoczonej

Mnogości – powiedziałem. Odczytałem stosowne ustępy – Trzydzieste piąte Porozumienie

Wzajemnej Korzyści linijka 2111, z odniesieniem do porozumienia Rodzin

Uprzywilejowanych, linijka 2120.

– Sztuczny mózg naszej Rady wyraził opinię, że jeśli wystarczająca liczba

Zjednoczonej Mnogości będzie przekonana, iż nie wie dostatecznie dużo o waszych działaniach i jeśli ich rezultat finansowy może zrujnować którąkolwiek z uprzywilejowanych Zjednoczonych Mnogości Pierwszego Rzędu, wasza swoboda może zostać ograniczona. Tym razem była moja kolej, by zrobić przerwę i przemyśleć wszystko, co zostało powiedziane.

– W takim wypadku możliwe, że Rada będzie musiała to przedyskutować – stwierdziłem.

– Przykro by mi było powodować aż takie zamieszanie – odparła Janis Granger. – Być może bylibyśmy w stanie osiągnąć porozumienie poza Radą.

– Nasi przedstawiciele mogą przedyskutować to z wami – zgodziłem się. Mój kręgosłup negocjatora stawał się stopniowo coraz twardszy. – Ja jednak sądzę, że powinno to zostać otwarcie przedstawione na posiedzeniu Rady.

Uśmiechnęła się. Jeżeli, jak twierdzą Logologowie, ich filozofia znosi wszelkie ludzkie ograniczenia, to obserwując Janis Granger byłem zdecydowanie przeciwny tego rodzaju korzyściom, wynikającym z przyjęcia ich wiary. Stopień jej samokontroli świadczył o tym, że w istocie nie ma czego kontrolować: ani przelotnych napadów zdenerwowania, ani też prawdziwej, niebezpiecznej pasji. Była zupełnie jak automat. Kiedy na nią patrzyłem, ciarki przechodziły mi po krzyżu.

– Jak pan sobie życzy – powiedziała. – To naprawdę niewielki problem i nie jest wart wiele zachodu.

“Po co więc zawracać sobie głowę?” – Zgadza się z tym – powiedziałem. – Wierzę, że Zjednoczone Mnogości mogą rozwiązać to w swoim gronie.

– Rada reprezentuje Zjednoczone Mnogości – stwierdziła Janis Granger.

Grzecznie pokiwałem głową. W tej chwili pragnąłem tylko jednego: by znalazła się

poza moim biurem i jak najdalej od Stacji Lodowej Komory.

– Dziękuję za to, że poświęcił mi pan czas – powiedziała wstając. Odprowadziłem ją do windy. Nie pożegnała się; uśmiechnęła się jedynie nieodgadzionym uśmiechem manekina.

Powróciwszy do biura, nadałem do Kosmoportu Jin życzenie spotkania się tam z Thomasem Sandoval-Rice'em. Potem połączyłem się z Rho i Williamem. Na wezwanie odpowiedziała Rho.

– Mike! – usłyszałem jej głos – Mnogość Cailetet właśnie potwierdziła nasz kontrakt.

Zaniemówiłem na chwilę.

– Przepraszam, co...? – odezwałem się, zmieszany.

– Nad czym tak ubolewasz? To bardzo dobra wiadomość. Sądzę, że są w stanie poradzić sobie. Powiedzieli, że to dla nich coś w rodzaju wyzwania. Chcą podpisać kontrakt na wyłączność.

– Rozmawiałem właśnie z Janis Granger.

– Kto to jest?

– Należy do Mnogości Task-Felderów. Jest współpracowniczką przewodniczącej Rady – odparłem. – Zamierzają spróbować nas powstrzymać.

– Powstrzymać Zjednoczoną Mnogość Sandoval? – roześmiała się Rho, sądząc, że żartuję.

– Nie. Chodzi im o powstrzymanie naszego projektu dotyczącego głów.

– Nie są w stanie tego zrobić – powiedziała, najwyraźniej nadal ubawiona.

– Prawdopodobnie nie. W każdym razie będę musiał skontaktować się z naszym dyrektorem.

Myślałem nad tym, co powiedziała mi Rho. Jeśli Mnogość Cailetet potwierdziła nasz kontrakt, oznaczało to, że albo nie kłopotczą się debatą Rady, albo...



Albo Janis Granger kłamała w rozmowie ze mną.

– Mike, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem – odparłem. – Postaram się odrzucić tę piłkę. Nowa przewodnicząca Rady pochodzi z Mnogości Task-Felderów. Powinnaś zwracać uwagę na te sprawy, Rho.

– Kto tu maści wodę? Nie mieliśmy żadnych skarg od innych Zjednoczonych Mnogości. Trzymamy się w naszych granicach. Ci cholerni Task-Felderowie, żeby ich pokręciło! Nie są nawet uprzywilejowaną Zjednoczoną Mnogością. Czy to nie są przypadkiem ci Logologowie?

– Mają prawo głosu w Radzie – przypomniałem.

– Na litość boską! – zachnęła się Rho. – Oni są przecież głupi jak osły. Kiedy dostali to prawo głosu?

– Przed dwoma miesiącami.

– Jak to się stało?

– Starannie zwracali uwagę na to, by być uprzejmymi wobec każdego – odparłem, nerwowo pukając w wewnętrzną powierzchnię dłoni.

Rho zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Czy nagrywałeś to spotkanie?

– Oczywiście. – Nadałem automatyczne polecenie zaopatrzone w klauzulę priorytetu Zjednoczonej Mnogości i przekazałem zapis rozmowy, wykorzystując adres z tabliczki identyfikacyjnej Rho.

– Wybieram się do ciebie, Mike. Albo lepiej ty zejdź do Lodowej Komory. Myślę, że William potrzebuje kogoś oprócz mnie, z kim mógłby porozmawiać. Znow ma jakieś problemy z Kwantowym Logikiem, a poza tym wciąż jest trochę zły z powodu głów.

Mój szwagier był w nastroju refleksyjnym.

– Na ziemi – w Indiach i Egipcie – mówił – wiele setek lat przed wynalezieniem lodówek ludzie używali lodu, zimnych napojów i klimatyzacji. A wszystko dzięki temu, że mieli suche powietrze i bezchmurny, nocny nieboskłon.

Siedział naprzeciw, za metalowym stołem, w pierwszym pokoju laboratorium. Na zewnątrz procesory Williama pracowicie i hałaśliwie konstruowały osłonę dla głów sprowadzonych przez Rho, posługując się projektem opracowanym przez Zjednoczoną Mnogość Nernst. William usadowił się w starym i obszarpanym krześle z rzemieni rozpiętych na metalowym obramowaniu, pozostawiając mi gościnny fotel z miękkimi poduszkami.

– Masz na myśli to, że używali baterii przechowujących energię, ogniw słonecznych lub czegoś w tym rodzaju? – spytałem, swą złośliwością przerywając tok rodzącej się opowieści.

Uśmiechnął się miło, jakby na myśl o tym, o czym miał opowiadać.

– To nie jest takie proste – odparł. – Słudzy faraona mogli używać na przykład płaskich i szerokich misek glinianych o porowatej powierzchni. Nalewali do nich kilka centymetrów wody, oczekując na szczególnie suchy wieczór, podczas którego powietrze będzie czyste i klarowne.

– Zimne powietrze? – zasugerowałem.

– Nieistotne. W Egipcie rzadko bywało zimno. Tylko suche powietrze i pogodna noc i... *voilà*. Mieli lód.

Nie wyglądałem na przekonanego.

– Nie żartuję – powiedział, pochylając się do przodu. – Działo się to dzięki parowaniu i promieniowaniu w otwartą, pustą przestrzeń. Wyobraź to sobie: doskonale czarne, nocne niebo, ciągłe parowanie, które ochładza miskę i znajdujący się w niej płyn; temperatura płynu spada; nie absorbując prawie żadnej wilgoci miseczka zamarza, uzyskując stan ciała stałego.

Rano słudzy faraona mogli gromadzić lód, a potem znów napełniać naczynie wodą, by w nocy zamarła. Przy odpowiednio dużej powierzchni, wystarczającej liczbie misek i grot, w których mogli przechowywać lód, Egipcjanie mieli nawet klimatyzację.

– Czy to rzeczywiście mogło funkcjonować?

– Do diabła, Mike, to funkcjonowało. Właśnie w ten sposób uzyskiwali lód, zanim odkryto energię elektryczną. Robili to wszędzie, gdzie było sucho, a nocny nieboskłon czysty i niezmacony.

– Musieli tracić dużo wody przez to parowanie.

William potrząsnął głową przecząco.

– Nie grzeszysz fantazją, Mike. To nie miało znaczenia, jeśli ożywiała ich myśl o garnku chłodnego piwa dla faraona.

– Piwo... – rozmarzyłem się. – Pomyśl o tym, jaka ilość piwa mogłaby być przechowywana w pawilonie Rho.

Piwo było artykułem bardzo cennym i poszukiwanym na naszej małej stacji księżycowej.

Nagle wyraz twarzy Williama zmienił się.

– Widziałem taśmę z zapisem spotkania z tą... Janis Granger. Czy ona może narobić kłopotów Rho?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Czasem coś takiego dobrze robi Rho... – Wstał i potarł twarz dłońmi w geście zmęczenia, a potem ścisnął kciuk i palec wskazujący, patrząc na nie z ukosa.

– Miałeś rację, Mike. Mam problem... Pojawił się zupełnie nowy efekt. Kwantowy Logik twierdzi, że Pompy Chaosu powinny zostać znów wyregulowane. Zajmie to tydzień. A potem osiągniemy zerowy stan materii. Nic takiego nie zdarzyło się od czasu, gdy byliśmy

tylko iskrą w oku Boga.

Przerabialiśmy to już wielokrotnie. Zawsze okazywało się że moje złościwości działały na niego łagodząco, gdy zderzał się z kolejną przeciwnością.

– To przekroczenie trzeciego prawa termodynamiki – powiedziałem niepewnie.

William odprawił moje obiekcje niecierpliwym machnięciem ręki.

– Mike, jesteś niedowiarkiem. Trzecie prawo termodynamiki to zwyczajny drobiazg, coś w rodzaju bariery dźwięku...

– A jeżeli to raczej coś w rodzaju granicy prędkości światła?

William przymrużył oko i spojrzał na mnie z politowaniem.

– Wyłożyłeś na to już sporo pieniędzy. Jeśli ja jestem głupcem, to ty jesteś jeszcze większym.

– Z twojego punktu widzenia nie powinienem uznać tego stwierdzenia za

pochrabiające – powiedziałem, uśmiechając się. – Ale cóż ja mogę o tym wiedzieć? Jestem po prostu zasuszonym księgowym bez wyobraźni. Wystaw mnie w nocy na działanie czystego ziemskiego nieba, a mój mózg zamarźnie.

William roześmiał się.

– Jesteś bardziej bystry niż powinieneś – stwierdził. – Pokonanie trzeciego prawa termodynamiki to żaden kłopot. Mike, to jest jak kaczka na otwartym polu, która siedzi i czeka na myśliwego.

– Ona tak siedzi i czeka już bardzo długo. Wielu myśliwych próbowało ją ustrzelić i nie trafiło. Ty sam próbujesz już od trzech lat.

– Do tej pory nie mieliśmy sztucznych mózgów posługujących się logiką kwantową ani Pomp Chaosu – powiedział William, patrząc z zadumą w ciemność za niewielkim okienkiem laboratorium. Na jego twarzy tańczyły pomarańczowe odbłaski światła,

pochodzące od procesorów pracujących poniżej, w Komorze.

– Pompy powodują, że czuję coś w rodzaju skurczu całego ciała – zwierzyłem się nie po raz pierwszy zresztą.

William zignorował tę uwagę i odwrócił się w moją stronę, nagle poważny, niemal uroczysty.

– Jeśli członkowie Rady spróbują powstrzymać Rho, powinieneś walczyć z nimi za pomocą wszelkich dostępnych środków. Nie urodziłem się Sandoval, Mike, ale, na Boga, lepiej, żeby Zjednoczona Mnogość wspierała ją teraz.

– Nie rozumiem tego za bardzo, William – przyznałem się. – To tylko jakieś zamieszanie. Jałowe głędzenie politykierów.

– Powiedz im, żeby skończyli z tą cholerną polityką – powiedział William łagodnie.

To był wspólny lament wszystkich księżycowych rodzin, wszystkich ściśle powiązanych ze sobą, a mimo to na swój szorstki sposób pragnących zachować odrębność obywateli Srebrnego Globu. Jak często już słyszałem to stwierdzenie?!

– To jest autorski projekt Rho – kontynuował William. – Jeśli zgodzę się... jeśli zgodzimy się na to, by przechowywała te głowy w Lodowej Komorze, nikt nie powinien jej w tym przeszkadzać. Do diabła, przecież właśnie dlatego mieszkamy na Księżycu... Czy wierzysz we wszystko, co słyszałeś o Logologach?

– Nie wiem – powiedziałem. – Oni na pewno myślą inaczej niż ty czy ja.

Podszedłem do Williama, który stał przy oknie.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Za co?

– Za to, że pozwoliłeś Rho zrobić to, co chciała.

– Ona jest jeszcze bardziej szalona niż ja – odrzekł William z westchnieniem. –

Mówiła mi, że z początku ty również nie byłeś zbyt zadowolony z jej działań.

– To dość przerażający pomysł – przyznałem.

– Jednak interesuje cię to coraz bardziej?

– Myślę, że tak.

– A ta kobieta z Mnogości Task-Felderów spowodowała, że jesteś jeszcze bardziej zaintrygowany?

Kiwnąłem głową twierdząco.

William od niechcienia zapukał w grube szkło okna laboratorium.

– Musisz pamiętać, Mike, że Rho, żyjąc tu, na Księżycu, była zawsze chroniona przez rodzinę Sandoval. Księżyc zawsze ją wspierał i dodawał odwagi; wolny duch, który tu panuje, niewielka liczba mieszkańców... miejsce, gdzie młodzi ludzie z otwartymi umysłami mogą roztaczać blask. Ona jest trochę naiwna, Mike.

– Nie różnimy się, jeśli o to chodzi – powiedziałem.

– Może ty nie, ale ja widziałem ciemne strony tej naiwności.

Przechyliłem głowę na bok, ofiarowując mu namysł nad jego słowami.

– Jeśli przez słowo “naiwna” rozumiesz to, że jest bezkrytyczna, że nie wie, co to znaczy uczestniczyć w prawdziwym starciu, to bardzo się mylisz.

– Wie o tym, ale wyłącznie na intelektualny sposób – stwierdził William. – I jest wystarczająco inteligentna, by mogło jej to wystarczyć. Ale tak naprawdę nie zdaje sobie sprawy, co mogą oznaczać brudne chwytły.

– Myślisz, że to może przerodzić się w podejrzaną rozgrywkę?

– W zasadzie coś takiego nie miałoby sensu – odparł. – Czteryście zamrożonych głów to dość makabryczne, ale niegroźne. Poza tym na Ziemi tolerowano to przez całe stulecie...

– ...Ponieważ nic nigdy z tego nie wynikło – dodałem. – Tolerancja Ziemian

najwyraźniej zaczyna się kończyć.

William potarł policzki kciukiem i palcem wskazującym; jego i tak cienkie usta stały się jeszcze węższe.

– Dlaczego ktokolwiek miałby się temu sprzeciwiać? – spytał.

– Być może z przyczyn filozoficznych.

William potwierdził kiwnięciem głowy.

– Lub religijnych – dodał. – Czytałeś literaturę Logologów?

Przyznałem, że nie.

– Ani ja; jestem pewny, że Rho też nic takiego nie czytała. Nie sądzisz, że przyszedł czas, żeby trochę to postudiować?

Niepewnie wzruszyłem ramionami, a potem dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

– Nie sądzę, by spodobało mi się to, co tam znajduję.

William cmoknął, zastanawiając się nad moimi słowami.

– To uprzedzenia, Mike, zwyczajne uprzedzenia. Pamiętaj o moim pochodzeniu. Być może Task-Felderowie nie są aż tak odrażający.

Zirykowało mnie jego oskarżenie o uprzedzenia. Zdecydowałem zmienić temat

rozmowy i zaspokoić świerzbłącą mnie ciekawość. William pokazywał mi już wcześniej

Kwantowego Logika, ale najwyraźniej z rozmysłem unikał tego, by zademonstrować mi jego działanie.

– Czy mogę do niego przemówić? – spytałem.

– Co...? – odezwał się zaskoczony William, a potem, podążając za moim wzrokiem, spojrzął za siebie, na stół.

– Czemu nie? Zresztą on nas teraz słucha. Kwantowy Logiku, chciałbym przedstawić ci mojego przyjaciela i kolegę po fachu, Mike'a Sandovala.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział Kwantowy Logik swoim bezpłciowym głosem, dokładnie takim, w jaki wyposażona była większość sztucznych mózgów. Uniosłem brwi i spojrzałem na Williama. Ten głos był całkiem normalny, oswojony, niemal udomowiony.

William zrozumiał mój wyraz twarzy, świadczący o umiarkowanym rozczarowaniu.

Czując się sprowokowany do współzawodnictwa, skierował do Logika pytanie:

– Czy mógłbyś opisać mi Mike’a?

– Jeśli chodzi o kształt i formę on nie jest taki jak ty – zawyrokował sztuczny mózg.

– A co powiesz o jego rozciągłości w przestrzeni?

– Różni się od twojej. Jej stan jest swobodny i dynamiczny. Jego więź z tobą nie jest pierwotna. Czy on wymaga kontroli?

William uśmiechnął się triumfująco.

– Nie, Logiku, on nie jest urządzeniem. On jest czymś takim jak ja.

– Ty jesteś urządzeniem.

– To prawda, ale tylko dlatego, że tak jest wygodniej.

– On myśli, że jesteś częścią laboratorium? – spytałem.

– W ten sposób znacznie łatwiej jest z nim pracować – upewnił mnie William.

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Czuj się moim gościem.

– Kwantowy Logiku, kto tu jest szefem?

– Jeśli przez pojęcie “szef” rozumiesz węzłowy punkt przywództwa, nie ma tu żadnego szefa. Przywódca powstanie po upływie pewnego czasu, kiedy urządzenia zostaną zintegrowane.

– Kiedy osiągniemy sukces – wyjaśnił William – wtedy pojawi się szef, węzłowy punkt przywództwa; będzie nim właśnie pozytywny rezultat eksperymentu.



– Czy to znaczy, że Kwantowy Logik myśli, iż osiągnięcie zera absolutnego będzie szefem?

– Coś w tym rodzaju – uśmiechnął się William. – Dziękuję, Kwantowy Logiku.

– Proszę bardzo – odparł Kwantowy Logik.

– Nie tak szybko – powiedziałem. – Mam jeszcze jedno pytanie.

William wyciągnął dłoń przyzwalająco w stronę sztucznego mózgu, co oznaczało zapewne: “bądź moim gościem”.

– Jak sądzisz, co stanie się, gdy komórki w Jamie osiągną zero absolutne?

Interpretator milczał przez chwilę, a potem przemówił tonem w subtelny sposób różniącym się od poprzedniego.

– Interpretator doświadcza teraz trudności w przetłumaczeniu odpowiedzi sztucznego mózgu. Czy życzy pan sobie odpowiedzi w symbolach matematyki post-boole’owskiej poprzez przesłanie wypowiedzi pod adresem z tabliczki identyfikacyjnej, czy też interpretacji tej wypowiedzi w języku angielskim?

– Oczywiście zadawałem mu już to pytanie – powiedział William. – Mam odpowiedzi w języku matematyki, w wielu różnych wersjach oznaczających różne możliwości rozwoju sytuacji.

– Chciałbym interpretację w języku angielskim – oznajmiłem.

– Proszę zatem przyjąć do wiadomości, że odpowiedź zmienia się z godziny na godzinę w sposób znaczący – odezwał się interpretator. – Może to wskazywać na chaotyczną, falową fluktuację teorii wewnątrz Kwantowego Logika. Mówiąc inaczej, do tej pory nie sformułował on właściwej przepowiedni i prawdopodobnie nie jest w stanie tego zrobić.

Sztuczny mózg przestawi wiele odpowiedzi w języku angielskim, ale ostrzega, że mogą być one niedostateczne do pełnego zrozumienia – które być może w ogóle nie jest możliwe – dla

organicznych umysłów ludzkich. Czy życzy pan sobie odpowiedzi, które mogą być mylące?

– Proszę dać próbkę – poleciłem i odczułem pewien rodzaj rozczarowania.

William usiadł za konsolą kontroli ręcznej, chcąc najwyraźniej, by był to mój osobisty mecz z Logikiem.

– Kwantowy Logik zakłada, że rezultatem osiągnięcia zera absolutnego w znaczącej próbce materii będzie nowy jej stan. Istnieje powiązanie pomiędzy ruchem materii w czasoprzestrzeni i innymi siłami we wnętrzu materii, a szczególnie wewnątrz jądra atomu – jest to zasada, na której opiera się działanie Pomp Chaosu – nowy stan materii może zatem być stabilny i wymagać trwałego pochłaniania energii, by utrzymać swój stan termodynamiczny. Jest niewielka możliwość, że ten nowy stan materii może być przenoszony przez siły kwantowe, a także indukować taki sam w położonych blisko niego atomach.

Rzuciłem okiem na Williama.

– To bardzo niewielka możliwość – powiedział. – I zabezpieczyłem się przed nią.

Atomy miedzi są odizolowane w pułapce Penninga i nie mogą skontaktować się z niczym innym.

– Proszę kontynuować – poleciłem interpretatorowi.

– Inna możliwość związana jest z dotychczas nie odkrytym powiązaniem pomiędzy stanami samej czasoprzestrzeni a termodynamicznym ruchem materii. Jeśli aktywność termodynamiczna zanika we wnętrzu próbki, natura czasoprzestrzeni wokół próbki może się zmienić.

Mogą

ulec

zmianie

podstawowe

stany

kwantowe.

Ograniczenia

prawdopodobieństwa położenia poszczególnych atomów mogą wywołać wyrównanie wirtualnej aktywności cząstek, wzmacniając inne efekty kwantowe, w tym zdalne wyzwolenie informacji kwantowej zwykle przekazywanej wyłącznie pomiędzy cząsteczkami i nieosiągalnej z zewnątrz.

– W porządku – powiedziałem i poczułem się pokonany. – William, potrzebuję interpretatora dla twojego interpretatora.

– Z obliczeń wynika – wyjaśnił William, w którego oczach pojawił się błysk zapewne radości lub dumy, w każdym razie na pewno nie smutku – że pojawi się coś w rodzaju krystalizacji czasoprzestrzeni.

– A zatem...?

– Czasoprzestrzeń jest z natury amorficzna, jeśli można w sposób metaforyczny użyć do jej określenia terminów zarezerwowanych zwykle dla materii. Skryształizowana czasoprzestrzeń może mieć pewne interesujące właściwości. Informacja o stanach kwantowych i położeniach cząstek, zwykle przekazywana wyłącznie pomiędzy nimi poprzez tak zwane kanały zastrzeżone, może wydostać się stamtąd. Może nawet nastąpić przekazywanie informacji kwantowej pod prąd strumienia czasu.

– To nie brzmi dobrze – powiedziałem.

– Może to być zjawisko czysto lokalne – odparł William – którego badanie będzie naprawdę fascynujące. Można je sobie wyobrazić tak, że czasoprzestrzeń stanie się czymś w rodzaju hiperprzekaznika informacji, a nie ośrodkiem, w którym jej przekazywanie jest ściśle ograniczone – tak jak teraz.

– Ale czy to jest prawdopodobne? – spytałem.

– Nie – odpowiedział William. – O ile jestem w stanie to zrozumieć, żadna przepowiednia Kwantowego Logika w tej sprawie nie jest prawdopodobna ani nieprawdopodobna.

Farmy i utrzymujące je pola uprawy w Lodowej Komorze zajmowały około trzydziestu pięciu hektarów powierzchni i dawały zatrudnienie dziewięćdziesięciu członkom rodziny. Jak na wyodrębnione przedsiębiorstwo badawcze, była ona stacją średniej wielkości. Dawne obyczaje są porzucane jednak z trudem – na Księżycu każdą stację, małą czy dużą, zaprojektowano tak, by mogła funkcjonować w pełni autonomicznie na wypadek naturalnej katastrofy lub politycznego niebezpieczeństwa. Bazy księżycowe najczęściej rozrzucone są na dużej powierzchni, tak że ten zwyczaj ma swoje uzasadnienie. Oprócz tego każda stacja funkcjonuje jako niezależny podmiot społeczny, podobnie jak miasta na Ziemi. Najbliższa z ważniejszych stacji księżycowych, Kosmoport Jin, znajdowała się sześć godzin lotu promem od Komory Lodowej.

Dawno temu wyznaczyłem sobie dwanaście przyjaciółek w wieku trzynastu lat należących do rodziny. Dwie z nich mieszkały w Lodowej Komorze. Spotkanie z jedną z nich okazało się zupełnie nierewelacyjne, za to druga, Lucinda Bergman-Sandoval, była moją kochanką od chwili, gdy skończyliśmy szesnaście lat. Lucinda pracowała na farmie, która dostarczała stacji żywności. Teraz widywaliśmy się mniej więcej raz w miesiącu, ponieważ – jak oczekiwano od mężczyzny, który zbliża się do wieku małżeńskiego – skupiłem uwagę na kobietach spoza rodziny. Mimo to wizyty u Lucindy wciąż sprawiały mi przyjemność i tego wieczora umówiliśmy się na randkę w kawiarni farmy, by pogawędzić trochę przy kolacji. Nigdy nie zwracałem szczególnej uwagi na wygląd kobiet. Mam na myśli, to, że kobiety szczególnie piękne nigdy nie wywierały na mnie wrażenia, być może dlatego, że sam

nie odznaczam się nadzwyczajną urodą. Sandovalowie, podobnie jak większość innych księżycowych rodzin, już dawno zaakceptowali jako w pełni naturalne przed- i pourodzeniowe transformacje fizyczne, tak że żadne dziecko naszej Zjednoczonej Mnogości nie było wyraźnie brzydkie. Rodzina Lucindy zdecydowała, że urodzi się ona *in vivo*. W wieku siedemnastu lat dziewczyna postanowiła przeprowadzić niewielką transformację fizyczną. Była wysoka i smukła. Miała czarne włosy, skórę koloru kawy, długą szyję oraz miłą, inteligentną twarz. Podobnie jak większość dzieci księżycowych, wyposażona była w zdublowaną biochemię ciała. Mogła polecieć na Ziemię lud do jakiegokolwiek innego środowiska o zwiększonej grawitacji i szybko się do niego przystosować.

Spotkaliśmy się w kawiarni, górującej nad sześćohektarową farmą rozlokowaną na powierzchni. Grube okna wzmocnione polem siłowym oddzielały nasz stół od kosmicznej próżni; miedziana poręcz otaczała wokół pomieszczenie, by upewnić siedzących we wnętrzu, że nie spadną na powierzchnię niecki pokrytego rozlicznymi kamieniami regolitu rozciągającego się poniżej.

Lucinda była dziewczyną łagodną, bystrą i sympatyczną. Przez jakiś czas rozmawialiśmy o związkach łączących nas z innymi ludźmi – ona zastanawiała się nad pozarodzinną propozycją małżeństwa z Hakimem, inżynierem pochodzącym z Mnogości Nernst. Ja też miałem przed sobą pewne perspektywy, ale wciąż wahałem się, rozpatrując różne możliwości.

– Hakim godzi się, by jego nazwisko rodowe było na drugim miejscu – powiedziała. – Jest bardzo wspaniałomyślny.

– Czy chce mieć dzieci?

– Oczywiście. Powiedział mi, że jeśli jestem wrażliwa, to mogą być *ex utero* – uśmiechnęła się Lucinda.

- Brzmi to dość zasadniczo.
- Nie, on nie jest taki. Po prostu... wspaniałomyślny. Myślę, że jest dla mnie naprawdę przemyły.
- Czy będą z tego jakieś korzyści?
- Będą liczne korzyści – odezwała się z nieco zbyt dużą afektacją. – Jego gałąź rodu kontroluje kontrakty pomiędzy Mnogością Nernst a Trójnią.
- Mnogość Nernst odwaliała dla nas trochę roboty.
- Opowiedz mi o tym – poleciła mi łagodnym tonem.
- Prawdopodobnie nie powinienem. Nawet jeszcze tego nie przemyślałem...
- Brzmi to bardzo poważnie.
- To może być poważna sprawa, jak sądzę. Przewodnicząca Rady próbuje powstrzymać coś, czym zajmuje się teraz moja rodzona siostra.

Lucinda uniosła ekspresyjnie długie i wąskie brwi.

- Naprawdę? Na jakiej podstawie?
- Nie jestem pewien. Przewodnicząca pochodzi z Mnogości Task-Felderów...
- A zatem...?
- Jest Logologiem.
- Ach... tak? No i co z tego? Oni także muszą stosować się do reguł.
- Oczywiście. Nie wysuwam pod ich adresem żadnych oskarżeń... Ale co możesz powiedzieć na temat Logologów?

Lucinda zastanowiła się przez chwilę.

- Są bardzo nieustępliwi w zawieraniu i egzekwowaniu kontraktów. Brat Hakina, Daood, nadzorował kontrakt na projekt dla Stacji Niepodległości w pobliżu krateru Fra Mauro. Ta stacja należy właśnie do Task-Felderów.

– Wiem. W zeszłym miesiącu zostałem tam zaproszony na potańcówkę zapoznawczą.

– Wybrałeś się?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

– Za dużo zachodu.

– Daood twierdzi, że oni wykorzystywali projektantów z Mnogości Nernst bardzo forsownie, kładąc im zajmować się trzema różnymi zagadnieniami naraz. Wyglądało to raczej jak zesłanie na ciężkie roboty, a nie jak normalne przedsiębiorstwo. Task-Felderowie, począwszy od najwyższych aż do najniższych szczebli zarządzania, gubią się w nieistotnych drobiazgach. Wśród miejscowych kierowników i techników nie sposób zaobserwować jakiegokolwiek niezależności myślenia. Daood nie był tym zachwycony.

Uśmiechnąłem się.

– My też wytrąciliśmy z równowagi trochę ludzi z Mnogości Nernst. To było w ubiegłym roku w czasie napraw chłodni i podnoszenia wydajności promienników.

– Hakim wspominał mi o tym... Ale Daood powiedział, że w porównaniu z Task-Felderami jesteśmy łagodni jak baranki.

– Dobrze wiedzieć, że zostaliśmy docenieni przez bratnią Zjednoczoną Mnogość.

Przez chwilę pogrążyła się w zadumie. W tym czasie pojawiło się nasze jedzenie, przywiezione przez wózek dostawczy z procesorem.

– Oczywiście słyszałam o sprawie Io8, trudno było w to uwierzyć. Czytałeś jakieś prace Thierry'ego? Były bardzo modne za czasów naszego dzieciństwa.

– Staralem się ich unikać – odparłem.

K. D. Thierry, urodzony na Ziemi producent filmowy, który określał siebie jako filozofa, działał zaś jak guru-dyktator, u schyłku XX wieku opracował podstawy chronomopsychologii, a potem przekształcił ją w logologię.

– Jest autorem chyba trzystu książek i kaset holograficznych. Przeczytałam dwie z nich: “Planetarnego Ducha” i “Dokąd zmierza umysł?” Są bardzo dziwne. Próbował w nich określić zasady wszystkiego – od snów po zachowanie się w toalecie.

Roześmiałem się.

– Po co je czytałaś?

Lucinda wzruszyła ramionami.

– Lubiłam przeglądać kasety holograficzne. W bibliotece było ich bardzo wiele.

Zamawiałem je, uiszczałam opłatę – mniej więcej połowę sumy, którą zwykle trzeba zapłacić za większość kaset. Tam było mnóstwo całkiem ładnych holograficznych obrazków.

Ziemskie jeziora i rzeki o iskrzącej się w słońcu powierzchni... Thierry, żeglujący dookoła świata jachtem napędzanym przez baterie słoneczne... Tego rodzaju historyjki. Wszystko to było bardzo atrakcyjne dla dziewczyny z Księżyca.

– Czy przeczytałaś cokolwiek, co wyjaśniałoby wydarzenia na Io?

– Pamiętam coś w odwiedzinach anioła u Thierry’ego. Powiedział mu ponoć, że ludzie zostali stworzeni przez walczących bogów, jakieś nadistoty. Żyły one jeszcze przed narodzinami Słońca. Anioł powiedział też, że głęboko wewnątrz nas istnieją cząstki osobowości niektórych spośród tych bogów.

– Łapię, w czym rzecz – stwierdziłem.

– Pozostała część umysłów bogów została uwięziona pod powierzchnią “Księżyca Piekieł”. Oni czekają na nas, byśmy ich uwolnili i połączyli się z nimi... Coś w tym rodzaju – potrząsnęła głową, wyrażając tym gestem zdziwienie i dezaprobatę.

8 Io – jeden z czterech największych satelitów planety Jowisz o najmniejszym spośród nich promieniu orbity

(odległość od planety – 422 tys. km.) (przyp. tłum.).

Znałem resztę tej opowieści; znajdowała się ona w kartotekach historii najnowszej,



które studiowałem w szkole średniej. W roku 2090 Logologowie z Marsa wzięli w tysiącletnią dzierżawę od Trójni obszar na Io, satelicie Jowisza: na dzikiej, bezużytecznej Io, jedynie dwukrotnie w ciągu całej historii odwiedzanej przez ludzi. W roku 2100 nowi dzierżawcy założyli na Io załogową stację. Stacja ta, wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami, uległa zniszczeniu podczas formowania się na powierzchni satelity nowego jeziora siarkowego klasy pelejskiej. Zginęło tam siedemdziesięciu pięciu lojalnych Logologów, których ciał nigdy nie odzyskano. Są tam wciąż, zatopione w naturalnym grobowcu z czarnej siarki.

Tym Logologom nigdy już nie będzie dana możliwość poszukiwania zagubionych bogów.

Wzdrygnąłem się.

– Nigdy nie miałem pojęcia, czego oni szukają. To właśnie jest interesujące.

– To jest upiorne – podsumowała Lucinda. – Przestałam czytać Thierry’ego, kiedy zrozumiałam, że wydaje mu się, iż pisze historię świata. Jego wyznawcy uważają go za boga.

– Naprawdę?

– Robisz z nimi interesy i nie wiesz, co oni myślą?

– Moje wady są legendarne – uniosłem dłonie w obronnym geście. – O jaki rodzaj boskości chodzi?

– Twierdzą, że on nie umarł, że był przez cały czas idealnie zdrowy. Utrzymują też, że teraz udziela rad Logologom poprzez duchowe przesłania do wybranych uczniów, których ma w każdym kolejnym pokoleniu. “Namaszcza ich niebiańskim chłodem”, jak mówią, cokolwiek by to mogło znaczyć. Co zamierza zrobić Rho, że wzbudziło to aż takie protesty Logologów?

– Moje usta milczą. Rho organizuje tu konferencje prasowe.

– Ale przewodnicząca wie, o co chodzi?

– Przypuszczam, że musi wiedzieć.

– Dzięki za zaufanie, Mike – półuśmiechem dała do zrozumienia, że specjalnie chce mi dokuczyć. Mimo tego sygnału nie czułem się teraz ani trochę lepiej.

– Chciałbym powiedzieć, że nie podoba mi się to wszystko – zwierzyłem się. –

Wszystkie sprawy komplikują się jeszcze bardziej.

– Więc lepiej zabierz się do odrabiania lekcji – poradziła mi żartobliwie.

Im głębiej wnikałem w logologię, tym bardziej byłem nią zafascynowany.

Odczuwałem także odrazę, chociaż w końcu zwyciężyła fascynacja. Była to bowiem wiara bez żadnej koherentnej filozofii, system bez żadnej sensownej metafizyki. Była to dziecinna hipoteza, a nawet po prostu zwyczajny płód wyobraźni występujący jako objawiona prawda.

A wszystko to opierało się na jednym rzekomym intuicyjnym wglądzie w ludzki umysł – coś tak bezczelnego i w oczywisty sposób śmiesznego, że wydawało się aż fascynujące.

K. D. Thierry wykorzystał zawarte głęboko w każdej ludzkiej duszy pragnienie uczestnictwa w spełnianiu się Wielkiego Wydarzenia. Pod tym względem nie bardzo różnił się od innych proroków i mesjaszy; prawdziwe różnice kryły się w tym, jak wiele wiadomo było o Thierrym i do jakiego stopnia komiczne wydawało się przypuszczenie, że człowiek taki jak on mógłby dostąpić poznania jakiegokolwiek wielkiej prawdy.

Thierry w młodości grywał niewielkie role w kiepskich filmach należących do masowego repertuaru i raz czy dwa pojawił się w dobrych obrazach. Był też niezbyt znanym aktorem komediowym i został producentem, a nawet reżyserem filmowym.

W późnych latach osiemdziesiątych XX wieku stał się sławny jako reżyser serii demonicznych filmów tajemnicy, których specyficzny klimat oraz na pół obłąkańczy, na pół ironiczny humor przyciągnął rzeszę kinomanów. Zaczął wykładać na uniwersytetach i

college'ach. W Nowym Jorku powiedział podobno jednemu z autorów scenariuszy: "Filmy są jedynie ulotnym śladem. Powinniśmy skierować się w stronę religii".

Skierował się zatem w tę właśnie stronę. Jako człowiek wykształcony, przyłączył się do chóru psychologów deklarujących wówczas zrzucenie z piedestału ostatnich, rozpadających się już resztek doktryny Freudowskiej. Thierry próbował dobudować do tych fragmentów resztę ówczesnej wiedzy psychologicznej; jego pierwsza żona była psychoterapeutką. Ich rozstanie stało się dla obojga pamiętnym, okrutnym doświadczeniem. Gdy Thierry miał trzydzieści trzy lata, przeżył noc objawienia. Na plaży w pobliżu kalifornijskiego miasta Newport stanął – jak twierdził – przed obliczem potężnej postaci, wysokiej jak drapacz chmur, która wręczyła mu odprysk górskiego kryształu wielkości ludzkiej pięści. Kształty wskazywały, że figura ta była postacią kobiety, choć miała siłę mężczyzny. Powiedziała do Thierry'ego: "Nie mam wiele czasu. Zbyt długo byłam martwa, by tu pozostać z tobą i rozmawiać. Ten kryształ opowie ci całą historię".

Thierry podejrzewał, że olbrzymia figura była hologramem; technologia ta wydawała mi się zbyt prymitywna. Bogini mogłaby wybrać inny sposób, by objawić się człowiekowi. Jednak wyobraźnia Thierry'ego była wyraźnie ograniczona przez niski stopień rozwoju techniki w tamtych czasach. Aby dotrzeć do umysłów publiki złożonej z naukowych analfabetów, do których zamierzał przemawiać, musiał używać żargonu oraz potocznych wyobrażeń charakterystycznych dla lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

Przez jakiś czas intensywnie patrzył na kryształ, a potem zapisał to, co zobaczył, tworząc serię tajemnych ksiąg za jego życia nie opublikowanych. Wykonał jednak ich skrót, przeznaczony do użytku publicznego. Streszczenie to, zatytułowane "Stary i nowy rodzaj ludzki", objawiało czytelnikom kosmiczną wiedzę zwaną chromopsychologią.

Z treści tej książki wynikało, że olbrzymi hologram był obrazem ostatniej

przedstawicielki gatunku Prawdziwych Ludzi, kryształ zaś, który otrzymał od niej Thierry, pomógł mu odkryć prawdziwą siłę jego własnego umysłu i dotrzeć do niej.

Thierry opublikował swoją książkę i osobiście brał udział w promocji. W pierwszym roku po jej ukazaniu się sprzedano dziesięć tysięcy egzemplarzy, w ciągu następnego – już pięćset tysięcy. W kolejnych edycjach zmieniono nazwę i pewne fragmenty doktryny kosmicznej wiedzy: nazywała się ona teraz logologią, co świadczyło o całkowitym zerwaniu nawet z samym terminem “psychologia”.

Dzieło “Stary i nowy rodzaj ludzki” stało się wkrótce dostępne nie tylko jako edycja książkowa. Sprzedawano je pod postacią kostki tekstowej, kasety holograficznej, kasety video; funkcjonowało w pięciu rodzajach środków przekazu.

Na seminariach Thierry zdołał nawrócić z początku niewielu uczniów, ale wkrótce cały ich tłum. Ludzie zaczęli wierzyć w to, iż posiadali niegdyś siłę równą bogom, teraz zaś zakuci są w prastare łańcuchy, które uczyniły ich pionkami zależnymi od kaprysów ich własnych ciał. Thierry twierdził, że wszyscy ludzie byli kiedyś zdolni przetransformować się w obdarzone wielką mocą duchy, zdolne swobodnie wędrować poprzez kosmiczną przestrzeń. Kryształ przekazał mu ponoć wiedzę, jak zerwać krępujące nas okowy poprzez skomplikowane ćwiczenia umysłu oraz jak uświadomić sobie, że wszyscy pradawni wrogowie ludzkości – oprócz jednego, określanego przezeń imieniem Szedjtan – są już martwi, niezdolni do powstrzymania procesu naszego samowyzwolenia. Oswobodzenie każdego człowieka wymagało według Thierry’ego jedynie jego koncentracji, gromadzenia wiedzy, wewnętrznej dyscypliny, a także dożywotniego uczestnictwa w Kościele Logologów.

Szedjtan był połączeniem Lokisa<sup>9</sup> i czegoś w rodzaju niewładnego Szatana, istotą zbyt słabą, by nas zniszczyć lub nawet powstrzymać silne indywidualności przed oswobodzeniem się z okowów. Wystarczająco jednak przebiegłą, by utrzymać wśród

9 Lokis – demon zniszczenia i śmierci z mitologii germańskiej; wódz demonów podczas ich walki z bogami,

nazwanej przez Wagnera “Zmierzchem bogów” (Ragnarög) (przyp. tłum.).

znacznej większości ludzi przekonanie, iż słabość jest naszym udziałem, a śmierć – przeznaczeniem.

Ci, którzy przeciwstawiali się Thierry’emu, byli według niego oszukani przez Szejtana lub też stanowili uległe mu kohorty (do których należeli także Freud, Jung, Adler i wszyscy pozostali psychiatrzy oraz psycholodzy). Istniało wielu oszukanych przez Szejtana; byli wśród nich prezydenci, kapłani, a także koledzy po fachu Thierry’ego – prorocy.

W roku 1997 Thierry starał się zdobyć niewielką wysepkę na południowym Pacyfiku, aby stworzyć tam społeczność Wyzwolonych z Łańcuchów. Zosta jednak stamtąd wyrzucony przez mieszkańców tego małego terytorium; zmuszono go do przeniesienia jego pierwszej kolonii do Idaho, gdzie założył własne niewielkie miasteczko. Nazwano je Ouranos na cześć istoty, która obudziła ludzką samoświadomość. Ouranos stało się ważnym politycznym centrum stanu Idaho; Thierry był częściowo odpowiedzialny za podział tego stanu w roku 2012 na dwie części, z których północna określała się mianem Zielonego Idaho.

Thierry bez przerwy pisał i od czasu do czasu robił filmy. Jego późniejsze książki dotyczyły wszystkich aspektów życia Logologa, poczynając od opieki prenatalnej, kończąc zaś na rytach pogrzebowych i szczegółach projektu miejsca jego wiecznego spoczynku.

Wypełniał kasety holograficzne swoimi wypowiedziami na temat światowej ekonomiki i polityki. Powoli stawał się odludkiem; około roku 2031, na dwa lata przed śmiercią, nie widywał się z nikim oprócz kochanki i trzech osobistych sekretarek.

Thierry twierdził, że po jego wyzwoleniu nastąpią czasy kryzysu i że w ciągu stulecia powróci uwolniony z kajdan ciała, by uczynić Kościół Logologów siłą dominującą nad społecznością Ziemi. “Z waszych przeciwników zostanie jedynie popiół” – obiecywał –

“wierni zaś przeżyją eon duchowej ekstazy”.

Przed śmiercią ważył sto siedemdziesiąt pięć kilogramów i musiał poruszać się z pomocą skomplikowanej, ciężkiej aparatury, która była częściowo fotelem na kołach, częściowo zaś robotem. Informacje dopuszczone do prasy, a także relacje dla setek tysięcy jego uczniów w Ouranos i na całym świecie opisywały tę śmierć jako dobrowolne wyzwolenie. Ponoć Thierry towarzyszył w galaktycznej podróży duchowi, który po raz pierwszy objawił mu się na plaży w Kalifornii.

Osobisty lekarz Thierry’ego, będący jego oddanym uczniem, twierdził, że – pomijając olbrzymią masę ciała – cieszył się on znakomitym zdrowiem i że jego organizm uległ wewnętrznej transformacji w celu zgromadzenia potężnej ilości energii, mającej mu służyć przez kilka pierwszych lat duchowej podróży.

Samego Thierry’ego Logologowie określali jako Mistrza Wyniesionego nad Innych.

Rzekomo przekazywał swojej kochance cotygodniowe raporty z przygód podczas podróży.

Owa kobieta dożyła podeszłego wieku, odmówiła poddania się, legalnemu czy też nie, zabiegowi odmłodzenia. Osiągnęła potężną masę ciała, a potem, jak głosiła opowieść, dołączyła do swojego byłego kochanka, towarzysząc mu w kosmicznej pielgrzymce.

W rok od śmierci Thierry’ego jedna z jego sekretarek została aresztowana na terenie Zielonego Idaho za szerzenie dziecięcej pornografii. Nie było żadnych dowodów, by Thierry kiedykolwiek uczestniczył w tego rodzaju działalności; mimo to skandal, który był konsekwencją tego aresztowania, niemal zniszczył Kościół Logologów.

Instytucja ta odzyskała wpływy niebywale szybko, gdyż zajęła się sponsorowaniem młodych artystów – autorów kaset holograficznych. Logologowie wykorzystali ten fakt do zyskania sobie poważania wśród polityków oraz do poprawy opinii publicznej. Dzięki temu przeszłość ich Kościoła została wkrótce zapomniana, jego zaś nowi przywódcy – działający

skutecznie i dość bezbarwni – dokończyli dzieła Thierry’ego. Uczynili z logologii oficjalną, alternatywną religię, przeznaczoną dla tych, którzy wciąż poszukiwali pocieszenia w *sacrum*.

Kościół zaczął dobrze prosperować i podjął swoje pierwsze działania na Puerto Rico.

Logologowie założyli na wyspie bezpłatny szpital i psychiatryczny ośrodek szkoleniowy w roku 2046, na cztery lata przed zyskaniem przez Puerto Rico statusu pięćdziesiątego pierwszego stanu. Wkrótce sześćdziesięcioprocentowa, praktycznie jednomyślna większość złożona z Logologów przejęła kontrolę nad wyspą, tworząc w ten sposób największą wspólnotę religijną na Ziemi. Od czasu ustanowienia pięćdziesiątego pierwszego stanu, każdy z reprezentantów Puerto Rico w Kongresie Stanów Zjednoczonych był Logologiem. Reszta tej historii była mi mniej więcej znana, wliczając w to mroczną opowieść o zakupie terenów na Io oraz o zagładzie mieszkających tam osadników.

Kiedy skończyłem zagłębiać się w olbrzymim materiale dotyczącym Logologów, byłem wyczerpany i prawie nie dowierzałem temu, co przeczytałem. Wydawało mi się, że rozumiem ludzką naturę niejako z wyższej pozycji, jako ktoś, kto nigdy nie był Logologiem i z tego powodu nigdy nie dał się wciągnąć w fantazje i kłamstwa Thierry’ego.

Tej nocy śniłem, że jestem w Egipcie i wędruję wzdłuż kanału nawadniającego. Na wschodzie świt rozjaśnił niebo, barwiąc je na intensywnie niebieski kolor, ale ponad moją głowę wciąż świeciły gwiazdy. Kanał zamarł w ciągu nocy, co napełniło mnie zadowoleniem; w jego wnętrzu leżały teraz pomieszane sześciiany lodu przejrzyste jak szkło. Potem sześciiany te zmieniały swą wewnętrzną strukturę niczym żywe istoty, przeistaczając się w idealnie płaskie lodowe tafle. “Oto porządek” – pomyślałem. – “Faraon będzie zadowolony”. Ale gdy spojrzałem w głębinę wód kanału, zobaczyłem ryby uwięzione w warstwach sześcianów, niezdolne, by się poruszyć. Ich skrzela zamykały się i otwierały w szaleńczym tempie. Zrozumiałem wówczas, że jestem winny ich śmierci. Spojrzałem w górę

na gwiazdy, oskarżając je, ale odmówiły przyjęcia odpowiedzialności; potem skierowałem wzrok ku brzegom kanału, gdzie wśród trzciny ujrzałem dwa charakterystyczne kształty połyskujące miedzią, wydające prawie bezgłośnie odgłosy ssania. We śnie wszystkie mięśnie mojego ciała przeszył nagły skurcz i wydostałem się na powierzchnię jawy.

Była osiemsetna godzina księżycowa. Sygnał świetlny mojej osobistej linii migotał uprzejmie, nie budząc mnie. Zdecydowałem się odpowiedzieć. Zostawiono dla mnie dwie wiadomości: jedna z nich, przyjęta trzy godziny wcześniej, pochodziła od Rho, godzinę potem przyszła wiadomość od Thomasa Sandovala-Rice'a.

Przesłanie od Rho było jedynie dźwiękowe i bardzo krótkie: "Mike, dyrektor chce spotkać się z nami dzisiaj w Kosmoporcie Jin. O godzinie tysięcznej przyśle po nas czarterowy prom władz Mnogości".

Wiadomość od Sandovala-Rice'a okazała się obszernym tekstem, uzupełnionym przez zapis głosu sekretarki dyrektora: "Mike, Thomas Sandoval-Rice prosi cię o spotkanie w Kosmoporcie Jin tak szybko, jak to tylko możliwe. Chcielibyśmy, żeby Rozalinda także tam się zjawiała". Zapisowi towarzyszył tekst oraz przekaz holograficzny na temat logologii, złożony w większości z materiałów, które już przestudiowałem.

Ustaliłem plan dnia i odwołałem spotkanie z inżynierami z naszej Mnogości poświęcone konserwacji generatora mocy.

Rho wydawała się nietypowo przygnębiona, gdy oczekiwaliśmy na prom w pomieszczeniu dla podróżnych przy Amortyzatorze Czwartym. Na zewnątrz była teraz księżycowa noc, a lśniące światła lądowiska zabierały blask gwiazdom. Ponad naszymi głowami wisiała Ziemia w pełni – kropka niebieskawego światła o rozmiarach paznokcia, widoczna poprzez iluminatory w suficie. Przez okna poczekalni widzieliśmy jedynie parę hektarów zmieszanej księżycowej gleby – stos skalnych odłamków wykopanych dziesiątki lat



temu z obszarów użytkowych Lodowej Komory oraz szarą, jakby betonową powierzchnię księżycowego gruntu.

– Czuję się tak, jakby wpychano mnie nosem w pył – zwierzyła się Rho. Światła czarterowego promu zaczynały być widoczne ponad linią horyzontu. – Traktują nas fantastycznie – dodała z przekąsem. – Dyrektor jeszcze nigdy nie poświęcił nam tyle uwagi.

– Nigdy jeszcze nie namotałaś tu naszych praprzodków – starałem się ją uspokoić.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Nie o to chodzi. On przesłał mi cały stos analiz dotyczących Logologów.

Skinałem głową.

– Ja też je dostałem. Czytałaś to?

– Oczywiście.

– Co o nich myślisz?

– To dziwni ludzie, ale nie mam pojęcia, dlaczego mieliby sprzeciwiać się naszemu projektowi. Twierdzą, że śmierć nie jest dla człowieka wyzwoleniem, dopóki nie dostąpi on objawienia. A zatem zamrożone głowy mogą być po prostu kolejnymi potencjalnymi konwertytami...

– Może Thomas wie coś więcej – zasugerowałem.

Kosmobus wylądował, jasnoczerwony i lśniący. Był to kosztowny, nowoczesny model Księżycowego Land-Rovera, wyposażony w pełnościśnieniową, luksusową kabinę. Nigdy jeszcze do tej pory nie byłem pasażerem pojazdu czarterowego Mnogości Sandoval. Wnętrze okazało się imponujące. Były tam fotele automatycznie przystosowujące się do kształtu ciała pasażera, specjalny zespół procesorów zajmujących się przygotowywaniem posiłków – żałowałem, że zjadłem już śniadanie. Nie odmówiłem sobie jednak spróbowania zamówionych przez Rho jajek i sztucznej szynki. Było tam także doskonale wyposażone

centrum łączności – gdybyśmy sobie tego życzyli, moglibyśmy połączyć się z Ziemią, Marsem czy którymkolwiek z asteroidów, używając przekaźników Wspólnoty Księżycowej, a nawet satelitów należących do Trójni.

– Dzięki temu można sobie uświadomić, jak bardzo jesteśmy tu, w Lodowej Komorze, oddaleni od głównego nurtu życia Mnogości – powiedziałem, gdy Rho wsuwała swój talerz do otworu zwrotnego.

– Nigdy mi tego nie brakowało – odparła. – Mamy wszystko, co nam potrzebne.

– William mógłby się z tym nie zgodzić.

– Nie chodzi mu przecież o luksusy – uśmiechnęła się Rho.

Kosmoport Jin był głównym centrum handlowym i największą aglomeracją miejską na Oceanie Burz, głównym ośrodkiem koordynacyjnym dla wszystkich stacji położonych na tej wielkiej równinie. Z kolei Ocean Burz był głównym i największym terytorium należącym do Mnogości Sandoval, chociaż dysponowaliśmy także około dwudziestoma stacjami i dwoma mniejszymi portami kosmicznymi w górach na widocznej z Ziemi półkuli Księżyca. Oprócz tego, że stanowił ważny węzeł transportowy, Kosmoport Jin otoczony był przez farmy, które zapewniały wyżywienie znacznej części widocznej strony Księżyca, sąsiadującej z Oceanem od południa i zachodu. Stacja farmerska o wystarczających rozmiarach zwykle służy mieszkańcom Księżyca także jako uzdrowisko. Stanowi szansę podziwiania pól i lasów. Przelecieliśmy ponad zaciemnionymi teraz rzędami kopuł farm – tysiącami hektarów ziemi uprawnej rozlokowanymi wzdłuż południowowschodniej granicy kosmoportu. Pół godziny przed umówionym terminem wylądowaliśmy na prywatnym lądowisku Mnogości Sandoval. Zostało nam niewiele czasu, by za pomocą wagoników szynowych i ruchomych eskalatorów przedostać się przez zatłoczone Miasto Jin do Portu Centralnego.

Sekretarka dyrektora poprowadziła nas poprzez krótki hall do niewielkiego osobistego

biura swojego szefa, otoczonego przez inne biura, należące do pełnomocników rodziny.

Thomas Sandoval-Rice był nienagannie ubrany, miał siwe włosy (co wydawało się dość odważne), cienki, kształtny nos i wydatne wargi. Był siedemdziesięcioletnim mężczyzną w sile wieku, nosił oficjalny, czarny garnitur z czerwoną szarfą i dość idiotyczne pantofle. Wstał, by się z nami przywitać. Ledwie starczało tu miejsca na trzy krzesła i biurko; była to wyraźnie jego osobista pracownia, a nie pokazowe biuro dla klientów Mnogości Sandoval lub przedstawicieli innych rodzin. Gdy tam wchodziliśmy, Rho spojrzała na mnie z wyrazem zwątpienia w oczach. Wyglądało to na rzeczywiście idealną okazję do zmieszania nas z błotem.

– Cieszę się, że znów widzę was oboje – powiedział Thomas, zapraszając, byśmy usiedli. – Dobrze wyglądacie. Mike, czy to już trzy lata minęły od chwili, gdy zatwierdziliśmy twoje stanowisko w Lodowej Komorze?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem.

Thomas spojrzał na pełną rezerwy twarz Rho i uśmiechnął się pokrzepiająco.

– To nie wizyta u technika dentystycznego – powiedział. – Rho, widzę, że czujesz nadchodzący sztorm i chciałbym, żebyś powiedziała mi, jakiego rodzaju może to być sztorm i dlaczego płyniemy w jego kierunku.

– Nie wiem, proszę pana – odpowiedziała Rho z powagą.

– Mike? – Thomas zwrócił się tym razem do mnie.

– Czytałem przesłany przez pana tekst. Jestem tak samo zaskoczony jak moja siostra.

– Wszyscy zapewniają mnie, że stoi za tym Zjednoczona Mnogość Task-Felderów.

Mam przyjaciół w Stanach Zjednoczonych, którzy zasiadają w Senacie Półkuli Zachodniej. Ci przyjaciele są w kontakcie z kalifornijskim Kościołem Logologii, który jest, jak się wydaje, kościołem matką wszystkich Logologów. Zjednoczona Mnogość Task-Felderów jest mniej

niezależna, niż chciałyby się wydawać; oni tańczą tak, jak im zagrają Logologowie z Kaliforni. Zdajecie sobie sprawę, że żadna księżycowa Zjednoczona Mnogość nie powinna działać jako przedstawicielstwo Ziemi ani też w celu lansowania zasad czysto religijnych... Wynika to z Porozumienia Zjednoczonych Mnogości Księżycy. Z Księżycowej konstytucji.

– Tak, proszę pana – potwierdziłem.

– Jednak Zjednoczonej Mnogości Task-Felderów udało się uniknąć lub zignorować bardzo wiele tych postanowień i nikt nie zażądał ich przestrzegania, ponieważ żadna Zjednoczona Mnogość nie lubi sytuacji, gdy przed Radą odbywa się jej próba sił z inną uprzywilejowaną Zjednoczoną Mnogością, nawet jeśli ta ostatnia ma powiązania z Ziemią. Mówiąc krótko, jest to niekorzystne dla interesów. Wszyscy lubimy myśleć o sobie jako o oschłych indywidualistach, dla których na pierwszym miejscu stoi rodzina, na drugim – Księżyc, na trzecim – Trójnia... i niech diabli wezmą Trójnię, jeśli szturchnięcia zamieniają się w ciosy. Rozumiecie, o co mi chodzi?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem.

– Przez dwadzieścia dziewięć lat służyłem naszej Zjednoczonej Mnogości jako szef jej pełnomocników, a potem dyrektor. Przez te wszystkie lata obserwowałem, jak Task-Felderowie rosną w siłę pomimo niechęci starszych Zjednoczonych Mnogości, wywodzących się z prawdziwych rodzin. Task-Felderowie są przebiegli, uczą się szybko, mają imponujące zaplecze finansowe, a także niepokojącą pewność siebie i energię.

– Zauważyłem to, proszę pana – odezwałem się. Thomas zacisnął wargi.

– Twoja rozmowa z Janis Granger nie była przyjemna?

– Nie, proszę pana.

– Zrobiliśmy coś, co ich uraziło. Moje źródła informacji na Ziemi twierdzą, że

Logologowie zamierzają zdjąć białe rękawiczki, zejść do parteru i zionąć ogniem niczym

wulkan, jeżeli okaże się to konieczna. Są głupi jak osły.

– Nie rozumiem dlaczego, proszę pana – powiedziała ostrożnie Rho.

– Miałem nadzieję, że któreś z was jest w stanie oświecić mnie w tym względzie.

Przekopaliście się przez skondensowany tekst, dotyczący ich historii i wierzeń. Nie znaleźliście niczego, co mogłoby sugerować przyczynę?

– Ja na pewno nie – stwierdziła Rho.

– Nasi zamrożeni przodkowie nie zrobili czegoś, co mogło ich zdenerwować?

– Nie wiemy o niczym takim.

– Rho, zdajesz sobie sprawę, że ze strony zaprzyjaźnionych z nami Zjednoczonych

Mnogości mamy do czynienia z czymś w rodzaju dwulicowości, prawda? Nernstowie i

Cailletetowie zamierzają zrobić dla nas jakieś projekty i wziąć naszą gotówkę, ale nie muszą

stać w naszej obronie na posiedzeniu Rady. – Thomas potarł palcem podbródek i zrobił

kwaśną minę. – Czy na liście głów, oprócz naszych prarodziców, jest jeszcze ktoś

interesujący?

– Przywiozłam swoje archiwum, w tym także listę osób znajdujących się pod ochroną

Towarzystwa “Gwiezdny Czas”. Jest tam jednak luka, na temat której nie mam żadnych

danych. Dotyczy ona trzech osób, które teoretycznie można ożywić. Prosiłam już adwokata

“Gwiezdnego Czasu”, który rezyduje w Nowym Jorku, o przesłanie mi wyjaśnienia w tej

sprawie. Nie otrzymałam jeszcze odpowiedzi.

– Czy przeprowadziliście kontrolę zbieżności tej listy?

– Słucham?

– Czy sprawdziliście historyczne korelacje pomiędzy powiązaniem Logologów i

listą?

– Nie.

– A ty, Mike?

– Nie, proszę pana.

Thomas spojrział na mnie z wyrzutem.

– Pozwólcie zatem, że ja to zrobię – powiedział, po czym wziął listę Rho i włożył ją do sztucznego mózgu, który znajdował się na jego biurku. Już na początku zauważyłem, że ta niewielka szara kostka to Ellen C, standardowy sztuczny mózg Mnogości Sandoval, udzielający rad wszystkim jej przedstawicielom. Ellen C był jednym z najstarszych typów sztucznych mózgow pracujących na Księżycu, obecnie przestarzałym, ale niewątpliwie nieodłącznym elementem naszej rodziny.

– Ellen, co my tu mamy? – spytał Thomas.

– Żadnych uderzających zbieżności ani korelacji pierwszego oraz drugiego stopnia – zakomunikował sztuczny mózg. – Kontrola zakończona.

Thomas uniósł brwi ze zdziwienia.

– Być może to ślepa uliczka – skonstatował.

– Sprawdzę jeszcze tę trójkę bezimiennych – zaofiarowała się Rho.

– Zrób to. A teraz, moje dzieci, chciałbym zrobić z wami powtórkę paru informacji.

Czy znacie wasze słabości – wasze własne, a także księżycowego systemu Zjednoczonych Mnogości?

W swojej naiwności nie byłem w stanie udzielić natychmiastowej odpowiedzi na to pytanie. Rho wydawała się w równym stopniu zakłopotana.

– Pozwólcie więc, że nieco starszy od was głupiec zrobi wam trochę wykładu.

Dziadek Ian Reiker-Sandoval faworyzował Rho, był zaślepiony na jej punkcie. Dawał jej wszystko, czego chciała. Dlatego właśnie Rho ma mężczyznę, jakiego chciała, kogoś spoza rodziny, kto nie odpowiada zwykłym kryteriom Sandoval dotyczącym właściwego doboru

małżeństw. Ale William wykonał znakomicie swoją robotę i wszyscy oczekujemy teraz na przełom. Jednakże...

– Jestem zepsuta – stwierdziła Rho, wyprzedzając wypowiedź Thomasa.

– Powiedzmy... że masz luz typowy dla bogatych dziewcząt, ale bez zepsucia powodowanego przez łatwy dostęp do fantastycznego majątku – powiedział Thomas. –

Niemniej masz do swojej dyspozycji poważne środki Zjednoczonej Mnogości i to stwarza ci możliwość wpędzenia nas w kłopoty, chociaż tak naprawdę nie masz nawet pojęcia, że nam zagrażają.

– Nie jestem pewien, czy te wnioski są słuszne – wtrąciłem się.

– Zgodnie z panującą opinią, są one w najwyższym stopniu słuszne – odparł Thomas, gromiąc mnie spojrzeniem. – To nie pierwszy raz... a może młode pokolenie Sandovali ma krótką pamięć?

Rho spojrzała najpierw na sufit, potem na mnie, a potem na Thomasa.

– Tulipany – powiedziała.

– Zjednoczona Mnogość Sandoval straciła na tym pół miliona dolarów Trójni. Na szczęście byliśmy w stanie przekształcić farmy na prowizoryczne zakłady farmaceutyczne.

Ale to zdarzyło się zanim wyszłaś za Williama i było w gruncie rzeczy nieznacznym...

jakkolwiek typowym dla twoich młodzieńczych przygód incydentem. Od tego czasu zrobiłaś się znacznie dojrzała... jestem pewien, że oboje zgodzicie się ze mną w tej kwestii. Jednak nigdy jeszcze nie zostałam wciągnięta w walkę, w której nie obowiązują żadne zasady. Zawsze mogłaś liczyć na pełne poparcie ze strony Mnogości. Mimo to trzeba ci przyznać, że nigdy nie sprowadziłaś na nas takich kłopotów, które mogłyby rzucić cień na dobre imię Sandovali. Na razie nie mogę przypiąć ci za to łatki, chociaż muszę stwierdzić, że nie jesteś szczególnie przewidująca.

– Obarcza ją pan odpowiedzialnością za wszystkie aspekty tej sprawy? – spytałem, wciąż przyjmując postawę obronną pod uważnym i spokojnym spojrzeniem Thomasa.

– Nie – odparł Sandoval-Rice po dającej do myślenia pauzie. – Oskarżam ciebie, Mike. Jesteś, mój drogi chłopcze, w gruncie rzeczy dyletantem o wąskich zainteresowaniach, bardzo dobrym na swoim poletku, czyli w Lodowej Komorze, ale pozbawionym doświadczenia w innych sprawach. Nie posiadasz ambicji Rho ani jej iskry nowatorskiej... Nie wykorzystasteś pod tym względem nawet swojego urlopu stypendialnego na Ziemi. Jeżeli mam być szczery, Mike, dobrze wykonujesz swoją pracę nadzorcy finansowego Lodowej Komory i na pewno pod tym względem nie mamy na co narzekać. Masz jednak znikome doświadczenie na szerszej scenie Trójni, a poza tym, przesiadując w Komorze, zrobiłeś się trochę otępiały. Nie skontrolowałeś projektu Rho.

Wyprostowałem się na krześle.

– Miał aprobatę Mnogości...

– Mimo to należało go skontrolować. Powinieneś był wyczuć, że coś jest nie tak. Być może nie istnieje nic takiego, jak przewidywanie wydarzeń, ale wyostrzone instynkty mają kluczowe znaczenie w naszej grze, Mike... W sposób bardzo płodny wykorzystywałeś przerwy pomiędzy wybuchami twojej aktywności w dziedzinie ekonomiki: zajmowałeś się dobrą ziemską literaturą, ambitną muzyką i w pewnej mierze historią. Na potańcówkach zapoznawczych stałeś się kimś w rodzaju kobieciarza. Trudno mieć o to do ciebie pretensję; jesteś przecież w wieku, w którym takie rzeczy są naturalne. Przyszedł jednak czas, kiedy powinieneś nabrać nieco muskułów. Chciałbym, żebyś zajął się też innymi sprawami. Będiesz od tej chwili uczestniczył w spotkaniach Rady – jedno z nich odbędzie się za parę dni – i zajmiesz się poszukiwaniem szczelin w pancerzu naszego systemu.

Wcisnąłem się głębiej w oparcie krzesła i nagle odczułem coś więcej niż tylko



niepokój. Powodem nie była wyłącznie niewesoła perspektywa debiutu w dziedzinie wielkiej polityki.

– Czy sądzi pan, że czekają nas jakieś niezwykle wydarzenia?

Thomas skinął głową.

– Niezależnie od twoich wad, Mike, jesteś inteligentny. Nie mam co do tego wątpliwości. Jeśli przyjdzie czas, gdy diabli wezmą zasady, wszystkie nasze dawne niedociągnięcia wyjdą na jaw jak szydło z worka. Jest to całkiem prawdopodobne. Czy nie zechciałbyś poinstruować mnie trochę w tej kwestii?

Wzruszyłem ramionami.

– Proszę pana, ja...

– Rozwiń skrzydła, młodzieńcze. Nie jesteś głupcem; w przeciwnym wypadku nie powiedziałbyś tego, co usłyszałem przed chwilą. W obliczu jakich niezwyklejch wydarzeń stoi Zjednoczona Mnogość?

– Nie mogę tego dokładnie określić, proszę pana. Nie wiem dokładnie, jakie słabości ma pan na myśli, ale...

– Mów dalej. – Thomas uśmiechnął się. Wyglądał teraz niczym bardzo inteligentny drapieżnik.

– W jakimś sensie przerośliśmy księżycową konstytucję. Dwa miliony ludzi w pięćdziesięciu czterech Zjednoczonych Mnogościach to dziesięć razy więcej niż w czasach, kiedy została napisana. *De facto* nie została ona stworzona przez jednego człowieka. Sfastrygował ją komitet, uważając, by nie naruszać ani nie unieważniać przywilejów poszczególnych Zjednoczonych Mnogości. Mam wrażenie, że sądzi pan, iż Task-Felderowie są zdolni do wywołania kryzysu konstytucyjnego.

– Tak? To zaczyna być interesujące.

– Jeżeli planują coś takiego, teraz jest najwyższy czas, by to zrobić. Studiowałem wykazy osiągnięć Trójni w ciągu ostatnich kilku lat. Wynikało z nich, że Zjednoczone Mnogości Księżyca stawały się w ciągu tego czasu coraz bardziej konserwatywne. W porównaniu z Marsem byliśmy... – znajdowałem się w tej chwili na szczycie pobudzenia nerwowego; żywo gestykułowałem i uśmiechałem się przymilnie, mając nadzieję, że nie wprowadzę w zakłopotanie ani nie obrażę nikogo.

– Słucham z uwagą.

– No cóż, przejawialiśmy trochę cech, o które oskarża pan mnie. Pograżyliśmy się w samozadowoleniu, chwalać sobie zastój, w którym się znaleźliśmy. Ale w chwili obecnej Trójnia przechodzi przez okres wielkich wstrząsów, ekonomika Ziemi uległa, zgodnie z oczekiwaniami, powtarzającemu się cyklicznie co czterdzieści lat kryzysowi. To w związku z tym Zjednoczone Mnogości stały się wrażliwe, niezabezpieczone przed ingerencją z zewnątrz. Nasza stara maksyma “kupą, mości panowie” zmieniła się obecnie w nastawienie typu “nie mącić wody w stawie”.

– Zgoda – odezwał się Thomas.

– Naprawdę nie byłem ślimakiem schowanym w swojej skorupie, proszę pana – powiedziałem z bolesnym wyrazem twarzy.

– Miło mi to słyszeć. Ale co będzie, jeśli Task-Felderowie przekonają jakąś znaczącą liczbę Zjednoczonych Mnogości, że mącimy wodę w sposób, który może spowodować obniżenie notowań Księżyca w Trójni?

– Mogłoby być źle. Ale dlaczego mieliby to zrobić? – spytałem, wciąż zaskoczony.

Rho nawiązała do mojego pytania:

– Thomas, w jaki sposób kilkaset głów mogłoby spowodować, aż taki kryzys? Co Task-Felderowie mogą mieć przeciw nam?

– Kompletnie nic, moje drogie dziecko – powiedział Thomas. Przedstawiciele

Zjednoczonych Mnogości znajdujący się wyżej w hierarchii często odnosili się do osób podległych sobie jak do własnych dzieci. – I to właśnie najbardziej mnie martwi.

Rho powróciła do Lodowej Komory, by nadzorować zakończenie przygotowań pomieszczenia, w którym miały być przechowywane głowy; ja zostałem, by przygotowywać się na spotkanie Rady. Thomas ulokował mnie w jednym z gościnnych pomieszczeń Mnogości, zarezerwowanym dla członków rodziny, urządzonej skromnie, lecz wygodnym. Czułem się przygnębiony i zły na siebie za to, iż okazałem się tak wrażliwy.

Naprawdę nienawidziłem rozczarowywać Thomasa Sandovala-Rice’a.

Nie pocieszała mnie myśl, iż prawdopodobnie dociął mi, by przyspieszyć krążenie mojej krwi, pobudzić do działania.

Pragnąłem za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której byłby ponownie zmuszony udzielać mi reprimendy.

Thomas obudził mnie z nerwowej godzinnej zaledwie drzemki, w którą zapadłem po dwunastu godzinach studiowania materiałów Mnogości. Czułem się tak, jakby moja głowa była pogiętą, wypełnioną powietrzem puszką.

– Dostrój się do głównej sieci informacyjnej Księżyca – polecił mi. – Przewiń to do ostatnich piętnastu minut informacji.

Zrobiłem, co mi kazał, i zacząłem oglądać przekaz holograficzny.

*Piętnastominutowy serwis informacyjny. Streszczenie: Ziemia indaguje jurysdykcję*

*Księżyca w kwestii zakupu przez Zjednoczoną Mnogość Sandoval Towarzystwa Ochronnego*

*“Gwiezdny Czas” oraz transferu hibernowanych ciał.*

*Rozwinięcie 1: Biuro Kongresu Stanów Zjednoczonych do Spraw Kontaktów z Trójnią*

*przesłało do Rady Zjednoczonych Mnogości Księżyca sojuszniczo-doradcze ostrzeżenie, iż*

*wykup przez Zjednoczoną Mnogość Sandoval kontraktu ochronnego obejmującego czterysta dziesięć hibernowanych głów zmarłych jednostek ludzkich z dwudziestego pierwszego wieku może być bezprawny z uwagi na przepis z końca dwudziestego wieku, dotyczący utrzymania archeologicznych artefaktów w granicach narodowych i kulturowych. Towarzystwo Ochronne “Gwiezdny Czas”, spółka cywilna finansowana z zasobów zmarłych osób prawnych wchodzących w jej skład, obecnie rozwiązana na Ziemi, dokonała już transferu swych członków, ruchomości oraz zobowiązań do Zjednoczonej Mnogości Sandoval. Główny przedstawiciel Mnogości Sandoval, Thomas Sandoval-Rice oświadczył, iż głowy znajdują się pod legalną kontrolą jego Zjednoczonej Mnogości, podlegającej...*

Utrzymany w tym tonie komunikat obejmował kolejne osiem tysięcy słów tekstu oraz cztery minuty zarejestrowanych wywiadów. Skończył się absolutnym przebojem, którym był wywiad z Pauliną Grandville, senatorem z Puerto Rico: “Jeśli mieszkańcy Księżyca mogą po prostu ignorować odczucia i pragnienia ich ziemskich przodków” – mówiła Grandville – “może to postawić pod znakiem zapytania całą strukturę dotychczasowych relacji między Ziemią a Księżycem”.

Przełączyłem się na linię Thomasa.

– To zadziwiające – powiedziałem.

– Bynajmniej – odparł Thomas. – Przejrzałem przekazy holo z Ziemi na Księżyc oraz ziemską prasę. To wszystko jest teraz w twoim zbiorniku informacji.

– Proszę pana, czytałem przez całą noc...

Thomas przeszył mnie wzrokiem.

– Nie oczekiwałem od ciebie ani odrobinę mniej. Pamiętaj, że nie mamy dużo czasu.

– Mógłbym nieco sprecyzować moje poszukiwania, gdyby pozwolił mi pan poznać pańską strategię, pański plan bitwy.

– Nie mam jeszcze żadnego, Mike. I ty także nie powinieneś mieć. To są dopiero początkowe rundy. Pamiętaj, nigdy nie strzelaj z broni, dopóki nie wybierzesz celu.

– Czy wiedział pan wcześniej o tym, że Kalifornia może kazać Puerto Rico zrobić coś takiego?

– To była tylko pojedyncza wzmianka, nic poza tym. Niestety, moje źródła informacji zamilkły. Obawiam się, że nie usłyszę już więcej ziemskich plotek. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Chciałem zapytać go, dlaczego źródła informacji zamilkły, ale czułem, że wykorzystałem już przysługujący mi limit pytań.

Jeszcze nigdy w życiu nie zetknąłem się z problemem, którego implikacje miały zasięg międzyplanetarny. Po osiemnastu godzinach wypełnionych rzetelnymi studiami nie czułem się mądrzejszy niż na początku, chociaż głowę miałem pełną faktów; na temat Task-Felderów, na temat przewodniczącej Rady i jej zastępczyni oraz jeszcze większej liczby faktów na temat logologii.

Byłem przygnębiony i zły. Siedziałem przez godzinę z głową wspartą na dłoniach, rozmyślając dlaczego cały świat nagle wali się jakby prosto na mnie. Miałem w końcu choćby cząstkową odpowiedź na krytyczne uwagi Thomasa pod moim adresem. Nie posiadając cechy zwanej intuicją nie sądziłem, by ktokolwiek, nawet nią obdarzony, mógł przewidzieć taki rezultat przedsięwzięcia Rho.

Uniosłem głowę, by odpowiedzieć na sygnał z prywatnej linii, łączący mój apartament z innymi kwaterami dla gości.

– Mam bezpośrednie wezwanie z Kosmoportu Jin dla pana Mike’a Sandovala – usłyszałem.

– To ja.

Sekretarka połączyła mnie z Kosmoportem. Ujrzałem przed sobą holograficzny obraz Fiony Task-Felder, przewodniczącej Rady.

– Panie Sandoval, czy mogłabym zająć panu kilka minut?

Byłem oszołomiony.

– Przepraszam, nie oczekiwałem... połączenia. W każdym razie nie tutaj.

– Lubię pracować w sposób bezpośredni, szczególnie gdy moi podwładni zawalają sprawę, co, jak sądzę, zrobiła Janis.

– Ach... tak?

– Czy może pan zatem poświęcić mi kilka minut?

– Proszę, pani Prezydent... Choć wolałbym raczej, by przeprowadziła pani rozmowę z naszym głównym przedstawicielem, z którym możemy się połączyć...

– Wolałabym tego nie robić, panie Sandoval. Chodzi tylko o kilka pytań i być może będziemy w stanie wszystko naprawić.

Fiona Task-Felder różniła się od swej zastępczyni bardziej niż można sobie było wyobrazić w najśmielszych oczekiwaniach. Z pewnością dawno przekroczyła sześćdziesiątkę i miała siwe włosy. Jej muskularna budowa świadczyła o wielu godzinach starannych codziennych ćwiczeń. Pod krótką, oficjalną tuniką ze znakiem Rady miała na sobie zwykły, elastyczny strój. Wyglądała na osobę pełną energii, przyjacielską i opiekuńczą. Była przystojną kobietą, choć jej wygląd był niemal przeciwieństwem wystudiowanej i sztucznej surowości Janis Granger, nie mówiąc oczywiście o różnicy wieku.

Powinienem być mieć nieco więcej rozumu w głowie, ale, nie podejrzewając nic, powiedziałem wówczas:

– W porządku. Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

– Dlaczego pańska siostra chciała mieć te głowy?

– Już to wyjaśnialiśmy.

– Zrobiliście to w sposób, który prawdopodobnie zadowolił wyłącznie was samych.

Dowiedziałam się, że są wśród nich wasi dziadkowie... przepraszam, wasi pradziadkowie.

Czy to jest prawdziwy powód?

– Nie sądzę, żebyśmy mogli teraz dyskutować na ten temat, a w każdym razie nie pod nieobecność mojej siostry, a przede wszystkim naszego dyrektora.

– Staram się to zrozumieć, panie Sandoval. Sądzę, że powinniśmy zaaranżować nieformalne spotkanie, bez jakiegokolwiek ingerencji ze strony zastępów przedstawicieli Rodzin i szybko naprawić to, co się stało, zanim ktoś inny wyolbrzymi ten konflikt ponad wszelką miarę. Czy to możliwe?

– Sądzę, że Rho mogłaby wyjaśnić...

– Dobrze, w takim razie proszę ją sprowadzić.

– Przykro mi, ale...

Przybrała wyraz twarzy świadczący o czymś w rodzaju macierzyńskiej irytacji, tak jakbym był jej nieposłusznym synem lub niesfornym kochankiem.

– Stwarzam panu unikalną możliwość załatwienia tego zgodnie ze starą księżycową tradycją pertraktacji twarzą w twarz, bez udziału polityków. Myślę, że możemy rozwiązać ten problem, pod warunkiem że będziemy działać szybko.

Czułem się zbity z tropu. Namawiano mnie właśnie do wykroczenia poza formalne procedury... do podjęcia natychmiastowej decyzji.

Uświadamiałem sobie, że jedynym sposobem podjęcia tej gry jest ignorowanie jej nie wypowiedzianych zasad.

– Zgoda – powiedziałem.

– Mam wolny termin i miejsce spotkania na trzecim poziomie o godzinie tysięcznej.

Czy to jest dogodne dla pana?

Wyznaczony przez nią termin przypadła za trzy dni. Szybko obliczyłem w pamięci, że w tym czasie będę już z powrotem w Bazie Lodowej Komory. Oznaczało to konieczność wynajęcia czarterowego promu na przelot do Kosmoportu Jin.

– Dobrze, spotkam się z panią w tym terminie – powiedziałem.

– Zatem oczekuję pana – powiedziała Fiona Task-Felder, zostawiając mnie w pokoju dla gości samego, bym mógł zastanowić się nad dokonaniem dogodnej w tym względzie opcji.

Nie udało mi się przełamać nie wyrażonych reguł jej gry. Nie rozmawiałem w tej sprawie z Thomasem Sandoval-Rice'em. Nie poinformowałem o swoich działaniach również Rho. Zanim opuściłem Kosmoport Jin, udając się w podróż powrotną do Lodowej Komory, w tajemnicy zamówiłem specjalny, nie ujęty w rozkładzie, powrotny lot promem, wydając sporą sumę z funduszy Mnogości Sandoval na transport jednego tylko pasażera; na szczęście, dzięki swojej pozycji nie musiałem wdawać się w żadne szczegóły.

Nie sądziłem, by Thomas lub Rho szukali mnie w czasie, gdy będę poza bazą; wiedziałem, że moja nieobecność ograniczy się do sześciu godzin podróży, kilku godzin pobytu w kosmoporcie oraz kolejnych sześciu na drogę powrotną. Planowałem też, że, zgodnie z panującym w naszej bazie obyczajem, pozostawię wiadomość dla wszystkich, którzy będą chcieli skontaktować się ze mną, wliczając w to Rho, Thomasa, a także – co było znacznie mniej prawdopodobne – Williama.

Do dziś czuję nerwowe burczenie w kiszki, gdy zadaję sobie pytanie, dlaczego nie uległem pierwszej intuicyjnej myśli, by powiedzieć Thomasowi o propozycji przewodniczącej Rady. Myślę, że prawdopodobnie nie byłem dość dojrzały emocjonalnie, czego powodem były zwyczajowe docinki Thomasa; to, a także dziwaczna satysfakcja,



wynikająca z faktu, iż sama przewodnicząca Rady zechciała rozmawiać ze mną osobiście. Zdecydowała się poświęcić część swego niezwykle cennego czasu, by porozmawiać z kimś, kto nie jest nawet zastępcą oficjalnego przedstawiciela Mnogości. By porozmawiać ze mną. Wiedziałem, że nie robię tego, co powinienem, ale niczym mysz zahipnotyzowana przez węża przed atakiem ignorowałem wszystkich z wyjątkiem siebie. Ten sposób zachowania – jak przekonałem się – nie był moją wyłączną właściwością. Stanowił przypadłość dość powszechną wśród obywateli Księżyca.

Żądamy zwykle: “Skończcie z tą polityką!”, lecz za każdym razem dajemy się uwieść wyzwaniu polityki i jej intrygom.

Naprawdę sądziłem, że jestem w stanie pokonać Fionę Task-Felder.

Gdy nasze procesory wykonały plan, dostarczony nam przez inżynierów z Mnogości Nernst, okazało się, że przechowalnia głów przypomina spłaszczony pączek kwiatu, leżący jakby na boku; był to szeroki, kolisty korytarz, gdzie głowy zostały umieszczone w siedmiu rzędach specjalnych kabin wokół zewnętrznego okręgu tunelu. Ułożone w sposób systematyczny, będą mogły z powodzeniem leżeć tak na dnie lodowej szczeliny o kształcie kielicha, znajdując się poza zasięgiem specyficznych zakłóceń, które mogłyby pojawić się w Pompach Chaosu podczas eksperymentów Williama. Przechowalnia miała również bardzo proste połączenie z chłodniami, skała księżycowa zaś spełniała rolę izolatora zewnętrznej ściany korytarza. Przewody i inne potrzebne urządzenia mogły doskonale zostać opuszczone z chłodni znajdujących się powyżej. Dostęp do przechowalni zapewniała niewielka winda, zamontowana na moście po stronie przeciwnej niż Jama.

Był to bardzo zgrabny projekt, taki, jakiego spodziewaliśmy się po Mnogości Nernst.

Nasze procesory wykonały go idealnie, mimo że były przestarzałe o dziesięć lat w stosunku do urządzeń tego typu najnowszej generacji.

Nikt ani razu nie wspomniał o problemach związanych z Radą Mnogości. Zaczęłam odczuwać nieuzasadnioną pewność siebie; projekt poinformowania Thomasa o planowanym spotkaniu z przewodniczącą Rady stopniowo zaczął blednąć z powodu nastroju, w jakim byłem. Poradzę sobie z nią – myślałem. – Zagrożenie jest minimalne. Jeśli będę wystarczająco sprytny, wystarczy, że wpadnę tam na kilka chwil, co nie spowoduje żadnej szkody, choć prawdopodobnie nie będzie miało żadnego pożytku dla nikogo.

Dzień po tym, jak skończyłem nadzór przechowalni oraz przyjąłem raport z jej inspekcji, przygotowany przez inżynierów z Mnogości Nernst – było to już po umieszczeniu ostatnich głów przywiezionych przez Rho w ich kabinach – podpisałem moją zgodę na wypłatę końcowego honorarium dla Mnogości Nernst. Potem wezwałem konsultantów z Mnogości Cailletet, by przejrzieli oprzyrządowanie przechowalni. Spakowałem swoją torbę podróżną i wyruszyłem.

Powierzchnia księżycowych mórz swą szarą jednostajnością powoduje coś w rodzaju stanu hipnozy, będącej mieszaniną fascynacji ogromem pozbawionym jakiegokolwiek życia obszarów, niemożliwych do ogarnięcia ludzką pamięcią czy wyobraźnią, oraz niewiarygodnej nudy. Jednak niektóre części Księżyca wywołują uczucie zachwytu nawet w mieszczechu swym specyficznym, surowym pięknem: ściany kraterów, ogromne powierzchnie zryte szczelinami, malownicze płaszczyzny prastarych kanałów, wygładzonych przez płynący czas. Życie na Księżycu to proces zwracania się ku sobie, ku wewnętrznej przestrzeni życiowej, także ku wnętrzu ludzkiej duszy. Mieszkańcy Księżyca rozwinęli w sposób niezwykle introspekcyjną, dekorację wnętrza, a także uprawiane w domowym zaciszu gałęzie sztuki i rzemiosła. Na Księżycu mieszka wielu spośród najznakomitszych artystów Systemu Słonecznego, a ich dzieła osiągają wysokie ceny w całej Trójni.

W czasie podróży do Kosmoportu zasnąłem i przez dwie godziny śniłem znów o

starożytnym Egipcie, o nieskończonych, pozbawionych nawet najmniejszej kropli wody pustyniach, rozciągających się wokół wąziutkich wstążeczek nawadnianych przez Nil obszarów, o pustyniach zaludnionych przez mumie, prowadzące karawany jucznych wielbłądów. Wielbłądy te dźwigały miseczki pełne lodu, wydając dźwięki przypominające ssanie Pomp Chaosu...

Obudziłem się nagle, przeklinając Williama za tę jego opowieść, za jakąś szczególną fascynację, którą we mnie budziła. Cóż tak nadzwyczajnego mogło być w obrazie przestrzeni pochłaniającej ciepło z wypełnionych wodą miseczek? To samo zjawisko było zasadą działania naszych promienników cieplnych zamontowanych na powierzchni, nad Lodową Komorą. Mimo to nie mogłem wyobrazić sobie ziemskiego nieba tak czarnego i pustego, jak księżycowe: wybaczaającego wszystko i wszystko pochłaniającego.

Po kilku minutach prom wylądował miękko w Kosmoporcie Jin. Wsiadłem zeń i część mojej świadomości nadal wierzyła w to, że teraz, na godzinę przed umówionym terminem spotkania z przewodniczącą, pójdę jeszcze do biura Thomasa, by opowiedzieć mu o wszystkim.

Nie zrobiłem tego. Spędziłem godzinę szukając prezentu urodzinowego dla dziewczyny ze Stacji Kopernika, o której względy właściwie wówczas nie zabiegałem; chodziło po prostu o to, by jakoś wypełnić czas. Mój umysł był całkowicie pusty, jakby oczyszczony.

Szedłem tunelami Kosmoportu, równocześnie ześlizgując się po równi pochyłej prowadzącej ku katastrofie. Wykorzystywałem czas, który pozostał do spotkania, by psychicznie się do niego przygotować. Nie byłem aż tak głupi, by uważać, że niebezpieczeństwo nie istnieje; część mego umysłu czuła nawet, że to, co robię, obróci się raczej na złe niż na dobre. Jednak, nie bacząc na nic, ześlizgiwałem się w stronę biura

przewodniczącego Rady; na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że moja pewność siebie wciąż przewyższała wątpliwości. W sumie czułem się raczej zadufany niż niespokojny.

To była polityka. Całe moje wychowanie zakorzeniło we mnie przeświadczenie o zasadniczej nicości, bezsensowności księżycowej polityki. Dygnitarze z Rady byli dla mnie zaledwie sekretarzami, służącymi całemu splotowi złożonych interesów księżycowych rodzin, stawiającymi kropkę nad “i” w ich skomplikowanych zasadach współpracy. Byłaby ona prowadzona najprawdopodobniej również bez nich, wynikała według mnie po prostu z zasad uprzejmości i wzajemnej korzyści.

Większość spośród naszych przodków to inżynierowie i górnicy przybyli tutaj z Ziemi. Byli to ludzie konserwatywni i niezależni, podejrzliwi wobec wszelkich autorytetów, żywiący silne przekonanie, iż nawet wielkie skupiska ludzi mogą żyć we względnym spokoju i dobrobycie bez zbędnych nadbudówek w postaci rządu i związanej z nimi biurokracji.

Moi przodkowie starali się zawsze niszczyć rozwijające się samorzutnie piętra owej zbędnej nadbudowy. Ich powtarzane bez przerwy zawołanie: “Skończcie z tą polityką!” poparte było pełnym oburzenia wstrząsaniem głowami i dumnie uniesionym wzrokiem.

Polityczna organizacja społeczeństwa była według nich złem, rząd złożony z reprezentantów społeczności – rządem narzuconym. Po co wybierać reprezentantów – rozumowali – jeśli doskonale można oprzeć wzajemne stosunki na osobistych kontaktach? Niech będą one kameralne, bezpośrednie i w miarę możliwości nieskomplikowane, a wolność stanie się ich naturalną konsekwencją.

Nie udało im się ograniczyć do kameralnych kontaktów. Zaludnienie Księżyca wzrosło wkrótce do takich rozmiarów, że okazała się konieczna sztuczna nadbudowa w postaci rządu i reprezentacji obywateli. Jednak, podobnie jak stało się to z obyczajami seksualnymi w niektórych ziemskich kulturach, konieczność nie gwarantowała

odpowiedzialności i racjonalnego planowania.

Od samego początku księżycowe Rodziny Pierwsze i ich założyciele – wliczając w to, muszę przyznać, Emilię i Roberta Sandoval – łamali księżycową konstytucję, jeśli terminem “konstytucja” można nazwać sztucznie skleconą całość, zestawienie pogłosek i przywilejów zawierających się w paragrafach zaczerpniętych ze statutów poszczególnych księżycowych stacji.

Potem pojawiła się wspólna organizacja Mnogości, niezdyscyplinowana, skomponowana dorywczo i uporządkowana bez entuzjazmu. W czasie Rozłamu, gdy wsparcie ekonomiczne Ziemi zostało przerwane i pojawiły się pierwsze Zjednoczone Mnogości, Księżyc stał się zbiorowiskiem posłusznych naiwniaków, którzy, jak się okazało, mieli początkowo piekielne szczęście. Zjednoczone Mnogości nie były organizacjami politycznymi, lecz rodzinami biznesmenów, “przedłużeniem ludzkich jednostek”, jak mawiali mieszkańcy Księżyca. Nie widzieli oni nic złego w rozbudowanych strukturach rodzin, a nawet w ich korporacjach; nie dostrzegali zła także w jednolitych strukturach Mnogości, ponieważ nie traktowali ich na zasadzie instytucji rządowych.

Gdy Zjednoczone Mnogości musiały założyć swoje oficjalne biura i zaczęły wspólnie przestrzegać zapisanych oraz niepisanych przepisów, by uniknąć wzajemnych tarć, zinterpretowano to nie jako próbę stworzenia rządu, lecz jako zwykły pragmatyzm. Z kolei gdy Mnogości stworzyły Radę, nie dostrzegano w tym nic bardziej złowróbnego, niż w gromadzeniu się biznesmenów w celu dyskusji i zyskania indywidualnego consensusu. (Oksymoron: “indywidualny consensus” był wówczas bardzo popularny). Rada

Zjednoczonych Mnogości początkowo rzeczywiście nie była niczym więcej niż komitetem, zorganizowanym, by zredukować tarcia pomiędzy konsorcjami – instytucją fasadową i pozbawioną realnej władzy.

Byliśmy wciąż prostoduszni i nie przypuszczaliśmy, że cena wolności zależy od ciągłej sprawowanej nad nią opieki – wymaga to wnikliwego planowania, starannej organizacji, nasza zaś indywidualistyczna filozofia nie jest lepszą ochroną przed polityczną chorobą niż przed zwykłą zarazą.

Sądziacie, że jestem naiwny...? Zgoda, byłem naiwny. Wszyscy byliśmy tacy.

Biura przewodniczącej znajdowały się w specjalnym przeznaczonym dla Rady pawilonie, dobudowanym do zachodniej dzielnicy mieszkaniowej Kosmoportu Jin; były to przedmieścia, odległe od centrów życia i aktywności Zjednoczonych Mnogości, jak przystało na instytucję polityczną. Biura te były liczne, lecz trudno je określić jako okazałe; reprezentanci wielu małych Mnogości mogli poszczycić się większą zamożnością swych siedzib.

Wszedłem najpierw do biura przyjęć, pomieszczenia o powierzchni zaledwie czterech metrów kwadratowych, w którym za biurkiem siedział urzędnik, będący najwyraźniej dodatkiem do automatycznego systemu terminy spotkań.

– Witam pana – powiedział. Wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat, miał siwe włosy; wyraz jego twarzy wydawał się miły, a zarazem bystry.

– Mike Sandoval – przedstawiłem się. – Mam zaproszenie od pani przewodniczącej.

– Zgadza się, panie Sandoval. Przyszedł pan blisko trzy minuty za wcześnie, ale sądzą, że pani przewodnicząca jest teraz wolna.

Automatyczny system ustalania wizyt wyświetlił na ekranie mnóstwo informacji.

– Tak, panie Sandoval. Proszę wejść. – Skierował mnie gestem w stronę podwójnych drzwi po lewej stronie, które otwały się, ukazując długi hall. – To tam, na końcu. Proszę nie zwracać uwagi na bałagan; nasza administracja dopiero się tu wprowadza.

Pudełka z kostkami informacyjnymi oraz innego rodzaju akta, ułożone starannie w

stosy, wypełniały szczelnie hall pod ścianami. Kilka młodych kobiet w charakterystycznych, płowych strojach z Kosmoportu – nigdy nie uważałem tego stylu za atrakcyjny dla oka – przemieszczało archiwa do biura, poruszając się przez hall wózkami elektrycznymi. Uśmiechały się, gdy przechodziłem obok nich, a ja odwzajemniałem ich uśmiechy. Wypełniała mnie pewność siebie, gdy tak wędrowałem poprzez przyjemny, by nie powiedzieć: kuszący – choć urządzony jeszcze dość banalnie – hall do gabinetu Fiony Task-Felder. Tak, to byli właśnie ci przesadnie dobrze ułożeni Logologowie. Poszczególne przewodniczący Rady, jeśli sobie tego życzyli, mogli wybierać wszystkich członków personelu spośród własnej Mnogości. Nie spowodowałyby to nigdy oskarżeń o nepotyzm lub nieuzasadnione faworyzowanie własnej rodziny, ponieważ, zgodnie z panującymi w księżycowej polityce obyczajami, taka praktyka była czymś normalnym.

Biuro Fiony Task-Felder znajdowało się na końcu hallu. Szerokie, standardowe na Księżycu drzwi wejściowe otworzyły się automatycznie, gdy do nich podeszedłem, i ukazała się w nich przewodnicząca we własnej osobie. Podeszła parę kroków zza swojego biurka, by uścisnąć moją dłoń.

– Dziękuję za przybycie – powiedziała na wstępie. – Panie Sandoval...

– Proszę mówić do mnie: Mike – przerwałem.

– Bardzo mi miło, Fiona. Jak widzisz, dopiero się tu wprowadzamy. Siadaj.

Pogadajmy o tym, czy uda się osiągnąć coś w rodzaju ugody pomiędzy Radą a Mnogością Sandoval.

Tym samym – zaiste z godną podziwu delikatnością – dała mi do zrozumienia, że nasza rodzina jest w jakiś sposób oddzielona od wspólnoty pozostałych Mnogości. Nie obruszyłem się nawet, słysząc tę sugestię. Oczywiście dostrzegłem ją, ale wywnioskowałem, iż nie mogła być zamierzona. Politykę księżycową cechowała przecież niemal wzorowa

uprzejmość, ta uwaga zaś wydawała się zbyt dosadna, by mogła być uczyniona świadomie.

– Może soku owocowego? Podajemy tutaj tylko to – stwierdziła Fiona z uśmiechem.

Widziana bezpośrednio, wydawała się jeszcze bardziej akurata niż na ekranie komunikatora.

Jej wygląd budził zaufanie. Była osobą barczystą, z gęstymi, krótko obciętymi włosami; jej

błękitne oczy okalały zmarszczki, które moja matka nazwała kiedyś “dywidendami na rzecz

upływającego czasu”. Wziąłem od niej szklanekę soku i usadowiłem się przy końcu

szerokiego, wygiętego w łuk biurka, na którym ustawione były dwa ekrany z klawiaturami.

– Zdaje się, że przechowalnia została już wykonana i Cailetetowie zaczynają swoją

robotę w Komorze? – spytała przewodnicząca.

Skinąłem głową.

– Czy są bardzo zaawansowani?

– Nie bardzo – odparłem.

– Czy ożywiliście już jakieś głowy?

Aż mną rzuciło, gdy usłyszałem to pytanie. Musiała przecież wiedzieć równie dobrze

jak ja, że ożywianie jakichkolwiek głów nie leżało w naszych planach, że nikt nawet nie

myślał tego robić.

– Oczywiście, że nie – potwierdziłem, siląc się na spokój.

– Jeśli to zrobiliście, uczyniliście wbrew życzeniom Rady.

Już na samym początku udało jej się wyprowadzić mnie z równowagi. Gorączkowo

próbowałem pozbierać się po tym ciosie.

– Nie złamaliśmy żadnych przepisów.

– Rada została poinformowana przez przedstawicieli innych Mnogości, że są

zaniepokojeni waszymi działaniami.

– Masz na myśli to, że obawiają się sprowadzenia przez nas z Ziemi kolejnych partii



zamrożonych głów?

– Tak. – Skinęła zdecydowanie głową. – Jeśli zdarzy się, że będę miała do czynienia z podobną możliwością, nie zamierzam do tego dopuścić. A teraz proszę wyjaśnić mi, co zamierzacie zrobić z tymi głowami.

Kompletnie osłupiałem.

– Słucham? – spytałem, nie wierząc własnym uszom. – To jest...

– To wcale nie jest poufne, Mike. Zgodziłeś się przecież przyjechać tu i ze mną rozmawiać. Wiele Zjednoczonych Mnogości niecierpliwie oczekuje na moje sprawozdanie z konferencji z tobą.

– Nie tak rozumiałem intencje tego spotkania, Fiono – odparłem, starając się mówić spokojnie. – Nie jestem tu po to, by zeznawać pod przysięgą i wcale nie muszę ujawniać planów rodziny jakiegokolwiek członkowi Rady, nawet jej przewodniczącej. – Usadowiłem się pewniej na krześle, starając się odzyskać moją dotychczasową, ulatującą właśnie z wiatrem pewność siebie.

Przybrała surowy wyraz twarzy.

– Mike, zwykła uprzejmość wobec innych Mnogości wymaga, żebyście wyjaśnili, co zamierzacie zrobić.

Miałem nadzieję, że uda mi się ją zbyć, ofiarowując jakąś smakowitą informację.

– Głowy są przechowywane w Lodowej Komorze, jaskini, w której pracuje obecnie mój brat.

– Masz na myśli swojego szwagra?

– Tak. Ponieważ został przyjęty do rodziny, nie zwracamy uwagi na takie rozróżnienia.

Mógłbym dodać: “nie zwracamy uwagi, rozmawiając z obcymi”, ale oczywiście nie

zrobiłem tego. Fiona uśmiechnęła się, ale wyraz jej twarzy pozostał surowy.

– Nazywa się William Pierce – skonstatowała. – To on przeprowadza finansowane przez waszą Mnogość badania nad bardzo niskimi temperaturami, wykorzystując od tego miedź?

Skinałem głowę.

– Czy osiągnął sukces?

– Jeszcze nie – odparłem.

– Czy to zwykły zbieg okoliczności, że jego urządzenia nadają się do przechowywania głów?

– Tak, przypuszczam, że tak. Gdyby jednak tak nie było, moja siostra prawdopodobnie nie sprowadziłaby głów na Księżyc. Myślę więc, że nie był to zwykły zbieg okoliczności, lecz raczej możliwości, którą stworzyły urządzenia Williama.

Fiona wystukała polecenie i na ekranach pojawił się wykaz księżycowych

Zjednoczonych Mnogości, które optowały za tym, by zostało przeprowadzone śledztwo w sprawie importu głów przez rodzinę Sandoval. Na liście tej zobaczyłem rzeczywiście samą śmietankę: cztery najważniejsze Mnogości, oczywiście oprócz Sandovali, oraz piętnaście innych rozrzuconych po całym Księżycu. Byli wśród nich także Nernstowie i Cailletetowie.

– Nawiasem mówiąc – odezwała się Fiona. – Czy wiesz, że staliście się sławni także na Ziemi?

– Słyszałem o tym – odparłem.

– Czy wiesz, że na Marsie zaczyna się właśnie awantura związana ze sprawą głów?

Nie miałem o tym pojęcia.

– Chcą, by ci, którzy zmarli na Ziemi, pozostali na niej – stwierdziła przewodnicząca.

– Sądzą, że eksport zamrożonych głów stwarza zły precedens, który może spowodować, że

planety zewnętrzne staną się odpowiedzialne za problemy wewnętrznych. Uważają też, że

Księżyc knuje coś wspólnie z Ziemią, by pozbyć się tego problemu.

– To nie jest żaden problem – powiedziałem zirytowany. – Przez całe dziesięciolecia nikt na Ziemi nie robił zamieszania z tego powodu.

– Więc dlaczego teraz powstało zamieszanie?

Starałem się wymyślić jakiś sposób na udzielenie grzecznej odpowiedzi.

– Sądzimy, że stoją za tym Task-Felderowie – stwierdziłem w końcu.

– Oskarżasz mnie o to, że popieram w Radzie interesy mojej Zjednoczonej Mnogości wbrew urzędowej przysiędze?

– O nic nikogo nie oskarżam. Mamy jednak dowody, że przedstawicielka... eee...

przedstawicielka narodowego zgromadzenia Stanów Zjednoczonych z Puerto Rico...

– Przedstawicielka kongresu – poprawiła mnie Fiona.

– Tak... Wiedziałaś o tym?

– Jest Logologiem, podobnie jak większość mieszkańców Puerto Rico. Oskarżasz wyznawców mojej religii o sprowokowanie tej sytuacji?

Jej głos był do tego stopnia pełen zaskoczenia i oburzenia, że przez moment zacząłem mieć wątpliwości. Czyżbyśmy się mylili? Czyżby koincydencja faktów wprowadziła nas w

błąd? A może błędnie ją zanalizowaliśmy? Po chwili jednak przypomniałem sobie Janis

Granger i taktykę, którą zastosowała podczas naszego pierwszego spotkania. Fiona

Task-Felder nie była delikatniejsza ani bardziej uprzejma od swojej zastępczyni. Zostałem tu przez nią zaproszony po to, by mogła zmieszać mnie z błotem.

– Przepraszam, pani prezydent – powiedziałem. – Chciałbym, żeby wytłuszczyła pani zasadniczy przedmiot sprawy.

– Mike, sedno sprawy polega na tym, że przez przybycie tutaj wyraziłeś zgodę na

złożenie zeznania w sprawie waszych działań i wszystkiego, co łączy się z powstałym zamieszaniem, przed całą Radą na jej następnym zebraniu, które odbędzie się za trzy dni.

Uśmiechnąłem się, pokręciłem głową przecząco, a potem przysunąłem bliżej swoją tabliczkę szyfrową.

– Autodoradca – wydałem polecenie. Na dźwięk tych słów uśmiech Fiony stał się bardziej surowy, a spojrzenie jej błękitnych oczu jeszcze bardziej przenikliwe.

– Czy to jakieś nowe prawo, które wysmażyliście specjalnie na tę okazję? – spytałem, siląc się na wyrafinowanie precyzyjny i pozbawiony skrupułów sposób zachowania.

– Bynajmniej – odparła, a ja poczułem niemal fizyczny ból, jakby na moim gardle zaciskały się pazury. – Możesz sobie myśleć co chcesz o Zjednoczonej Mnogości Task-Felderów i o Logologach, do których należę, lecz wiedz o tym, że nie gramy niezgodnie z zasadami. Zadaj swojemu autodoradcy pytanie o kurtuazyjne rozmowy i formalne posiedzenia Rady. Musisz wiedzieć, Mike, że nasza rozmowa jest kurtuazyjna i że tak właśnie ją oficjalnie odnotowałam.

Mój autodoradca odnalazł stosowne przepisy, dotyczące rozmów kurtuazyjnych, i okazało się, że prawo, które miała na myśli Fiona, zostało ustanowione przed trzydziestu laty właśnie przez Radę. Gwarantowało jej uprawnienia do usłyszenia wszystkiego, co zostało powiedziane osobiście jej przewodniczącemu, przy czym przesłuchanie miało charakter zeznania pod przysięgą. Było to dziwne prawo, nad wyraz trąące parafiańszczyzną; powoływano się na nie tak rzadko, że nigdy o nim nie słyszałem. Aż do tej pory.

– Kończę tę dyskusję – powiedziałem wstając.

– Przekaż Thomasowi Sandovalowi-Rice’owi, że obaj jesteście zobowiązani do stawiennictwa na następnym zebraniu. Zgodnie z porozumieniami Rady Mnogości Księżyca nie macie innego wyboru, Mike.

Nie uśmiechała się już. Opuściłem biuro, przeszedłem szybko przez hall, nie patrząc na nikogo, a zwłaszcza na młode dziewczyny wciąż transportujące akta.

– Cóż, wygląda na to, że złapała królika w sidła – powiedział Thomas, nalewając mi piwo.

Od momentu, gdy przy jego drzwiach zapowiedziałem swoje przybycie i z udręką wyznałem, jak nedorzecznie postąpiłem, był nienaturalnie cichy. Stawianie czoła jego milczącemu rozczarowaniu okazało się znacznie gorsze niż napad furii, którego się spodziewałem.

– Nie wiń za to wyłącznie siebie, Mike – powiedział cicho Thomas; był teraz zamknięty w sobie i oklapły niczym wodny anemon dotknięty czymś nieuważnym palcem. – Powinienem był przewidzieć, że spróbują czegoś w tym stylu.

– Czuję się jak idiota – wyznałem.

– Mówisz to po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut – odparł Thomas. –

Oczywiście, zachowałeś się jak idiota, ale nie upadaj pod ciężarem tej świadomości.

Potrząsnąłem głową przecząco; upadłem już pod tym ciężarem tak nisko, jak tylko można upaść.

Thomas uniósł swoje piwo i przyjrzał się dużym bańkom powietrza we wnętrzu złocistego płynu.

– Jeśli nie będziemy zeznawać – stwierdził – znajdziemy się w jeszcze gorszych kłopotach. Będzie to wyglądać tak, jakbyśmy ignorowali życzenia innych Zjednoczonych Mnogości, jakbyśmy stali się renegatami. Jeśli zaś będziemy zeznawać, zostaniemy wmanewrowani w łamanie świętego prawa Zjednoczonych Mnogości do zachowania prywatności swoich interesów i prowadzonych badań, a to spowoduje, że zaczniemy wyglądać jak cherlaki i głupcy. Przewodnicząca zrobiła nam wielki kłopot, Mike. Ale gdybyś

odmówił przybycia do niej i powołał się na przysługujący Mnogościom przywilej, spróbowałyby czegoś innego...

– Wreszcie możemy być pewni, co nas czeka – kontynuował po chwili. – Izolacja, wzajemne obwinianie się, prawdopodobnie wycofanie zawartych z nami kontraktów, być może całkowity bojkot naszych usług. To nie zdarzyło się nigdy przedtem, Mike. Nie ma żadnej wątpliwości, że w tym tygodniu będziemy tworzyć historię.

– Czy istnieje cokolwiek, co mógłbym zrobić?

Thomas skończył swoją szklankę piwa i wytarł wargi.

– Jeszcze jedną? – spytał, wskazując na stojącą opodal beczułkę. Potrząsnąłem głową przecząco. – Nie...? Ja też nie. Musimy teraz mieć jasne umysły, Mike; musimy też zwołać zebranie całej rodziny. Powinniśmy stworzyć w niej silne poczucie wewnętrznej solidarności; to zaszło znacznie dalej niż cokolwiek, z czym mógłby poradzić sobie jedynie dyrektor i jego przedstawiciele.

Powracałem promem z Kosmoportu Jin z głową ciężką od troski. Byłem w jakiś sposób odpowiedzialny za wszystko, co się zdarzyło. Thomas nie sformułował tego aż tak drastycznie, przynajmniej nie teraz, ale wspomniał o tym poprzednio. Żywiłem niemal nadzieję, że prom rozbije się na powierzchni regolitu, że katastrofę przeżyje pilot, a ja w niej zginę. Potem jednak udrękę zastąpiła zawziętość i pełen determinacji gniew. Zostałem oszukany przez ekspertów od brudnych chwytów działających bez skrupułów, nie odróżniających celowego działania od nadużycia. Widziałem już przedtem naszych wrogów, a jednak nie doceniłem ich determinacji niezależnie od tego, jakie mieli motywacje i cele. Ci ludzie nie postępowali zgodnie z przyjętymi na Księżycu obyczajami; wciągali wszystkich do swojej brudnej gry – Zjednoczone Mnogości, mnie, Rho, Trójnie, Stany Zjednoczone Półkuli Zachodniej, wreszcie zamrożone głowy. Wszyscy służyli do ich mętnych machinacji, głowy

były jedynie pretekstem, tak naprawdę nie liczyły się w całej rozgrywce; to wydawało się oczywiste. Liczyła się wyłącznie walka o władzę. Logologowie zamierzali zdominować Księżyc, być może także Ziemię. Nienawidziłem ich za tę szaloną ambicję, za ich diabelną pewność siebie, za sposób, w jaki poniżyli mnie w oczach Thomasa.

Nie grzesząc nigdy zbyt niską samooceną, popadłem teraz w przeciwieństwo krańcowej rozpacz, w jakiej pozostawałem chwilę wcześniej. Okazało się to poważnym błędem; nie było mi jednak dane uświadomić sobie tego jeszcze przez parę następnych dni. Przybyłem do domu i po raz pierwszy stwierdziłem, jak wiele dla mnie znaczy Stacja Lodowej Komory.

W alei prowadzącej do Komory spotkałem przedstawiciela Mnogości Cailletet.

– To ty jesteś Mike, tak? – zapytał zdawkowo. Niósł niewielką srebrzystą kasetę, która kołysała się zwisając mu z ręki. Wyglądał na zadowolonego. Spojrzałem na niego tak, jakbym czekał na przyznanie się do zdrady.

– Przebadaliśmy właśnie jedną z waszych głów – powiedział, najwyraźniej mało przejęty wyrazem mojej twarzy. – Przyleciałeś teraz promem?

Kiwnąłem głową.

– Jak tam Rho? – spytałem trochę ni w pięć, ni w dziewięć; od czasu mojego przylotu nie rozmawiałem jeszcze z nikim.

– Myślę, że jest wniebowzięta. Wygląda na to, że dobrze wykonaliśmy naszą robotę.

– Przywiązałeś się do nas? – spytałem podejrzliwie.

– Słucham?

– Nie zostałeś jeszcze odwołany stąd przez pełnomocników swojej rodziny?

– Nie – odparł, niepewnie cedząc słowa. – Nie zabroniono mi tu pozostać.

Najwyraźniej rodziny stawały się nieprawdopodobnie dwulicowe.

– Jestem po prostu ciekaw, ile to nas będzie kosztowało – stwierdziłem.

– Na dłuższą metę...? Ach, tak – powiedział z ulgą, jakby nagle odkrył przyczynę mojej zgryźliwości. – To ty jesteś przecież menadżerem finansowym Lodowej Komory; przepraszam, jestem dzisiaj trochę ospały. Wierz mi, ten projekt badawczy budzi nasze duże zainteresowanie. Jeśli udoskonalimy tu naszą technikę pracy, będziemy mogli oferować usługi medyczne w całej Trójni, a nawet poza nią. Obciążymy was jedynie wydatkami na sprzęt, niczym innym, Mike. To dla nas złota żyła.

– Czy to zadziała? – spytałem, wciąż ponurym tonem.

W odpowiedzi klepnął dłonią w kasetę.

– Dane są tutaj – stwierdził. – Teraz sprawdzamy je z wydarzeniami historycznymi na Ziemi... Tak, można powiedzieć, że to działa. Rozmowa ze zmarłym – nie sądzę, żeby komuś przed nami to się udało.

– Z kim rozmawialiście?

– Z jednym spośród bezimiennych. Rho zdecydowała, że zajmiemy się nimi na początku, że pomoże to rozwiązać tajemnicę tych głów. Proszę, wejdź tu, Mike. Nernstowie zaprojektowali tu bardzo miłą przechowalnię. Możesz zadawać przeciwnikom pytania i patrzeć na to, co robią. Zajmują się teraz drugim z bezimiennych.

– Dzięki – powiedziałem, zastanawiając się równocześnie, jakie wypaczenie protokołu mogło spowodować, iż ten człowiek zapraszał mnie do przechowalni będącej własnością mojej Zjednoczonej Mnogości. – Cieszę się, że to działa.

– No cóż – powiedział technik, wzdychając niemal niedosłyszalnie. – Chyba muszę lecieć. Musimy przebadać tę głowę, skorelować jej wspomnienia z ziemską historią... zobaczysz, że wszyscy na tym zyskamy, Mike. Miło było cię spotkać.

Zatrzymałem się przy białej linii i spytałem przez komunikator, czy mogę wejść.



– Tak, do jasnej cholery! – usłyszałem z głośnika ryk Williama. – Przecież jest otwarte. Po prostu przejdź przez tę parszywą linię i przestań zawracać mi głowę.

– To ja, Mike – powiedziałem.

– Więc chodź tu i przyłącz się do przyjęcia! Wszyscy już tu są.

William zamknął się na klucz w laboratorium. Trzech techników z Mnogości Onnes i Cailetet stało na moście w słusznej odległości od Pomp Chaosu, dyskutując i jedząc obiad. Przeszedłem obok nich, niedbale kiwając im głową.

Sądząc po tonie, jakiego użył, William nie był w nastroju do przyjmowania wizyt; o tej porze dnia przechodził zwykle fazę swojej największej aktywności. Odwróciłem się w stronę windy i zjechałem do pomieszczeń roboczych Rho, położonych kilka metrów pod laboratorium. Lodową Komorę wypełniały echa głosów dochodzące z góry i z dołu; gdy zjeżdżałem ażurową windą, wydawało się, że głosy są wszędzie wokół mnie; skierowałem się najpierw na prawo, potem na lewo, wróciłem do punktu wyjścia, uspokoiłem się, a potem znów wzburzyłem. Rho zeszła do pomieszczenia przez właz znajdujący się na suficie, po czym, wyraźnie podekscytowana, pośpieszyła w moim kierunku.

– William jest wkurzony, ale staramy się zostawiać go w spokoju, więc sędzę, że to minie – niemalże kipiała entuzjazmem. Z okrzykiem: - Och, Mike! – gwałtownie wzięła mnie w objęcia.

– Tak...?

– Czy powiedzieli ci już na górze? Udało nam się dostroić do fal mózgowych jednej z głów! To działa! Wejdz, proszę, do laboratorium. Pracujemy teraz nad drugą.

– Bezimienną? – powiedziałem, z grzeczności starając się okazać zainteresowanie.

Nie udało jej się zarazić mnie entuzjazmem. Ale, z drugiej strony, do jakiego stopnia mogłem winić właśnie ją za powstałe problemy?

– Tak, nad kolejną bezimienną. Wciąż nie dostałam odpowiedzi od powierników “Gwiezdnego Czasu” w sprawie ich tożsamości. Czy sądzisz, że mogli zgubić całą dokumentację? Gdybyśmy ją mieli, to byłoby coś, prawda?

Przez właz wprowadziła mnie do komory roboczej. W jej wnętrzu panowała niemal całkowita cisza; słycać było jedynie delikatny zaśpiew urządzeń elektronicznych i syczenie w niskiej tonacji, powodowane przez przemieszanie się chłodziwa w instalacjach.

Wśród obecnych rozpoznałem Armanda Cailleteta-Davisa, łysiejącego szczupłego człowieka, który był prawdziwym motorem badawczej aktywności Cailletetów. Obok niego stała Irma Stolbart z Mnogości Onnes, urodzona na Księżycu, będąca znaną superspecjalistką w różnych dziedzinach techniki; oczywiście słycałem o niej, ale nigdy nie spotkałem osobiście. Wyglądała na trzydzieści do trzydziestu pięciu lat; była wysoką i szczupłą brunetką, miała czerwonawy odcień włosów i skórę o barwie czekolady. Wszyscy stali w pobliżu zamontowanego na stojaku urządzenia, składającego się z trzech połączonych, poziomych cylindrów, nakierowanych na jeden z czterdziestu pojemników z nierdzewnej stali. Stały one pod ścianą zamontowane na specjalnych stelażach.

Rho przedstawiła mnie Cailletetowi-Davisowi oraz Irmie Stolbart. Poczulem dziwny dreszcz, polegający chyba na uświadomieniu sobie, co tu się właśnie odbywa. Przeniknął przez mroczną zasłonę mojego nostalgicznego nastroju.

– W tej chwili wybieramy jeden z siedemdziesięciu trzech znanych naturalnych języków wewnętrznych – wyjaśnił Armand, wskazując na graniastosłup sztucznego mózgu w dłoniach Irmie Stolbart. Uśmiechnęła się z roztargnieniem, spoglądając na mnie i na Armanda, a potem powróciła do pracy ze swoim zgrabnym, przenośnym sztucznym mózgiem, około dziesięciu razy mniejszym od Kwantowego Logika Williama. – Sprawdzamy niektóre z załadowanych niedawno danych w poszukiwaniu struktur...

– Struktur, które były w mózgu tej głowy? – spytałem, w gruncie rzeczy konstatując coś oczywistego.

– Tak. To jednostka ludzka rodzaju męskiego, która w chwili śmierci miała sześćdziesiąt pięć lat. Była najwyraźniej w bardzo dobrej kondycji fizycznej, biorąc pod uwagę stosowane wówczas standardy. Minimalny rozkład.

– Czy zajrzeliście do środka? – spytałem.

Rho uniosła brwi ze zdziwienia.

– Braciszku, nikt nie zagląda do środka, a w każdym razie nie poprzez faktyczne otwieranie pojemników. Nie interesuje nas to, jak oni wyglądają – zaśmiała się nerwowo. – Nie chodzi o głowę, lecz o to, co zawiera mózg.

A więc o duszę?, pomyślałem. Znów przeszył mnie dreszcz, wynikający nie tylko ze zmęczenia, ale także z jakiegoś zabobonnego lęku.

– Przepraszam – powiedziałem, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Ignorowali moją obecność, skoncentrowani na swojej pracy.

– Odkryliśmy, że północni Europejczycy mają tendencję do skupiania się w tych trzech obszarach programu – wyjaśniła Irma Stolbart. Pokazała mi tabliczkę z ekranem, na której przedstawiony był diagram. Składał się z dwunastu prostokątów; każdy z nich był powiązany z inną grupą etniczno-kulturową. Irma podkreśliła palcem trzy oddzielne ramki, opatrzone określeniami: “Grupa ugro-fińska”, “Grupa skandynawska”, “Grupa germańska”. –

Pamięciowe języki wewnętrzne należą do cech genetycznych najsilniej związanych z grupą etniczną. Uważamy, że w ciągu tysięcy lat zmieniają się one jedynie w minimalnym stopniu.

To ma sens, zważywszy odczuwaną przez dziecko potrzebę natychmiastowego przystosowania się do środowiska.

– Faktycznie – potwierdziła Rho, uśmiechając się do mnie i znów delikatnie ściskając

za ramię. – A zatem on wywodzi się z północnoeuropejskiego pnia etnicznego?

– Zdecydowanie nie jest Lewantyńczykiem, nie pochodzi też z Afryki ani ze Wschodu

– skonstatowała Irma Stolbart. Obserwowałem ją uważnie. Na jej szczupłej twarzy, którą ozdabiały piękne brązowe oczy, mające nieco sceptyczny wyraz, malowało się zdecydowanie.

– Czy rozmawiałeś z przedstawicielami swojej Mnogości? – spytałem Armanda nieoczekiwanie, zaskakując nawet samego siebie.

Okazało się, że Armand najwyraźniej zyskał wysoką pozycję w Mnogości Cailletet dzięki szybkości myślenia i umiejętności przystosowanie się do każdej sytuacji. Bez najmniejszego zawahania odpowiedział:

– Pracujemy tu dopóty, dopóki ktoś nie poleci nam opuścić to miejsce. Do tej pory nikt tego nie zrobił. Może wy, zarządcy, moglibyście zwołać zebranie i rozwiązać jakoś tę sprawę.

“Wy, zarządcy”. To stwierdzenie od razu ustawiało nas na właściwym miejscu. Wy, specjaliści od przekładania papierków, biurokraci, politycy. Skończyć z politykami. Teraz my byliśmy tymi, którzy są zawadą na drodze do głównego celu naukowców: nieograniczonego rozwoju badań i rozumowania, które je pozwala interpretować.

– W korze mózgowej widzę czternaście śladów algorytmów cyfrowych Penrose’a – stwierdziła Irma. – To definitywnie północny Europejczyk.

Rho, która wyglądała na zakłopotaną, obserwowała moją twarz w poszukiwaniu śladów emocji. Gwałtownym ruchem głowy i gestem skierowanym w górę zasygnalizowałem jej, że powinniśmy porozmawiać. Odprowadziła mnie na stronę.

– Jesteś zmęczony? – spytała.

– Dosłownie padam z nóg – przyznałem. – Jestem idiotą, Rho, i być może doprowadziłem całe nasze przedsięwzięcie do rozpadu.

– Wierze w naszą rodzinę. Zobaczysz, uda nam się. Wierzę w ciebie, Mike –

powiedziała z naciskiem, ściskając moje ramię. Z niejasnych przyczyn czułem się bardzo źle, widząc jej wyraz twarzy pełen ufności i nadziei. – Chciałabym, żebyś tu został i trochę popatrzył... to jest naprawdę coś ważnego... czy byłbyś w stanie to zrobić?

– Nie mógłbym tego przegapić – odparłem.

– To niemal fascynacja religijna, prawda? – szepnęła mi do ucha.

– W porządku – wtrącił się Armand. – Dokonaliśmy już lokalizacji. Teraz wywołajmy obraz, załadujmy go do translatora i zobaczymy, czy będziemy w stanie wydobyć imię z załadowanego do komputera pliku.

Armand wyregulował pozycję potrójnych cylindrów i dostroił swoją tabliczkę z ekranem do ich gniazda wyjściowego, uzyskując obraz mglistej, szarej masy, zawieszanej jakby na pętli we wnętrzu czarnego kwadratu o ostro zarysowanych brzegach. Była to głowa spoczywająca w swojej niszy i w ochronnym kloszu we wnętrzu nieco większego pojemnika.

– Jesteśmy ześrodkowani – powiedział. – Irma, czy mogłabyś...

– Wskaźnik pola włączony – powiedziała, przytknąwszy włącznikiem na niewielkiej płytce przyklejonej taśmą do pojemnika.

– Rejestrowanie – polecił Armand niedbale. Nie było słychać żadnego dźwięku, żadnych widocznych ani słyszalnych oznak, że coś w ogóle się dzieje. Na ekranie Armanda, w prawej górnej części szarej masy, pojawiły się kwadraty. Byłem teraz w stanie dostrzec, że głowa obsunęła się na bok, nie wiedziałem jednak, czy była skierowana twarzą w naszą stronę. Wciąż wpatrywałem się w ekran, na którym kwadraty rozbłyskiwały regularnie jeden za drugim wokół zarysu czaszki. Mrówki przeszły mi po krzyżu, gdy uświadomiłem sobie, że w ciągu dziesiątek lat przechowywania w ziemskim polu grawitacyjnym głowa uległa deformacji, osiadając głębiej w swojej ochronnej pętli niczym mrożony arbuz.

– Mam ją – powiedział Armand. – Jeszcze jedna – trzecia z nieznanym – i będziemy mogli powiedzieć, że sesja nagrań skończona.

Przez wzgląd na Rho zostałem, by obserwować, jak skanują trzecią głowę, a potem rejestrują stan jej komórek nerwowych i ich strukturę. Potem pocałowałem Rho w policzek, pogratulowałem sukcesu i pojechałem windą na pomost. Znow wokół mnie zaczęły przepływać nierealne dźwięki; słyszałem powolny terkot jakichś urządzeń w komorze pod mną, a także głosy techników pracujących na mostku.

Poszedłem do swojego pokoju w dawnym zbiorniku wodnym i dosłownie runąłem na łóżko.

Dziwna rzecz, ale bardzo dobrze mi się spało.

Rho weszła do mojego pokoju i obudziła mnie o tysiąc dwusetnej, osiem godzin po tym, gdy zwałem się na łóżko. Oczywiście sama w ogóle nie położyła się spać; jej włosy były potargane, najwyraźniej nerwowo je przeczesywała palcami. Widać było nieudane próby poprawienia fryzury; twarz Rho błyszczała od potu i nosiła ślady niewyspania.

– Wiemy już, jak nazywa się numer pierwszy z bezimiennych – oznajmiła. – To kobieta, a nie mężczyzna, jak sądziliśmy dotychczas. Nie przeprowadziliśmy jeszcze badania chromosomowego za pomocą czujników, ale Irma zlokalizowała kilka minut pamięci krótkotrwałej poprzedzających śmierć i przekształciła to na informację dźwiękową.

Usłyszeliśmy... – nagle skrzywiła się, jakby miała się właśnie rozpłakać, a potem uniosła głowę i usłyszałem jej śmiech. – Mike, my usłyszeliśmy głos... to musiał być lekarz... głos, który mówił wyraźnie: “Inchmore, słyszysz mnie? Ewelino...? Musimy mieć twoją zgodę...”

Aż usiadłem na łóżku i przetarłem oczy.

– To jest... – nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa.

– Tak, spełniło się... – powiedziała Rho, siadając na brzegu mojego łóżka. – Nazywała

się Ewelina Inchmore. Wysłałam oficjalne pytanie na Ziemię do powierników “Gwiezdnego Czasu”. Ewelina Inchmore, Ewelina Inchmore... – kilkakrotnie głośno wymówiła to imię i nazwisko, a jej głos opadał i cichł pod wpływem zmęczenia i zdumienia. – Czy wiesz, co to oznacza, Mike?

– Sukces, gratuluję – podsumowałam.

– Po raz pierwszy w historii ktoś skontaktował się z hibernowanym człowiekiem – odezwała się Rho, przemawiając jakby z dużej odległości.

– Nie odpowiedziała wam jednak – przypomniałam. – Po prostu uzyskaliście dostęp do jej pamięci – wzruszyłam ramionami. – Ona jest wciąż martwa.

– Taaak... – westchnęła Rho. – Uzyskaliśmy tylko dostęp do pamięci. Ale... zaczekaj – spojrzała na mnie nagle wstrząśnięta, jakby uświadomiła sobie coś. – To może być jednak mężczyzna. Sądziłyśmy, że Ewelina to żeńskie imię... Ale czy Evelyn nie było używane także jako imię męskie? Zdaje się, że przed wiekami był jakiś autor o tym imieniu...

– Evelyn Waugh – wyjaśniłam. – Wymawia się jako długie “E”.

– Możliwe, że znów mylimy się w tej sprawie – powiedziała, najwyraźniej zbyt zmęczona, by naprawdę troszczyć się o to. – Mam nadzieję, że uda nam się sprawę wyjaśnić, zanim wiadomość dotrze do prasy.

Poziom mojej czujności wzrósł o kilka stopni.

– Czy powiedziałaś już Thomasowi, co się zdarzyło?

– Jeszcze nie – odparła.

– Rho, jeśli wydobędzie się stąd choć słowo o tym, że uzyskaliśmy dostęp do głów...

Ale kto zdoła powstrzymać tych z Mnogości Cailletet lub Onnes przed roztrąbieniem wszystkiego?

– Myślisz, że to może spowodować jakieś kłopoty? – spytała Rho.

Czułem niejasną dumę, że w końcu zacząłem przewidywać przyszłe kłopoty, jak tego oczekiwał po mnie Thomas.

– Zdziałałoby to prawdopodobnie jak bomba zegarowa – stwierdziłem.

– W porządku. Nie chcę powodować więcej problemów, niż jest to absolutnie niezbędne – spojrzała na mnie z pełnym miłości współczuciem. – Wyglądasz na wykończonego, Mike.

– Słyszałaś, co się stało w Kosmoporcie Jin?

– Thomas wspominał mi coś, w czasie gdy leciałeś promem do domu. – Rho wyduła wargi, a jej twarz przybrała wyraz niezdecydowania. – To jakiś idiotyzm. Ktoś powinien postawić tę babę w stan oskarżenia i odebrać Task-Felderom ich kartę przywilejów.

– Doceniam twoje uczucie wobec nich, ale, niestety, żadna z tych możliwości nie wchodzi w grę. Czy mogłabyś dopilnować, aby wiadomość nie wydostała się stąd jeszcze przez parę kolejnych dni?

– Stanę na głowie, żeby tak się stało – odparła Rho. – Cailletetowie i Onnesowie są związani warunkami kontraktu. Będziemy kontrolować ujawnianie wyników, nawet jeśli to im przypadnie cała zasługa z powodu naukowych rezultatów eksperymentu. Powiem im, że chcemy potwierdzić to, czego się dowiedzieliśmy, u powierników Towarzystwa na Ziemi i wesprzeć nasze odkrycia ich informacjami. Zbadać trzecią bezimienną głowę, a także popracować nad kilkoma innymi, które mają swoje kartoteki. Musimy przekonać się, że nasze rezultaty są godne zaufania.

– A co z prababcią i pradziadkiem? – spytałem. Rho uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Zachowamy ich sobie na później – powiedziała.

– Nie zamierzamy eksperymentować na własnej rodzinie, tak?



Skinęła głową.

– Gdy już będziemy pewni, że to wszystko działa, zrobimy coś z Robertem i Emilią.

Jeżeli o mnie chodzi, Mike, to postaram się za kilka minut zafundować sobie trochę indukowanego snu. Zrobię to zaraz, gdy ustalę pewne reguły postępowania dla naszych przyjaciół z Mnogości Onnes i Cailetet. Aha, William chciałby teraz zamienić z tobą parę słów.

– Na temat przerywania mu pracy?

– Nie sędzę. Twierdzi, że jego praca idzie dobrze.

Uściskała mnie serdecznie, a potem wstała ze słowami:

– Idę spać. Mam nadzieję, że nic mi się nie przyśni.

– Żadnych głosów z przeszłości... – uśmiechnąłem się.

– Żadnych.

William wyglądał na zmęczonego, ale był spokojny i zadowolony z siebie. Siedział w centrum kontroli urządzeń swojego laboratorium, poklepując kwantowego Logika zupełnie jakby był jego starym przyjacielem.

– Jestem z niego dumny, Mike – powiedział. – Dostroił wszystko tak, że pasuje jak ulał. Dzięki niemu kwantowe robaczki z całego Wszechświata nie nadgryzają moich urządzeń; kontroluje też przekonstruowane Pompy Chaosu, przewidując wirtualne fluktuacje cząsteczkowe i dokonując odpowiednich korekt. Wszystko już urządziłem; jedyna rzecz, którą muszę jeszcze zrobić, to doprowadzić Pompy Chaosu do pełnej wydajności.

Próbowałem okazać entuzjazm, ale okazało się, że nie jestem do tego zdolny. W głębi serca czułem się chory. Katastrofalne wydarzenie w Kosmoporcie Jin, zbliżające się spotkanie Rady Mnogości, sukces odniesiony przez Rho z kilkoma głowami...

Nie mając do tej pory dostatecznie dużo czasu, by rozpamiętywać to, co się zdarzyło,

uświadomiłem sobie nagle, że wszystko poszło źle. Thomas walczył wściekle o przekonanie Rady, by zaniechała swoich działań wobec nas. A ja byłem tu, odsunięty od biegu wydarzeń, obserwując Williama napawającego się swoim sukcesem, który jest tuż-tuż. Szwagier wyczuł mój nastrój i wyciągnął rękę w geście współczucia.

– Hej, nie załamuj się – powiedział. – Jesteś jeszcze młody. Porażki też są częścią gry.

Skrzywiłem twarz najpierw w grymasie gniewu, potem zwykłego smutku; w końcu odwróciłem się, a łzy popłynęły mi po policzkach. Słowo “porażka” wypowiedziane przez Williama tak prosto z mostu nie było tym, co chciałbym teraz usłyszeć. Nie grzeszyłem nadmiarem stoicyzmu, ale nie byłem też przewrażliwiony na swoim punkcie.

– Serdeczne dzięki – powiedziałem.

William klepał mnie pod dłoń, dopóki jej nie wyszarpnąłem.

– Przepraszam, Mike – powiedział, a jego ton, świadczący o absolutnej szczerości, nie zmienił się. – Kiedy popełniłem błąd, nigdy nie bałem się do tego przyznać. Popełnianie błędów doprowadza mnie czasem do szaleństwa. Wciąż sobie powtarzam, że powinienem być doskonały, ale przecież nie do tego sprowadza się nasza rola. Doskonałość nie jest dla nas dobrym rozwiązaniem; doskonałość to śmierć, Mike. Jesteśmy tu, by uczyć się i zmieniać, a to oznacza popełnianie błędów.

– Dzięki za wykład – powiedziałem, patrząc na niego z urazą

– Jestem dwanaście lat starszy od ciebie. Zrobiłem prawdopodobnie dwanaście razy więcej poważnych błędów niż ty. Cóż mogę ci powiedzieć? Że łatwiej jest pograżyć się w rozpacz? Oczywiście, staje się to tym łatwiejsze, im większą dźwigasz odpowiedzialność. Ale, do diabła, Mike, to nie powoduje, że czujesz się choćby odrobinę lepiej.

– Nie mogę myśleć o tym po prostu w kategoriach błędu – powiedziałem miękko. –

Zostałem zdradzony. Przewodnicząca okazała się nieuczciwa i fałszywa.

William odchylił się na krześle i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Mike, ty jesteś prostaczkiem bożym. Kto mógłby oczekiwać czegokolwiek innego?

Na tym właśnie polega polityka – na kłamstwach i zniewoleniu.

Nagle mój gniew zamienił się w dziką furję.

– Do cholery, nie. Nie na tym polega polityka, a ludzie, którzy tak sądzą, sprowadzili na nas cały ten bałagan!

– Nie rozumiem.

– Polityka, Williamie, to sztuka zarządzania i kierowania, to wzajemny związek rządzonych i rządzących. Chyba właśnie o tym zapomnieliśmy na Księżycu. Polityka to zarządzanie wielkimi grupami ludzi w dobrych i złych czasach. Pod warunkiem, że ludzie wiedzą, czego chcą, a czego nie chcą. “Skończcie z tą polityką...” Sam jesteś prostaczkiem bożym, William! – wyciągnąłem ramię i potrząsnąłem pięścią. – Nie możesz tak po prostu uwolnić się od polityki, podobnie jak nie możesz... – szukałem najodpowiedniejszego porównania - ...podobnie jak nie możesz pozbyć się sposobów zachowania, prowadzenia dyskusji i wszelkich innych form komunikowania się ludzi między sobą.

– Dzięki za wykład, Mike – powiedział William bez złości.

Opuściłem pięść.

– Gdy mówisz, że my tu, na Księżycu, zapominamy o tym wszystkim, to mogę się z tobą zgodzić – powiedział mój szwagier. – A tacy ludzie jak Task-Felderowie stwarzają jeszcze większą pokusę, by traktować politykę jako brudną grę. Ale z mojego punktu widzenia cała rzecz sprowadza się do tego, że nie zamierzam nigdy zostać politykiem ani pracować w administracji. Nie licząc mojego obecnego towarzystwa, nie lubię ludzkich stad, Mike. Oni wszyscy pojawili się na Księżycu, żeby stanąć na mojej drodze. Ta cała sprawa z Radą tylko potwierdza moje dotychczasowe uprzedzenia. A ty co możesz na to poradzić? –

Spojrzał na mnie tak, jakby szczerze pragnął poznać odpowiedź.

– Mogę zgromadzić potrzebną wiedzę – odparłem. – Mogę być lepszym...

administratorem czy politykiem niż inni.

William uśmiechnął się ironicznie.

– Lepszym, czyli bardziej przebiegłym? Grającym w tę samą grę co oni, tylko odrobinę lepiej?

Potrząsnąłem głową przecząco. Nie miałem na myśli przebiegłości ani uczestnictwa w grze Task-Felderów. Myślałem raczej o jakichś idealnych pryncypiach, o grze, ale prowadzonej w granicach etyki, a także obowiązującego prawa.

– Możemy już teraz przygotować się na najgorszą ewentualność, która może nastąpić

– kontynuował William. – Mogą odciąć nas od naszych dochodów nie tylko w ten sposób, że powstrzymają inne Zjednoczone Mnogości przed udzielaniem nam pomocy. Przez jakiś czas możemy przetrwać ten zakaz, być może nawet zawrzeć jakiś osobny sojusz w interesach wewnątrz Trójni.

– To mogłoby być... bardzo niebezpieczne – wyraziłem wątpliwość.

– Jeśli zostaniemy przyparci do muru, co innego będziemy mogli zrobić? Prowadzimy różne interesy w całej Trójni. Musimy jakoś przetrwać.

Od strony znajdującej się w pomieszczeniu platformy dobiegł nagle delikatny dźwięk, którego źródłem był Kwantowy Logik.

– Temperatura straciła stabilność – zameldował. William aż podskoczył na krześle.

– Komunikat! – wydał polecenie.

– Nieznany czynnik spowodował fluktuację temperatury o nieznannej amplitudzie i fazie. Cele mają w tej chwili nieznaną temperaturę.

– Co to znaczy? – spytałem.

William schwycił zdalny sterownik sztucznego mózgu i sforsował zasłonę, zmierzając w kierunku mostu. Skierował się ku Jamie, a ja poszedłem za nim, zadowolony z przerwy w dialogu. Technicy z Mnogości Cailletet i Omnes opuścili już to miejsce, udając się na odpoczynek. Lodowa Komora była pogrążona w ciszy.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nie wiem – powiedział William niskim głosem, koncentrując się w tej chwili na obrazie stanu wewnątrz Jamy. – Są jakieś przebicia w czterech spośród ośmiu cel. Kwantowy Logik odmawia interpretacji odczytów temperatury. Kwantowy Logiku, proszę o wyjaśnienie.

– Rotacja fazowa o skali lambda. Zachodzi fluktuacja pomiędzy brzegami czterech cel.

– Cholera! – zaklął William. – Teraz cztery pozostałe cele pochłaniają energię, a cztery pierwsze są stabilne. Kwantowy Logiku, czy masz jakieś pojęcie o tym, co tam się może dziać? – spojrzał na mnie z wyrazem twarzy pełnym niepokoju.

– Brzeg drugiej celi jest w tej chwili w dolnej fazie fluktuacji. Szczyt fluktuacji nastąpi za trzy sekundy.

– Teraz została odwrócona – powiedział William po króciutkiej przerwie. – W górę i w dół... Kwantowy Logiku, co powoduje ubytek energii?

– Utrzymanie poziomu temperatury – stwierdził Logik.

– Wyjaśnił to, proszę – nalegał William, którego cierpliwość najwyraźniej się kończyła.

– Energia jest pochłaniana przez cele w fazie spadku z powodu prób utrzymania temperatury.

– Nie przez chłodnie lub Pompy Chaosu?

– Konieczne jest dostarczanie energii bezpośrednio do cel pod postacią

promieniowania mikrofalowego, aby starać się utrzymać temperaturę.

– Nie rozumiem, Kwantowy Logiku.

– Bardzo przepraszam – odparł sztuczny mózg. – Cele pochłaniają promieniowanie, aby pozostać w stanie stabilnym, ale nie mają temperatury, którą ten sztuczny mózg mógłby zinterpretować.

– Musimy podwyższać temperaturę? – zasugerował William, po czym aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Odwrócenie fazy spadku – oznajmił Kwantowy Logik.

– Kwantowy Logiku, czy temperatura spadła poniżej zera absolutnego?

– To jedna z interpretacji zaistniałego stanu rzeczy, jakkolwiek nie najlepsze.

William zaklął i zrobił krok w tył, oddalając się od Jamy.

Sztuczny mózg zakomunikował:

– Wszystkie cele ustabilizowały się w dolnej fazie lambda. Fluktuacja została zatrzymana.

William zbladł.

– Mike, powiedz mi, że nie śnię...

– Do diabła, ja nawet nie mam pojęcia, co ty właściwie robisz – odparłem i w tej chwili już zacząłem się bać.

– Cele wysysają energię mikrofalową i utrzymują stałą temperaturę. Jezu Chryste, ich cząsteczki musiały teraz uzyskać nowe wartości spinu<sup>10</sup>, a ich promieniowanie skierowane jest poza wymiary znanej nam geometrii... Czy to może oznaczać, że one działają teraz w odwróconym czasie? Mike, jeśli ktokolwiek z tych obcych sprowadzonych przez Rho namieszał coś w laboratorium, albo jeśli przyczyną są te ich cholerne instrumenty... – zacisnął dłonie w pięści i potrząsnął nimi bezsilnie w ciemność ponad nami - ...wówczas niech im Bóg

dopomoże, bo... Mike, byłem tak blisko celu! Planowałem jeszcze tylko podłączyć Pompy, uszeregować cele, wyłączyć pole magnetyczne... zamierzałem zrobić to jutro.

– Nie sądzę, by ktokolwiek namieszał w twoich urządzeniach – powiedziałem, starając się go uspokoić. – To są profesjonaliści, William, a poza tym Rho chyba zamordowałyby ich, gdyby to zrobili.

William opuścił głowę i pokiwał nią w poczuciu bezsilności.

– Mike, coś musi być źle z eksperymentem. Negatywna 11 temperatura jest przecież bez sensu.

– Logik nie powiedział przecież, że temperatura jest negatywna – przypomniałem mu.

– Sztuczny mózg nie jest w stanie zinterpretować danych – wtrącił się Kwantowy Logik.

– To dlatego, że jesteś asekurantem – oskarżył go William.

– Sztuczny mózg nie jest w stanie przekazać fałszywej interpretacji – odparł Logik.

Raptem William roześmiał się głośno złym, bolesnym śmiechem, który wydawał się sprawiać mu przykrość. Wytrzeszczył oczy i poklepał Kwantowego Logika po ojcowsku, równocześnie niemal zgrzytając zębami.

– Na litość boską, Mike, nic nigdy nie jest proste na Księżycu, prawda?

10 Spin – własny moment pędu mikrocząsteczki, nie związany z jej postępowym ruchem w przestrzeni (przyp.

tłum.).

11 Autorowi chodzi tu o temperaturę poniżej zera absolutnego (zero stopni Kelvina). Zgodnie z III zasadą

termodynamiki zero absolutne wyznacza najniższą możliwą temperaturę, odpowiadającą zerowej energii

cząsteczek (przyp. tłum.).

– Może odkryłeś coś ważniejszego niż zero absolutne – zasugerowałem. – Na

przykład nowy stan materii.

Moja koncepcja go otrzeźwiła.

– No cóż... – przejechał dłonią po włosach, powodując, że jego fryzura stała się jeszcze bardziej niesforna. – Gdyby tak się stało rzeczywiście, byłaby to wielka rzecz.

– Potrzebujesz pomocy? – spytałem.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć – powiedział miękko. – Dzięki, Mike.

Potrzeba mi czasu i tego by nikt mi nie przerywał. Przynajmniej parę godzin

– Nie mogę niczego zagwarantować – stwierdziłem. William spojrzał na mnie z ukosa.

– Powiadomię cię, czy odkryłem coś niezwykłego, dobrze? A teraz idź już sobie.

Delikatnie popchnął mnie wzdłuż pomostu w kierunku wyjścia z Komory.

Pomieszczenie Rady Mnogości było okrągłe, ozdobione ornamentami z dębiny pochodzącej z księżycowych farm. Oświetlenie umieszczono w centrum pokoju. Na jednej z jego ścian w oddali znajdował się zabytkowy ekran, zachowany pieczołowicie jeszcze z czasów, gdy Rada została utworzona. Widać było wyraźnie, że politycy lubią mieć się nawzajem na oku; nie było tu żadnych zakamarków, żadnych krzeseł, które umożliwiałyby siedzącemu spoglądanie poza centrum pomieszczenia.

Włokąc się jak na ścięcie, dotarłem do miejsca pomiędzy Thomasem a dwoma adwokatami z Kosmoportu Jin, wynajętymi przez Thomasa, by udzielili mu bezstronnej porady spoza rodziny. W Trójni mawiano często, że księżycowi adwokaci nie są warci honorariów, które zarabiają. Było w tym stwierdzeniu trochę prawdy, mimo to jednak Thomas chciał, by ocenili oni całą sprawę z krytycznego i obiektywnego punktu widzenia. Pomieszczenie było jeszcze prawie całkiem puste. Dotychczas tylko trzech reprezentantów zajęło swoje miejsca; interesujące, że byli to przedstawiciele Mnogości



Cailletet, Omnes i Nernst. Pozostali prowadzili nieformalne rozmowy w hallu. Przewodnicząca Rady ze swoim personelem wchodziła na salę dopiero przed samym rozpoczęciem posiedzenia.

Sztuczny mózg Rady – wielki, pochodzący z Ziemi antyk, obudowany szarą ceramiką – znajdował się poniżej podium Przewodniczącej, w północnym końcu pokoju. Gdy usiedliśmy, Thomas szturchnął mnie łokciem, mówiąc:

– Nie należy lekceważyć tego wiekowego urządzenia. Ten elektroniczny sukinsyn ma więcej doświadczenia, niż ktokolwiek w tej sali. Jednak jest on narzędziem Przewodniczącej, a nie naszym – nie będzie się jej sprzeciwiał, a tym bardziej wydawał oświadczeń nie po jej myśli.

Przez jakiś czas milczeliśmy, podczas gdy pokój powoli wypełniał się ludźmi. W ustalonym terminie rozpoczęcia spotkania przez drzwi znajdujące się za prezydenckim podium weszła Fiona Task-Felder, Janis Granger oraz orszak złożony z trzech adwokatów Rady.

Znałem wielu przedstawicieli Zjednoczonych Mnogości. Rozmawiałem z dziesięcioma lub piętnastoma spośród nich w ciągu tych lat, gdy przeprowadzałem analizy sytuacji na użytek swoich podwładnych w Lodowej Komorze; pozostałych znałem z widzenia, gdyż pojawiali się w księżycowych dziennikach informacyjnych, a także sprawozdaniach z posiedzeń Rady. Byli oni ludźmi godnymi szacunku; sądziłem więc, że mimo wszystko nasze sprawy tutaj nie powinny pójść tak źle.

Wyraz twarzy Thomasa świadczył o tym, że jego przewidywania są mniej dla nas pomyślne.

Spór dotyczący Lodowej Komory nie był pierwszym punktem porządku obrad.

Przedtem poruszano sprawy związane z tym, kto będzie mógł zawierać stałe, lukratywne

kontrakty na dotychczas sporadyczne i zmienne centralne zamówienia zaopatrzeniowe z planet zewnętrznych; odbyła się dyskusja dotycząca tego, kto ma rację w sprawie zażaleń dotyczących sprzedaży aluminium i tungstenu, skierowanych pod adresem Zjednoczonej Mnogości Richter. Był to potężny i najczęściej zachowujący wyniosłe milczenie koncern, utworzony dzięki fuzji trzech rodzin, kontrolujących większość zawieranych na Księżycu kontraktów na sprzedaż kopalnianych surowców. Problemy te reprezentanci Mnogości dyskutowali w sposób, który poruszył mnie jako przykład praktyk Rady. Przez większą część czasu poświęconego dyskusji przewodnicząca Rady milczała. Kiedy już decydowała się odezwać, jej słowa były zawsze doskonale spójne i trafiały w sedno sprawy. Wywarła na mnie duże wrażenie.

Thomas wyglądał zupełnie tak, jakby zapadał się w krześle. Podbródek wsparł na dłoni, jego siwe włosy były rozwichrzone. Łypnął na mnie okiem, a potem ponownie zatopił się w swojej ponurej kontemplacji.

Nasi dwaj adwokaci spoza rodziny siedzieli sztywno wyprostowani, nie mrugając nawet oczami.

Janis Granger odczytała następny punkt porządku dziennego: “Międzyrodzinna dyskusja dotycząca nabycia przez Zjednoczoną Mnogość Sandoval ludzkich pozostałości od ziemskich stowarzyszeń ochronnych”.

“Stowarzyszeń”. Ta subtelność znaczeniowa mogłaby zastąpić całe tomy analiz zjawiska interpretacyjnych nadużyć. Thomas, słysząc to, zamknął oczy i otworzył je dopiero po dłuższej chwili.

– Reprezentant Zjednoczonej Mnogości Gorrie chciałby przemówić w tej sprawie – powiedziała Fiona Task-Felder. – Przewodnicząca zebrania udziela głosu Ahmedowi Bani Sadrowi ze Zjednoczonej Mnogości Gorrie, prosząc o ograniczenie wystąpienia do pięciu

minut.

Thomas wyprostował się i pochylił ku przodowi. Bani Sadr wstał, trzymając na wysokości brzucha swoją tabliczkę szyfrową, aby korzystać z jej podpowiedzi.

– Przedstawiciele naszej Zjednoczonej Mnogości wyrazili pewne zaniepokojenie z powodu możliwego wzrostu napięcia we wzajemnych relacjach wewnątrz Trójni, które może spowodować ten zakup. Ponieważ nasza Mnogość jest twórcą największego przedsiębiorstwa, zajmującego się transportem pomiędzy Ziemią a Księżycem, a także na wielu liniach translunarnych, jakakolwiek zmiana w stosunkach z Ziemią może wypłynąć bardzo niekorzystnie na nasze interesy...

Tak się zaczęło. Nawet w swojej naiwności zdołałem bez trudu dostrzec, jak doskonale zgrany był ten chór. Zjednoczone Mnogości, jedna po drugiej, zabierały głos w Radzie, w uprzejmy sposób wyrażając swoją wspólną troskę. Mieszkańcy Ziemi dobijają się do nas ze swoimi portfelami; Mars beszta nas za wstrząsanie łodzią Trójni w czasach ekonomicznej chwiejności. Stany Zjednoczone Półkuli Zachodniej głosowały za ograniczeniem handlu z Księżycem, jeśli problem nie zostanie rozwiązany po ich myśli. Wyraz twarzy Thomasa był skupiony, pełen czujności i troski. Z dyskusji wynikało również, że nasz dyrektor nie pozostał bezczynny. Cailletetowie wyrazili zainteresowanie kontynuacją potencjalnie bardzo owocnych, a nawet rewolucjonizujących naukę doświadczeń ze zmarłymi; przedstawiciele Mnogości Onnes oświadczyli, że ani w tej chwili, ani w ciągu najbliższych dwudziestu lat nie będzie istniał żaden wyobrażalny sposób, w jaki głowy mogłyby zostać ożywione i uczynione – oczywiście jako pełne jednostki ludzkie – aktywnymi członkami społeczeństwa. Technologia taka po prostu jeszcze nie istnieje, pomimo dziesięcioleci obiecujących badań i prób.

Nieoczekiwanie reprezentant Mnogości Gorrie diametralnie zmienił swoje

stanowisko, wyrażając zainteresowanie medycznymi aspektami badań nad głowami; zapytał, jak długo one potrwają, zanim staną się opłacalne w sensie finansowym. Jednak przewodnicząca – nie bez racjonalnego uzasadnienia – zdecydowała, że pytanie to wykracza poza obszar zainteresowań niniejszej dyskusji.

Reprezentant Zjednoczonej Mnogości Richter wyraził sympatię dla wysiłków Mnogości Sandoval, zmierzających do stworzenia nowej dziedziny interesów, w których mógłby uczestniczyć Księżyc. Stwierdził jednak, iż zakłócenia w kontraktach na dostarczanie surowców z Księżyca na Ziemię, spowodowane przez te działania, na krótką metę mogą okazać się katastrofalne. – Jeśli Ziemia zacznie bojkotować surowce z Księżyca – argumentował – planety zewnętrzne będą mogły niemal natychmiast udzielić jej wsparcia, a my stracimy jedną trzecią dochodów z najbardziej rozwiniętej dziedziny naszego eksportu. Thomas poprosił o czas na odpowiedź. Przewodnicząca przyznała mu dziesięć minut na wyrażenie stanowiska Mnogości Sandoval.

Nasz dyrektor skonsultował się szybko z adwokatami. Kiwnęli głowami potakująco w odpowiedzi na kilka wypowiedzianych szeptem komentarzy. Thomas wstał, by udzielić odpowiedzi w imieniu Mnogości. Swoją tabliczkę szyfrową trzymał na wysokości talii – postawa formalnie zalecana w tym pomieszczeniu.

– Pani prezydent, szanowni przedstawiciele – zaczął swoje przemówienie. – Będę mówił krótko, nie owijając w bawełnę. Wstyd mi z powodu takiego przebiegu naszych obrad i wstyd mi także, iż Rada okazała się tak krótkowzroczna, by uznać taki właśnie ich przebieg za konieczny. Nigdy jeszcze w ciągu trzydziestu dziewięciu lat mojej służby Mnogości Sandoval ani też w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, gdy pozostawałem obywatelem Księżyca, nie odczuwałem takiego zakłopotania i troski jak teraz, gdy uświadamiam sobie, co może zdarzyć się na tej sali. Gdy pomyślę, co można uczynić z ideałami społeczności

księżycowej w imię zwykłego oportunisty.

– Zjednoczona Mnogość Sandoval – kontynuował Thomas po chwili – dokonała w pełni uzasadnionej transakcji z całkowicie legalną ziemską jednostką gospodarczą. Z niepojętych dla nas powodów Zjednoczona Mnogość Task-Felderów i pani prezydent osobiście wywołała falę protestu poprzez serię starannie zaplanowanych i wykonanych działań, mających na celu zmuszenie autonomicznej rodziny księżycowej do rezygnacji z legalnie nabytych dóbr. Zgodnie z moją wiedzą, w całej historii Księżyca taka próba nigdy dotychczas nie została podjęta.

– Mówi pan o jakichś dotychczas nie podjętych, być może w ogóle nie rozważanych działaniach – przerwała Fiona Task-Felder.

Thomas z uśmiechem rozejrzał się po sali.

– Pani prezydent, zwracam się do tych członków Rady, którzy już otrzymali konkretne instrukcje w tej sprawie.

– Czy oskarża pan przewodniczącą o uczestnictwo w tej tak zwanej “konspiracji”? – spytała Fiona.

Z sali odezwały się głosy: “Pozwólcie mu mówić!”, “Niech powie to, co ma do powiedzenia!” Przewodnicząca skinęła głową i dała Thomasowi znak, by mówił dalej.

– Nie mam wiele więcej do powiedzenia. Mogę jedynie wyliczyć posiadane przez mnie informacje na temat mistrzowskiej polityki, prowadzonej w całym systemie słonecznym przez pozaksiężycową organizację, której cele nie mają nic wspólnego z dobrobytem ani z gospodarką Księżyca. Przykładem tego może być mój asystent, Mike Sandoval, którego podstępnie skłoniono do złożenia zeznania w sprawie prywatnych interesów rodziny, wciągając go w pułapkę wykorzystującą stare prawo stworzone kiedyś przez Radę, nie zastosowane ani razu od czasu jego ustanowienia. Szanowni współobywatele. Mike będzie

zeznawał pod przymusem, jeśli tak zażyczy sobie Rada, ale pomyślcie, jaki precedens stwarza podobna praktyka! Pomyślcie o władzy, jaką w ten sposób przyznajecie Radzie oraz tym, którzy posiadają umiejętność manipulowania nią; umiejętności, których my sami nigdy nie zdobyliśmy ani nie zamierzaliśmy zdobyć, ponieważ ten rodzaj działalności zwraca się przeciw samym podstawom naszej natury. W podobnej walce jesteśmy jedynie naiwnymi słabeuszami. Z powodu tej właśnie słabości oraz braku wcześniejszego przewidywania i planowania działań ulegniemy przeciwnikom, a działania mojej rodziny zostaną wstrzymane, być może nawet całkowicie zakazane; a wszystko dlatego, że organizacja religijna, której baza znajduje się na naszej macierzystej planecie, nie życzy sobie, byśmy robili rzeczy, do czynienia których mieliśmy zawsze pełne prawo. Wyrażam mój protest teraz, by mógł zostać zarejestrowany, zanim Rada przeprowadzi głosowanie. Pani prezydent, ten dzień będzie dniem naszej hańby i uroczyście oświadczam, że po tym, co się dziś stanie, moja noga nie przekroczy progu tego pomieszczenia.

Twarz przewodniczącej była blada i nie wyrażała teraz żadnego uczucia.

– Czy oskarża pan mnie lub moją uprzywilejowaną Mnogość o pozostawanie pod kontrolą pozaksiężycowych grup nacisku?

Thomas, który usiadł szybko po skończeniu swojego zwięzłego przemówienia, wstał ponownie, rozejrzał się po siedzących wokół członkach Rady i lakonicznie potwierdził krótkim: “tak”.

– Uważam, że mam obowiązek odpowiedzieć na zarzut manipulacji. Otóż Mike Sandoval przybył do Kosmoportu Jin, by złożyć dobrowolne zeznanie w obecności przewodniczącej Rady. Zgodnie ze starą zasadą Rady Mnogości ustanowioną po to, by przewodniczący nie zachowywał dla siebie informacji, które z mocy prawa powinna znać cała Rada, przewodniczący ma obowiązek wyrazić życzenie, by zeznanie to zostało złożone przed

Radą w jej pełnym składzie. Jeśli to jest właśnie manipulacja, uznaje się za winną.

Wstał pierwszy z naszych adwokatów pochodzących spoza rodziny, który zajmował miejsce przy samym Thomasie.

– Pani prezydent, uważam, że zapis magnetofonowy wizyty Mike’a Sandovala w pani biurze powinien spełnić wymagania przywołanego prawa.

– Nie jest to zgodne z interpretacją podaną przez sztuczny mózg Rady – stwierdziła przewodnicząca. – Proszę o ogłoszenie decyzji w tej sprawie – zwróciła się do mózgu, który oznajmił w odpowiedzi:

– Duch tego prawa polega na skłonieniu do złożenia bardziej wyczerpującego zeznania przed całą Radą niż przed jej przewodniczącym podczas prywatnego spotkania.

Dobrowolne zeznanie przed przewodniczącym nasuwa wniosek, iż składający je ma wolę wygłoszenia go w całości przed Radą. Zeznanie takie musi być zawsze dobrowolne, nie zaś składane pod groźbą kary sądowej.

Głęboki, donośny głos sztucznego mózgu zamilkł, ustępując miejsca gęstej ciszy.

– Zdaniem naszych autodoradców jest to wszystko, co można powiedzieć na ten temat

– wymamrotał jeden z prawników do ucha Thomasa. Znów przemówił do Rady.

– Zeznanie Mike’a Sandovala zostało wyłudzone pod pretekstem przypadkowej rozmowy. Nie zdawał sobie sprawy, że może zostać później zmuszony do wyjawienia całej Radzie prywatnych interesów rodziny.

– Rozmowy przewodniczącej w sprawach dotyczących Rady trudno określić jako przypadkowe – brzmiała odpowiedź. – Braki w edukacji prawniczej pańskiego asystenta nie są moją sprawą. Rada życzy sobie poznać plany Zjednoczonej Mnogości Sandoval związane z tymi zmarłymi jednostkami ludzkimi..

– Na litość boską, dlaczego?! – Thomas wybuchnął, wstając z wysuniętą nagle do

przodu szczęką. – Kto zadaje tego rodzaju pytania? Dlaczego prywatne interesy Sandovali interesują kogokolwiek oprócz nas samych?!

Przewodnicząca nie zareagowała na ten wybuch tak ostro, jak się spodziewałem.

Skuliłem się wewnętrznie po wypowiedzi Thomasa, ale Fiona Task-Felder powiedziała tylko:

– Wolność wymachiwania pięściami, przysługująca którejkolwiek z naszych

Mnogości osiągnęła już pewien próg. Nie jest ważne to, w jaki sposób rozpoczęło się

dochodzenie w sprawie rzeczonych głów; ważne są szkody, które ta transakcja może

przynieść interesom Księżyca. Czy to jest dla pana jasne, panie Sandoval-Rice?

Thomas usiadł, nie odpowiadając. Przyjrzałem mu się badawczo, zadając sobie

pytanie: w jakim stopniu to, co powiedział było jedynie przedstawieniem na użytek członków

Rady, a w jakim skutkiem rzeczywistej utraty kurateli nad własnymi reakcjami? Widząc jego

wyraz twarzy zdałem sobie sprawę, że zachowanie Thomasa było w równej mierze

odzwierciedleniem zdolności aktorskich, co rzeczywistego zaniku kontroli. Dopiero wtedy

uświadomiłem sobie, czując nieprzyjemny skurcz żołądka, że Thomas musiał wiedzieć o

rzeczach, o których ja nie miałem zielonego pojęcia, a nasza sytuacja była naprawdę

rozpaczliwa. Był on wytrawnym i doświadczonym reprezentantem naszej Mnogości,

prawdziwym obywatelem Księżyca w klasycznym sensie, oznaczającym człowieka naprawdę

wolnego, a zarazem odpowiedzialnego za swoją Rodzinę. Widać było, jak szybko teraz traci

nieliczne złudzenia odnośnie władzy, rządu i polityki księżycowej.

Zwróciłem spojrzenie ku podium przewodniczącej, w stronę Fiony Task-Felder,

czując po raz pierwszy prawdziwą nienawiść. Było tak, jakby moje dotychczasowe “ja” w

tym momencie osiągnęło swój kres; jakbym narodził się ponownie jako człowiek bardziej już

cyniczny, bardziej wyrachowany i przebiegły; jakby w tej właśnie chwili skończyła się

definitywnie moja młodość. Ręce zaczęły mi drżeć. Wytarłem z nich pot, a potem szybko



określiłem w myśli to, co mogę powiedzieć składając zeznanie, a co powinienem zachować dla siebie.

Wówczas wstał reprezentant Zjednoczonej Mnogości Richter, a Janis Granger udzieliła mu głosu.

– Szanowna pani prezydent – powiedział – stawiam wniosek, by Mike Sandoval zeznawał przed Radą, ale by jego zeznania ograniczyły się do tych informacji, które nie mogą wpłynąć negatywnie na przyszłe profity, potencjalnie możliwe do osiągnięcia przez jego Rodzinę. Inaczej mówiąc, czy Rada mogłaby przegłosować pozwolenie na realizację projektu?

Twarz Thomasa minimalnie pojaśniała. Miałem nadzieję, że przewodnicząca zawaha się w tym momencie i uzna to ograniczenie za swój sukces. Jednak Fiona Task-Felder zmrużyła oczy twardo i nieustępliwie, zanim zapytała:

– Czy ktoś popiera wniosek?

Przedstawiciele Nernstów i Cailetetów jednogłośnie udzielili poparcia.

Przeprowadzono szybkie głosowanie i decyzja była jednomyślna; nawet przedstawiciel Task-Felderów przyłączył się do ogólnego trendu.

Była to pierwsza blokada postawiona na drodze do Armageddonu, który szykowali nam Task-Felderowie. Zapora ta była oczywiście słaba i została szybko zmieciona, lecz pomogła nam niezmiernie, dodając niezbędnej otuchy.

Złożyłem zeznanie, opierając się na wskazówkach przygotowanych przez Thomasa i skorygowanych przez adwokatów spoza rodziny; Rada wysłuchała mnie z uwagą. Nie roztrząsałem kwestii naszego sukcesu w odszyfrowaniu części zawartości umysłu jednej z głów.

Gdy skończyłem, wstał przedstawiciel Task-Felderów, by ponaglić Radę do

natychmiastowego głosowania w sprawie zastopowania lub zezwolenia na kontynuację naszego projektu. Wniosek zyskał poparcie sali. Thomas nie sprzeciwił się ani nie prosił o zwłokę. Cailletetowie, Nernstowie i Onnesowie głosowali za kontynuacją projektu. Pozostałych pięćdziesięciu jeden reprezentantów rodzin wypowiedziało się za jego zamknięciem.

Historia została stworzona, polityczne wzorce uległy zmianie, a wszystko to stało się zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Po zakończeniu obrad poszliśmy z Thomasem do jednego z pubów Kosmoportu Jin i rozsiadliśmy się nad dwoma potężnymi kufłami dobrego angielskiego piwa. Przez pierwsze pięć minut mówiliśmy bardzo niewiele.

– Nie było tak źle – stwierdził Thomas po opróżnieniu swojego kufła. – Nie zostaliśmy uroczyście spaleni. Pobłogosław, Boże, starą, solidną Mnogość Richter; wychłostano nas i poćwiartowano, ale pozostawiono nam resztkę godności, zanim zostaliśmy ostatecznie wbici na pal.

– Nie chciałbym zawiadamiać o tym Rho.

– Ona już wie, Mike. Pracownicy mojego biura połączyli się z Lodową Komorą. Rho pragnęłaby z tobą rozmawiać, ale ja nie chciałbym, byś rozmawiał z kimkolwiek, zanim się nie naradzimy, zgoda?

Skinąłem głową.

– Czyżbym wyczuł zmianę twojego stanowiska wobec tego wszystkiego? – spytał łagodnie Thomas.

Uśmiechnąłem się.

– Tak. A pana nastawienie?

– Nie jestem tak dobrym reprezentantem Rodziny, jak mógłbyś sądzić, Mike –

skonstatował Thomas, oddalając gestem mój słaby sprzeciw. – Hagiografię zachowaj do swoich pamiętników. Nie jestem w stanie powstrzymać tego, co przyniósł ostatni czas. Mogę jednak odwlec w czasie realne skutki. Rada będzie musiała przedstawić dla nas plan, coś w rodzaju sposobu zakończenia projektu z minimalną stratą środków zgromadzonych dla jego realizacji. To zajmie parę tygodni, a nie sądzę, by Task-Felderowie – Fiona i jej Mnogość – byli w stanie przyśpieszyć bieg spraw. Upewnię się, że tego nie uczynią, nawet gdybym musiał uciec się do zamachu na czyjeś życie.

Nie uśmiechał się, wypowiadając te słowa. Szczerze mówiąc, w moim aktualnym nastroju nie miało znaczenia czy mówi poważnie.

– Wiesz, Mike, zawsze miałem wątpliwości związane z tym projektem. Uważam, że powody, dla których przegraliśmy głosowanie w Radzie, są bardziej natury psychologicznej, a może nawet mistycznej, niż politycznej. Myślę, że w głębi duszy oni sądzą – i może nawet ja tak sądzę – że wkraczamy w coś, co powinno być pozostawione w spokoju. Jeśli Rho odniesie sukces, wiele rzeczy może się zmienić. My, mieszkańcy Księżyca, jesteśmy w gruncie rzeczy dość konserwatywną grupę, ale w szczególnym sensie. Można by to określić jako duchowy konserwatyzm, choć większość naszych przekonań religijnych zachowujemy dla siebie.

– Już odniosła – oznajmiłem.

– Co odniosła? – spytała Thomas, zbity z pantałyku.

– Sukces. Zrobili to wspólnie, ale sprawa jest już przesądzona.

– Tak? – zainteresował się.

– Udało im się dotrzeć do zawartości pamięci jednej z głów. Teraz rozpracowują drugą. Znamy już ich nazwiska. Udało nam się...

Nagle moją twarz wykrzywił jakiś niesamowity grymas. Zacząłem cały drzeć i

przeklinając uniosłem się z krzesła. Było to przerażające uczucie; niemal zobaczyłem upiora siedzącego obok nas przy stole, nieprawdopodobnie tłustego faraona pokrytego lodem, obserwującego nas złowróźnie. Thomas sięgnął przez stół, by ścisnąć moje ramię, i nagle widmo szeszło. Usiadłem.

– Nie trać samokontroli, Mike, nie teraz – prosił Thomas. Pozostali klienci zaczęli nas obserwować. – Co się stało?

– Jezu Chryste, nie mam pojęcia – zdołałem wyjąkać. – Wiem jedno: koniecznie muszę wrócić do Lodowej Komory. Właśnie coś przyszło mi do głowy, coś naprawdę strasznego.

– Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

– Do diabła, nie – stwierdziłem, kręcąc głową przecząco. – to zbyt szalone. Ale muszę tam wrócić – powiedziałem wstając. – Proszę, daruj mi. To po prostu przecucie, irracjonalne i śmieszne.

– Już ci darowałem – stwierdził Thomas, po czym zapisał rachunek na swoje osobiste konto.

Udało mi się dostać na regularny rejs promem do Lodowej Komory; szczęście i rozkład lotów zadziałały na moją korzyść. Ogarnęła mnie gorączka niepokoju wzbudzonego przez domysł. Jednak nie byłem w stanie podważyć w jakikolwiek sposób mojej teorii. W głowie wirowało mi równocześnie uczucie niedowierzania; niemożliwe, by było tak, jak przypuszczałem, chociaż w teorii wszystko pasowało do siebie gładko. Ale szanse na to, żebym miał rację, były astronomicznie wysokie. Wówczas uświadomiłem sobie również, że gdybym się mylił – a nie mogło przecież być inaczej – nie byłem wart tego, by pełnić funkcję w Mnogości Sandoval. Musiałem wówczas złożyć rezygnację. Jeśli brałem pod uwagę tak szalone przecucia, jeśli pozwalałem by stawały się one moją obsesją, oznaczało to, iż jestem

jedynie bezużytecznym śmieciem.

Lecieliśmy teraz ponad zewnętrzną plantacją. Jasnoczerwona budowla odcinała się od tła szarego piasku i skał. Prom przechylił się, mijając skrzyżowaniem promienniki Lodowej Komory i siadając do lądowania. Połyskiwały matową, pomarańczowoczerwoną barwą zapożyczoną od ciepła, które ich czasie wysyłały w ciemność kosmicznej przestrzeni.

Opuściłem pokład promu z niewielką walizką w dłoni. Przed ośmioma godzinami – gdybym słuchał nakazów zdrowego rozsądku – powinienem był położyć się spać, a mimo to nie straciłem nawet chwili na autostymulację lub krótki choćby sen indukowany. Ledwie znalazłem czas na to, by wrzucić walizkę do mojego biura w dawnym zbiorniku wodnym. Połączyłem się z Rho i obudziłem ją.

– Czy oni zabrali już swoje urządzenia? – spytałem.

– Kto? – odezwała się sennym głosem – Stolbartowie i Cailetetowie-Davisowie? Nie, jeszcze nie. Czekają na oficjalne polecenie od swoich Mnogości. Thomas powiedział, że będziesz mógł uzupełnić moje informacje, jeśli chodzi o pewne sprawy. Zamierzał z tobą porozmawiać.

– No cóż... tak, mam pewne wątpliwości i muszę w związku z tym dowiedzieć się paru rzeczy. Czy zbadaliście już trzecią głowę?

– Wydobyliśmy z niej już trochę struktur mentalnych, ale jeszcze ich nie przetłumaczyliśmy. Całe to zamieszanie może trochę przygasić nasz entuzjazm, Mike.

– Rozumiem. Rho, skłoń ich, by przetłumaczyli to, co już macie.

– Braciszku, mam wrażenie, że trochę fiksujesz. Nie bierz do siebie tego, co się stało. To moja, a nie twoja obsuwa. Pamiętasz tulipany?

– Po prostu przetłumaczcie te struktury. Proszę cię, Rho, zrób to dla mnie.

– Odchyliłem się na krześle, oszołomiony wszystkim, co się działo. Próbowałem

ocenić moją, naszą sytuację, jeśli moje przeczucie było trafne.

Potem znów rozpocząłem poszukiwania. Nie było sposobu, by to ominąć –

informacje, których teraz najbardziej potrzebowałem, mogłem znaleźć najprawdopodobniej na Ziemi, a dotarcie do nich mogło mnie drogo kosztować.

Mogłem też od razu zapisać te koszty na swoje osobiste konto.

Sześć godzin później przekroczyłem białą linię. Wciąż nie zaznałem ani minuty snu.

Otoczający mnie świat podziemnych plantacji, alej, zbiorników wodnych, zastygłych pod powierzchnią gruntu wulkanicznych bąbli, w których zainstalowane są mosty i wiecznie pracujące Pompy Chaosu, nabrał dla mnie właściwości przykrego snu; sam nie wiem dlaczego czułem, że William jest punktem centralnym mojego życia, było tak jednak faktycznie. Nade wszystko pragnąłem zatem dowiedzieć się, jak postępują jego badania. W poszukiwaniach Williama było coś czystego i niemal świętego, coś wykraczającego ponad zwykłe ludzkie spory; czułem, że odnajdę pocieszenie w samej obecności męża Rho, w słuchaniu jego słów.

Jednak sam William nie wyglądał na pocieszonego. Przypominał raczej kłębek nerwów. Podobnie jak ja, nie spał od dłuższego czasu. Wszedłem do laboratorium, starając się ignorować przytłumione dźwięki dochodzące z dołu, z Lodowej Komory. Zobaczyłem, że William stoi przy Kwantowym Logiku. Oczy miał zamknięte, wargi poruszały się, jakby w bezgłośnej modlitwie. Nagle spojrzał na mnie, a jego głowa i ramiona zadrżały.

– Jezu Chryste – powiedział miękko i nieco bezwolnie. – Czy oni skończyli już tam, na dole?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Obawiam się, że dałem im impuls do nowej roboty.

– Słyszałem, że dostałeś mata – stwierdził William.

Wzruszyłem ramionami.

– A co u ciebie? – spytałem

– Mój przeciwnik jest znacznie bardziej wyrafinowany niż jakikolwiek ludzki spisek.

Dotarłem do punktu, w którym mogę decydować: przełączyć wszystko na plus czy na minus?

– zaśmiał się z goryczą. – Mogę osiągnąć nowy stan materii zależnie od swego widzimisię, ale coś uniemożliwia mi dotarcie do ziemi niczyjej pomiędzy stanem normalnym a tym nowym stanem. Właśnie to rozważa teraz Kwantowy Logik. Pracuje nad nim już od pięciu godzin.

– Na czym polega problem? – spytałem.

– Mike, zrozum, że nie przełączyłem nawet Pomp Chaosu, by osiągnąć ten nowy stan.

Nie odcinałem pola magnetycznego, nie poczyniłem żadnych specjalnych przygotowań.

Nastąpił po prostu nagły przeskok do negatywnego stanu, w którym absorbowana jest energia, by utrzymać nieokreśloną temperaturę próbek.

– Ale dlaczego tak się stało?

– Najlepsze wytłumaczenie, które jest w stanie podsunąć Kwantowy Logik, polega na stwierdzeniu, iż zbliżamy się do jakiegoś kluczowego wydarzenia, które oddziałuje wstecz, pod prąd strumienia czasu, wpływając już teraz na nasz eksperyment.

– A zatem żaden z was nie wie, co się właściwie teraz dzieje?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie tylko jest niejasne, ale także niepojęte. Nawet Kwantowy Logik jest tym wszystkim oszołomiony i nie może dać mi jednoznacznych odpowiedzi.

Usiadłem na brzegu platformy Kwantowego Logika i zacząłem otwartą dłonią pieścić powierzchnię sztucznego mózgu, jakby w odruchu współczucia.

– To wszystko od początku do końca jest jakieś wykoślawione – powiedziałem. –

Żaden złoty środek nie jest tu uchwytany.

– Ach, Mike, to jest właśnie pytanie: co w tym wypadku stanowi centrum? Czym jest to wydarzenie, do którego zbliżamy się nieuchronnie, które jest w stanie dosięgnąć nas nieuchwytnymi palcami swych oddziaływań i powodować już teraz kompletny chaos?

Uśmiechnąłem się smutno.

– Jesteśmy niewątpliwie dwoma głupcami – stwierdziłem.

– Mów za siebie – powiedział William ostro, jakby w odruchu samoobrony. – Na Boka, Mike, zobaczysz, że rozwikłam cały ten kram. Rozwiąż twój mały problem, a ja rozwiążę swój – dodał, wskazując w dół, gdzie znajdowała się przechowalnia Rho.

Jakby w odpowiedzi na ten gest, drzwi otwarły się nagle i stanęła w nich moja siostra, której twarz była szara jak popiół.

– Mike, skąd wiedziałeś? – spytała.

Szok związany z potwierdzeniem moich przeczuć – a nie ulegało wątpliwości, iż jest to właśnie potwierdzenie – spowodował, że zadrżałem. Zerknąłem na Williama.

– Powiedział mi o tym mały duszek. Tłusta, senna mara z lodowych pól.

– Przetłumaczyliśmy jeszcze niewiele – powiedziała Rho – ale znamy już jego imię.

– O kim ty mówisz? – spytał zaskoczony William.

– O trzecim z naszych nieznanym – wyjaśniłem. – Na dole mamy trzy nie zidentyfikowane głowy, trzy spośród czterystu dziesięciu. Przyczyną braku identyfikacji było domniemane niedopatrzenie w przechowywaniu danych.

– Wiesz coś, Mike? – dopytywała się Rho.

– W latach 2079-2094 Towarzystwo “Gwiezdny Czas” zatrudniało czterech

Logologów – odparłem. – Dwóch z nich pracowało w przechowalni danych, dwóch zaś w administracji. Żadnemu z nich nie dano dostępu do samych głów, które były przechowywane



w chłodzonych kryptach w Denver.

– Sądziś, że oni zwinęli tę dokumentację?

– Nic poza tym nie mogli wtedy zrobić.

– To jest tak cyniczne – stwierdziła Rho – że niemal nie mogę w to uwierzyć. To tak, jakbyśmy... próbowali zabić Roberta i Emilię. Obrzydliwość.

William wymamrotał jakieś bezgłośnie przekleństwo, wyładowując swą frustrację.

– Do cholery, Rho, o czym ty mówisz?

– Już wiemy, skąd wzięły się nasze problemy z Task-Felderami. Okazało się, że rozbiłam bank, Williamie. Sprowadziłam do naszej zagrody wilka. Przepraszam.

– Jakiego wilka? – William był zdziwiony.

– Thierry’ego – powiedziałem, niemal tracąc oddech. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać.

– Macie tam, na dole jego? – spytał William nieprzytomnie.

Objęliśmy się z Rho i wstrząsnął nami atak śmiechu na granicy hysterii.

– Kimona Davida Thierry’ego – powiedziała Rho, kiedy ochłonęliśmy. Przetarła oczy.

– Mike, jesteś genialny. Ale to wciąż nie ma żadnego sensu. Dlaczego oni tak się go boją?

Rozłożyłem ramiona w bezradnym geście. Nie byłem w stanie udzielić natychmiastowej odpowiedzi.

– Głównego Logologa we własnej osobie? – William wciąż nie był w stanie uchwycić całej prawdy.

Rho usiadła i wyciągnęła nogi na postumencie Kwantowego Logika. Odchyliła głowę.

– William, czy mógłbyś dotknąć mojej szyi? Skurcz mięśni chyba skręci mi kark, jeśli ktoś nie zrobi mi zaraz masażu.

William stanął za plecami Rho i zaczął masować jej szyję.

– Mike, co teraz zrobimy? – spytała.

– Boją się go, ponieważ sądzą, że możemy dotrzeć do ich sekretów, do prawdy – stwierdziłem, wypowiadając w końcu to, co w gruncie rzeczy uświadomiłem sobie przed wieloma godzinami. – Będziemy w stanie zajrzeć do jego wspomnień, do najbardziej osobistych myśli i wyobrażeń. Logologowie przypuszczają, że jeśli zabrnjemy odpowiednio daleko, będziemy w stanie dotrzeć do tego, co Thierry myślał, gdy pisał swoje dzieła, gdy ustanawiał podstawy ich wiary...

– Wiedzą, że był oszustem – dodała Rho. – Robią to wszystko, ponieważ zdają sobie sprawę, iż żyją w kłamstwie. Aż nie mogę uwierzyć w ten szczyt cynizmu.

– Są organizatorami – powiedziałem. – To typowi politycy, pasterze swojego stada.

– Skończyć z politykami – stwierdził William. – Rho, namieszałaś w komorze pełnej węży.

– W Lodowej Komorze pełnej mrożonych węży. Boże, miej nas w swej opiece – odparła Rho i odniosłem wrażenie, iż jest to jak najbardziej szczerą prośbą.

– “Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”. Mateusz – zacytował William, najwyraźniej sam zaskoczony własną erudycją. – Czy sądzicie, że Fiona Task-Felder chce się pozbyć Thierry’ego?

– Ona może nawet nie wiedzieć, że Thierry tu jest – odparłem. – Tutejsi Logologowie to jedynie kukiełki tańczące na sznureczkach, chociaż ktoś wysoko postawiony w Kościele Logologii wiedział przez cały czas, gdzie był Thierry, wiedział, że prorok kazał “Gwiezdnemu Czasowi” zamrozić się w chwili śmierci... że jego kremacja była mistyfikacją, nie mówiąc już o połączeniu się przezeń z Wstępującymi Mistrzami w roli wędrującego po galaktyce ducha.

– Ale dlaczego nie przelicytowali mnie na Ziemi, kiedy kupowałam głowy? –

zastanawiała się Rho. – Dlaczego Logologowie nie kupili “Gwiezdnego Czasu” wiele dziesięcioleci temu i po prostu nie zakopali tych umarlaków?

– Nie można kupić czegoś, co nie jest do sprzedania – oznajmiłem, wyjmując swoją tabliczkę szyfrową i przeglądając listę nazwisk oraz danych biograficznych pochodzących z publicznej przechowalni informacji, ze starych plików, obejmujących Sprawozdanie Danych Finansowych Trójni. Każdy ziemski przedsiębiorca, a także każda spółka, która zainwestowała w dowolne przedsiębiorstwo Trójni pod koniec dwudziestego pierwszego i na początku dwudziestego drugiego wieku, musiała składać obszernie sprawozdanie z tego przedsięwzięcia podejrzliwym i pełnym niechęci władzom. Było to oczywiście w dawnych złych czasach, czasach Rozłamu i embarga.

Towarzystwo Ochronne “Gwiezdny Czas” podjęło wtedy wiele inwestycji, obejmujących także różne przedsięwzięcia w Trójni.

– Oto mój główny podejrzany – oznajmiłem. – Nazywał się Frederick Jones. Był dyrektorem “Gwiezdnego Czasu” od roku 2097 aż do śmierci, która nastąpiła przed czterema laty. Był Logologiem apostatą. W roku 2090 oskarżył Świątynię o zagarnięcie trzydziestu milionów dolarów. Przegrał. Czy “Gwiezdny Czas” przeprowadził selekcję uczestników licytacji?

– Mogli to zrobić – odparła Rho.

– Jones prawdopodobnie wiedział, że Thierry był członkiem “Gwiezdnego Czasu”.

Mógł nie wiedzieć, gdzie on konkretnie jest, ponieważ nie dołożył szczególnych starań, by uporządkować dane Towarzystwa, po tym jak dorwali je pracownicy Świątyni. Pomyślcie, jakie katusze musiał przeżywać Jones, chroniąc człowieka, którego najbardziej nienawidził spośród wyznawców swojej religii...

– Aby wypełnić warunki kontraktu z Thierrym – kontynuowałem po chwili –

spadkobiercy Jonesa wyłączyli Świątynię z licytacji, dopuszczając do niej jedynie tych, których udział uznali za uzasadniony. Jones przez wiele dziesięcioleci odpierał wszelkie próby kupna głów. Powiedziałbym, że najprawdopodobniej Świątynia po prostu zrezygnowała z dalszych prób. Nie wyglądało na to, by na horyzoncie miał pojawić się jakiś naukowy przełom, który umożliwiłby ożywienie głów. Były wówczas po prostu bezwartościowym, zamrożonym mięsem. W związku z tym nie istniała też żadna możliwa do przewidzenia groźba związana z Thierrym. Do władzy doszli nowi przywódcy Świątyni. Pośmiertne losy założyciela utonęły w mgle zapomnienia. A potem ci nowi przywódcy odkryli, co się stało. To tylko przypuszczenia, ale chyba trzymają się kupy.

– Nadeszła Pandora – stwierdziła Rho. – Pandora z puszką pełną tulipanów. Co teraz zrobimy, Mike?

– Oczywiście jesteśmy prawnie zobowiązani, by bronić interesów tych głów, ale nie mam pewności, jakie prawo nas do tego zobowiązuje. Prawa Ziemi i Trójni nie zazębiają się dokładnie, nie mówiąc już o prawie ziemskim i księżycowym.

– A co z Robertem i Emilią? – spytała Rho. – Jeśli zostaniemy zmuszeni do rezygnacji z naszych badań, co stanie się z nimi?

Kwantowy Logik, dzwoniąc delikatnie, przerwał naszą rozmowę.

– Williamie, względna stabilność wróciła – oznajmił. – Wszystkie cele utrzymują cykliczną temperaturę w przedziale od dziesięciu do minus dwudziestu stopni Kelvina. Nie jest już konieczne wprowadzanie do nich energii, aby utrzymać stabilność...

William przerwał jego sprawozdanie.

– Nie sądźcie, że nie jestem zainteresowany sprawą głów – powiedział do nas – ale to oznacza, że muszę wrócić do pracy.

– Nie udało mi się nawet śledzić tego, co robisz – powiedziała Rho ze smutkiem.

– Nie martw się – odparł, pochylając się nad Rho, aby pocałować ją w czoło. Nigdy nie widziałem Williama bardziej czułego, miłego wobec mojej siostry i byłem tym widokiem poruszony. – Dopóki przez większą część czasu jestem pozostawiony samemu sobie, udaje mi się wykonywać moją robotę. Ochroniajcie Roberta i Emilię. Pamiętajcie, że ta Rodzina jest ważna także dla mnie.

Dziesięć minut później powiedziałem Thomasowi o naszym odkryciu. W ogóle na to nie zareagował; wieczorem miało odbyć się spotkanie przedstawicieli naszej Mnogości i ważyły się losy jego pozycji w Rodzinie. Musiał zatem intensywnie myśleć.

– Przedstawiciele Rodziny przegłosowali wotum zaufania – powiedział do mnie Thomas przez telefon wczesnym rankiem następnego dnia. – Pozostawili tę sprawę wyłącznie w moich rękach.

Przekaz wizualny, zwykle towarzyszący rozmowie, tym razem został wyłączony.

Przypuszczałem, że wyglądał jak człowiek zbyt zmęczony i przegrany i nie chciał, by jego podwładny widział go w tym stanie; tonacja głosu Thomasa potwierdziła moje przypuszczenia.

– Do cholery, chciałem, żeby wykopali mnie ze stanowiska i przejęli moje obowiązki, ale wygląda na to, Mike, że oni też muszą wykonywać lepiej swoją robotę.

– To znaczy, że mają do pana zaufanie – odezwałem się.

– N... nie – odparł wolno. – Bynajmniej, Mike. Pomyśl, co to naprawdę może oznaczać?

Po chwili rozważań stwierdziłem:

– Sądzą, że Zjednoczona Mnogość Sandoval pod pana przywództwem nie może zrobić dużo więcej bałaganu, niż to się stało, inni zaś przedstawiciele rodziny będą prowadzić zakulisowe pertraktacje z innymi Mnogościami i Radą, aby wszystko naprawić.

– Daj Mike’owi czas, a znajdzie odpowiedź – skonstatował Thomas.

– Ale to nie ma kompletnie żadnego sensu – powiedziałem tonem ostrym niczym

żądło. – Dlaczego po prostu nie powiedzieli nam, żebyśmy się wynosili?

Nagle Thomas włączył wizję. Wyglądał na bardzo wyczerpanego, jakby postarzał się

o dziesięć lat, ale w jego oczach widoczne były iskry gorączkowego blasku.

– Mike, nie powiedziałem im o Thierrym. Powinniśmy spróbować jeszcze jednej

rzeczy. Sądzisz, że przewodnicząca nie wiedziała, dlaczego otrzymała polecenie likwidacji

naszego projektu. Czemu zatem nie wyjaśnić jej tego? A jeszcze lepiej, Mike, dlaczego nie

odegrasz roli małego zarozumiałego bękarta i nie powiesz jej tego sam?

Gdyby był teraz ze mną w pokoju, mógłbym nie wytrzymać i uderzyć go w tym

momencie.

– Sam jesteś bękartem – powiedziałem. – Jesteś cholernym świętoszkowatym,

okrutnym starym bękartem.

– Tego właśnie chcę, Mike: żebyś był przekonany do tego, co robisz. Pokładam w

tobie dużo zaufania. Sądzę, że to może wprowadzić księżycowych Logologów w bardzo dla

nas użyteczny stan zakłopotania. Przywódcy Świątyni liczą na naszą niewiedzę; dopóki my

nie wiemy, Fiona i cała księżycowa gałąź wyznawców ich religii też się nie dowie. Ale my

możemy wyrzucić tę równowagę ignorancji.

Byłem wciąż wystarczająco pobudzony, by trzymać rękę na pulsie, ale dopiero teraz

cały jego plan stawał się dla mnie jasny.

– Najwyraźniej chcesz, żebym znów odgrywał narwańca – powiedziałem.

– Złapałeś, w czym rzecz, Mike. Będziesz wściekły. Urażony. Właśnie wyrzuciłem cię

z pracy. Powiesz Fionie Task-Felder, że wiemy, iż mamy tu Thierry’ego i że zamierzamy

dokładnie przejrzeć jego głowę, chyba że się wycofają.

– Thomas, ten pomysł jest... straszny.

– Sądzę, że to wprowadzi Fionę w stan stuporu i da nam trochę tak bardzo potrzebnego czasu. Wiesz już, Mike, jaki będzie nasz następny krok?

– Ogłosimy to w całym systemie słonecznym.

Thomas roześmiał się głośno.

– Niech cię wszyscy diabli, chłopcze, zaczynasz łapać, o co w tym wszystkim chodzi.

Możemy przesunąć Świątynię Logologów pięćdziesiąt lat do tyłu. “Świątynia stara się zniszczyć pozostałości swego proroka i założyciela”. – Ręce Thomasa odtworzyły w powietrzu kształt olbrzymich tytułów. – Sądzę, że kierownictwo Mnogości ma rację, pozostawiając tę sprawę właśnie nam, prawda?

Poczułem się jak sznur w pułapce.

– Jeśli tak twierdzisz, Thomas – odparłem.

– To nakaz chwili. Załatw ją, Mike.

Przed przystąpieniem do działania odczekałem trzydzieści godzin po prostu dlatego,

by dać sobie czas na przemyślenie wszystkiego i uzyskanie intelektualnej niezależności od

Thomasa. Nie byłem całkiem pewien, czy tym razem nie przeciągnął struny. Myśl o

rozmowie z przewodniczącą po ostatniej porażce w jej obecności wywoływała u mnie skurcze

żołądka. Myślałem o wszystkich tych biednych idiotach, którzy w ciągu trwania historii

ludzkości dali się złapać w pułapki polityczne, logistyczne oraz wszelkie sidła innego rodzaju;

o wszystkich sznurach, które dały się zagnać w uliczkę bez wyjścia.

Czułem, że staję się coraz starszy. Nie wydawało mi się, żebym się przy tym rozwijał.

Ale kto za tym wszystkim stał? Kogo mogłem obwiniać za taki przebieg wydarzeń?

W gruncie rzeczy był to tylko jeden człowiek, który założył dziwaczny świecki

kościół, przyciągając doń ludzi dobrych i złych, łatwowiernych i cynicznych,

zapoczątkowując istnienie instytucji zbyt dużej, zbyt dobrze zorganizowanej i zabezpieczonej finansowo, by mogła po prostu przestać istnieć; ogłaszając publicznie całą serię kłamstw, które stały się dla wielu ludzi uświęconymi prawdami. Jak często coś podobnego zdarzało się w historii i jak często ludzie ulegali podobnej sugestii, po czym umierali?

W trakcie swoich poszukiwań podjętych na Ziemi zagłębiłem się w danych dotyczących dawnych proroków. Zaratustra, Jezus, Mahomet. Sabataj Cwi, siedemnastowieczny turecki Żyd, który ogłosił się mesjaszem, a potem został apostatą i muzułmaninem. Al Mahdi, który pokonał Brytyjczyków w Chartumie. Joseph Smith, który odczytywał słowo boże ze złotych tabliczek za pomocą specjalnych okularów, a także Brigham Young. Dziesiątki dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych założycieli radykalnych odłamów chrześcijaństwa oraz islamu. Pozbawiony imienia i twarzy prorok Podwójnego Millenium. A jeszcze wszyscy mali oszuści, których religie najprawdopodobniej przestały istnieć, szarlatani o nikłej charyzmie, których pokrętne przesłania były zbyt prymitywne nawet dla mas. Do której z tych grup należał Thierry?

Odwróciłem się od tej mrocznej wizji, by zadać sobie pytanie, w jakim stopniu tacy ludzie przyczyniają się do rozwoju filozofii i społecznego porządku, do wzrostu cywilizacji. Judaizm, chrześcijaństwo oraz islam uporządkowały i podzieliły świat Zachodu. Ja sam, osobiście, byłem pełen podziwu dla Jezusa.

Jednak to, czego dowiedziałem się o Thierry, uniemożliwiało przyznanie mu pierwszeństwa wśród proroków i mesjaszy. Był człowiekiem małego formatu i oszustem, a także małostkowym prześladowcą tych, którzy utracili jego łaski. Stworzył mnóstwo zabawnych prawd, by kierować życiem swoich zwolenników. Był okrutny i nieumiarkowany. Zamiast wybrać się w galaktyczną podróż i, jak twierdził, dołączyć do Wstępujących Mistrzów, Thierry doznał "odcieleśnienia" jedynie przez zamrożenie go w ramach



działalności Towarzystwa “Gwiezdny Czas”. Podarował swoją głowę nadchodzącym stuleciom w nadziei na całkowicie świecką nieśmiertelność.

Wybrałem się z wizytą do Lodowej Komory i pojechałem windą do przechowalni głów. Stolbartowie i przedstawiciele Mnogości Cailetet-Davis zostali w końcu odwołani przez kierownictwo swoich rodzin, ale pozostawili w Komorze swój ekwipunek, ponieważ odwołanie było nie o obowiązujące i miało dokonać się dopiero w momencie ostatecznego zamknięcia projektu.

Rho dostała od nich instrukcje dotyczące podstaw obsługi tych urządzeń. Mogła odtwarzać dokonane już zapisy i wkładając w to nieco wysiłku dokonywać prób przetłumaczenia innych struktur mentalnych kolejnej głowy.

Nie mówiąc prawie nic, przykucnęliśmy na stalowej podłodze pomieszczenia. Rho, mamrocząc przekleństwa pod nosem, zaczęła grzebać wśród znajdujących się tu urządzeń.

– Chyba będę musiała zinterpretować to w jakimś stopniu – stwierdziła. – Na razie tłumaczenia nie są doskonałe.

Zaczęliśmy słuchać zapisu ostatnich kilku minut świadomej pamięci Kimona

Thierry’ego. Nie było jeszcze żadnych wizualnych tłumaczeń tego zapisu. Głos, który wydobywał się z urządzeń, był zniekształcony, głosy ludzi zaś – ledwie rozpoznawalne.

– Panie Thierry, pani... (tu z aparatury rozległy się niezrozumiałe trzaski)...

długoletnia przyjaciółka pani Winston...

– Sądzymy, że Thierry rozmawiał przez telefon – wyjaśniła pośpiesznie Rho.

– Tak, znam ją. Czego chce?

Tym razem to był sam Thierry, słyszany dosłownie we wnętrzu własnej głowy;

dźwięk jego głosu był znacznie głębszy, rozbrzmiewał wyraźnie i głośno.

– Pytała o... (znów niezrozumiałe trzaski) ...styczniowe spotkanie w Punkcie Logos.

Czy ma się tam odbyć dyskurs mentalny XYZ?

– Nie widzę przeszkód. Kim ona jest? Czy to nie kolejna dziwka z Grupy

Pośredniczącej Staten Island?

– Nie, proszę pana. Ma rangę Platynowego Współpracownika. We wrześniu przywiozła pięcioro swoich dzieci do Obszaru Studiów Logosu Tao...

– Załatwiają najwyraźniej jakieś bieżące interesy – zasugerowała Rho. Wsparła podbródek na dłoniach, siedząc na podłodze w pozycji lotosu z łokciami opartymi o kolana, dokładnie tak, jak siadywała zwykle, będąc jeszcze małą dziewczynką. Jej spojrzenie wyrażało teraz prośbę o cierpliwość, a także obietnicę, że to, co najciekawsze, dopiero zostanie powiedziane.

– Powiedz jej – odezwał się Thierry – że dyskursy umysłów pochłaniają dużo mojej energii mentalnej. Jeśli zamierzam odbyć rozmowę na poziomie XYZ, będziemy potrzebować dziesięciu nowych współpracowników, a każdy z nich będzie musiał mieć platynową rangę. Potrzeba dużo energii, by skontaktować się z zagubionymi bogami.

Nawet słyszane poprzez filtr jego własnej czaszki, słowa Thierry'ego wydawały się jedynie pustą deklamacją, a on sam był najwidoczniej nie tylko fizycznie zmęczony; był człowiekiem schwytanym w pułapkę śmiertelnej nudy, mówiącym to, co ma do powiedzenia, bez żadnej nadziei na wyzwolenie.

– Czy może pan zagwarantować kontakt z nimi?

– Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?!

– Proszę pana, myślę o tym, czy będzie pan miał wszystkie potrzebne do tego środki?

Pański stan zdrowia nie był ostatnio najlepszy. Ostatni punkt logos...

– Powiedz tej pani jakiejśtam, że dzięki mnie będzie pławić się w Mądrości Delta, że sprawię, iż bogowie wyciszą jej mentalne sinusoidy aż do chwili jej poczęcia w łonie matki.

Powiedz wszystko, co będzie potrzebne, żeby ją przekonać do pracy dla nas. Potrzebujemy nowych Platynowych Współpracowników. Co, do diabła ciężkiego, masz dla mnie jeszcze?

– Przepraszam, że pana niepokoję, panie Thierry, ale chciałbym, żeby wszystko dobrze poszło...

– Doceniam twoją troskę, ale zdaję sobie doskonale sprawę, jaki jest w tej chwili poziom mojej siły. Odpoczywam... na swoim własnym, boskim poziomie. No, co jeszcze? Aaachch...

– Proszę pana...? (zniekształcenie odbioru).

Dalej nastąpił długi jęk, potem ostry stukot, a także inne głosy, które pojawiły się w najbliższym sąsiedztwie; spośród nich wybijał się jeden kobiecy głos, pytający ze zdenerwowaniem: – Kimon, Kimon, co z tobą?!

Jedyną odpowiedzią Thierry'ego był kolejny przeciągły jęk; dało się słyszeć także coś w rodzaju przytłumionego trzeszczenia, tak jakby sztuczne ognie eksplodowały w jakimś szczelnie zamkniętym i wyciszonym pokoju. Potem odezwał się jeszcze raz ten sam kobiecy głos, ale ledwie słyszalny w ostatnich wspomnieniach percepcji nie funkcjonującego już ciała: – Kimon, co się...

I jeszcze ostatnie słowa Thierry'ego, wypowiedziane niczym ledwie słyszalny jęk: – Sprowadźcie Petera...

Tłumaczenie struktur skończyło się i Rho wyłączyła taśmę.

Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy na siebie.

– Teraz mogę sobie wyobrazić... dlaczego niektórzy ludzie odczuwają nasze działania jako negatywne – powiedziałem cicho. – Może też wiem, dlaczego Logologowie na Ziemi mogą je negować.

– Tak, to namacalna ingerencja, a nie tylko coś w rodzaju otwarcia dziennika –

przyznała Rho.

– Powinniśmy odpieczętować ich wszystkich, zanim będą mogli zostać ożywieni – powiedziałem. Rho obejrzała się za siebie, na starannie ułożone rzędy stalowych pudełek, rozciągające się za nami wzdłuż krzywizny pomieszczenia, a także na ekwipunek Cailletetów i Onnesów rozłożony w pobliżu.

– Musimy być odważni – stwierdziła. – Jeśli dostaniemy zezwolenie na kontynuację tych badań, powinniśmy popracować nad naszą własną etyką. My pierwsi próbujemy robić takie rzeczy. To, co robimy, nie jest złe z samego założenia, ale rzeczywiście jest niebezpieczne.

– Rho, jestem wyczerpany całą tą sprawą. Moglibyśmy skontaktować się z Task-Felderami i zaproponować, że damy im Thierry’ego. Niech dostaną to, czego chcą.

– Jak sądzisz, co oni z nim zrobią? – spytała Rho. Przygryzłem wargę, wzruszając ramionami.

– Prawdopodobnie wyślą go z powrotem na Ziemię. Niech ich szefowie zdecydują, czy powinien zostać...

– ...uwolniony – dokończyła za mnie Rho. – Po to, by móc dołączyć do Wstępujących Mistrzów.

– Nie miał żadnych spadkobierców ani rodziny, którą byłbym w stanie odkryć... tylko Logologów.

– A oni go nie chcą – podsumowała Rho.

– Ale nie chcą też, by miał go ktokolwiek inny – dodałem.

Wstając z pozycji lotosu, uniosła się na kolana i wyłączyła dopływ energii translatora.

– Czy zgadzasz się na plan Thomasa? – spytała.

Przez chwilę trwałem w bezruchu i milczałem, starając się do niczego nie

zobowiązywać.

– Potrzebujemy czasu – powiedziałem.

– Mike, Mnogość Sandoval podpisała wiążące porozumienie w imieniu nas wszystkich. Mamy obowiązek chronić te głowy, strzec ich... a jeśli jest sposób, by je ożywić, musimy zrobić również to.

– W porządku – zgodziłem się. – Pamiętaj, że nie wszystko, co mówiłem dotychczas, należy traktować poważnie.

– Chciałabym, żeby Robert i Emilia wybrali inne towarzystwo ochronne – rozmarzyła się Rho. – Do diabła, chciałabym nigdy nie usłyszeć o “Gwiezdnym Czasie”.

– Amen – stwierdziłem.

Nienawidzę dwulicowości. Jednak plan Thomasa wydawał się najlepszy. W końcu, nie mogłem wymyślić nic bardziej sensownego. Zostaliśmy przyparci do muru i należało zastosować ostateczne środki. Jednak z wielką niechęcią odnosiłem się do tego, co miałem właśnie zrobić: odgrywać przed obliczem Fiony Task-Felder wcielenie urażonej niewinności. Miałem wrażenie, że zamierzam włożyć głowę do paszczy lwa.

I znów wybrałem się promem do Kosmoportu Jin. Tym razem jednak nie wstąpiłem po drodze do biura Thomasa; wcześniej, podczas rozmowy telefonicznej, zaplanowaliśmy wszystko z wyprzedzeniem, biorąc pod uwagę wszelkie ewentualności, możliwe wykręty, a także wyjścia awaryjne.

Pierwszą częścią planu było przybycie bez zapowiedzi do biura przewodniczącej; załamany i pozbawiony zajęcia, miałem odgrywać kogoś, kto odłączył się od obowiązującego całą rodzinę wspólnego kursu, ustalonego przez jej starszych przedstawicieli. Potargałem sobie włosy, przybrałem pełen napięcia wyraz twarzy i w takim stanie wkroczyłem do biura przyjąć przewodniczącej. Łamiącym się głosem poprosiłem o audiencję u Fiony Task-Felder.

Recepcjonista wiedział, kim jestem, i poprosił mnie, bym usiadł. Nie wyglądało na to, by zamierzał kontaktować się z Fioną lub cokolwiek zapisywać. Doszedłem do wniosku, że musiał być wcześniej zawiadomiony, iż do biura zbliża się ktoś, kto go może zainteresować. Zapewne zostałem też dokładnie przebadany przez ukrytą kamerę. Odgrywałem moją rolę z pewnym sprytem, zachowując się bardzo niespokojnie.

Po chwili recepcjonista zwrócił się do mnie, oznajmiając:

– Przewodnicząca będzie miała czas na spotkanie z panem nieco później, dziś wieczór. Czy mógłby pan zjawić się tu ponownie około piętnastej?

Odparłem, że mógłbym. Straciłem bezproduktywnie trzy godziny i powróciłem do biura Fiony. Najwyraźniej ta tura naszego wspólnego tańca rozwijała się pomyślnie; pierwsze kroki, wzajemne przemieszczenia i określanie tego, kto będzie prowadził, a kto będzie musiał się dostosowywać.

Przeszedłem długim korytarzem do wewnętrznego sanktuarium przewodniczącej.

Powtórka sytuacji z mojego pierwszego pobytu była przerażająco dokładna. Młode dziewczyny wciąż przenosiły tędy pliki dokumentacji, uśmiechając się na mój widok. Bez entuzjazmu odwzajemniałem te uśmiechy.

Drzwi biura Fiony Task-Felder otworzyły się. Za biurkiem siedziała z założonymi rękami pełna godności, niebieskooka pani przewodnicząca, najwyraźniej przygotowana wyłącznie na to, by przyjąć wiernopoddańczy hołd.

– Proszę usiąść – powiedziała łaskawie. – Co mogę dla pana zrobić, panie Sandoval?

– Podejmuję wielkie ryzyko, przychodząc tutaj – stwierdziłem na wstępie. – Musi pani wiedzieć, że zostałem zdjęty ze stanowiska... po prostu wyrzucony z pracy. Czuję jednak, że istnieje pewna przestrzeń dla prowadzenia negocjacji...

– Negocjacji pomiędzy kim a kim?

– Pomędzy mną... a panią.

– Kogo pan reprezentuje, panie Sandoval? I kogo ja miałabym reprezentować w tych “negocjacjach”: Radę, czy moją Zjednoczoną Mnogość?

Zareagowałem na te słowa słabym uśmiechem.

– Teraz już nie ma to dla mnie znaczenia.

– Ale dla mnie ma. Jeśli życzy pan sobie rozmawiać z przewodniczącą Rady, zamieniam się w słuch. Ale jeśli chce pan rozmawiać ze Zjednoczoną Mnogością Task-Felderów...

– Chcę rozmawiać z panią. Muszę powiedzieć pani coś...

Uniosła wzrok, spoglądając na sufit.

– Zawiódł pan swoich pracodawców, panie Sandoval. Najwyraźniej drogo to pana kosztowało. Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie to: rodzinne Zjednoczone Mnogości są w istocie jaskiniami nepotyzmu i niekompetencji. Czy ma pan pełnomocnictwa przedstawicieli swojej Mnogości?

– Nie mam.

– Pańskie dalsze przebywanie tutaj nie może zatem przynieść żadnej korzyści ani panu, ani mnie.

– Przedtem wykorzystała mnie pani... – zacząłem. Rzeczywisty gniew i zdenerwowanie przydały moim słowom przekonania, którego nie mógłbym w żaden sposób udać. – Próbuję wyrównać rachunki ze swoimi przełożonymi i z naszym dyrektorem. Chcę dać pani szansę, pewną informację, coś, co może chciałaby pani wiedzieć...

Przyjrzała mi się przenikliwie, ale bez niechęci, niczym wilk, który obwąchuje wysoce podejrzany pokarm.

– Czy zamierza pan wyrazić wolę złożenia zeznania przed Radą? Powiedzieć im

wszystko, co zamierza pan powiedzieć mnie?

A więc jednak Thomas miał rację.

– Wolałbym nie...

– Nie wysłucham pana, dopóki nie wyrazi pan woli złożenia zeznania na otwartym posiedzeniu Rady.

– Proszę...

– To moje żądanie, Mike. Byłoby najlepiej, gdybyś skonsultował się z przedstawicielami swojej Mnogości, zanim zabrniesz dalej w swoich poczynaniach.

Wstała, żeby mnie wyprosić.

– Dobrze – powiedziałem. – Pozwolę pani zdecydować, czy chce pani, żebym złożył zeznanie przed Radą.

– Zarejestruję to jako dobrowolne spotkanie, tak jak potraktowałam twoją ostatnią wizytę.

– Zgoda – oznajmiłem z westchnieniem, udając, iż pogrążam się w rozpacz.

– A więc słucham.

– Zaczęliśmy odczytywać wzory... wspomnienia zawarte w tych głowach...

Fiona wyglądała teraz tak, jakby właśnie przełykała coś gorzkiego.

– Mam nadzieję, że wszyscy zdajecie sobie sprawę z tego, co robicie – powiedziała wolno.

– Odkryliśmy coś zaskakującego, coś, czego w ogóle się nie spodziewaliśmy...

– Mów dalej – zachęciła mnie.

Powiedziałem jej o oczywistych błędach Towarzystwa “Gwiezdny Czas” w prowadzeniu dokumentacji członków stowarzyszenia. Powiedziałem też o zidentyfikowaniu dwóch pierwszych nieznanymi głow na podstawie krótkotrwałej pamięci i innych obszarów



martwych, lecz nie naruszonych mózgów.

Zaobserwowałem u Fiony przeblysłk zainteresowania wymieszanego z odrazą.

– Dopiero parę dni temu dowiedzieliśmy się, kim był trzeci nieznajomy – przełknąłem ślinę. Był to jakby krok do tyłu przed skokiem w przepaść. – To Kimon Thierry. Kimon David Thierry – powtórzyłem dla rozwiania ewentualnych wątpliwości. – Został członkiem Towarzystwa “Gwiazdny Czas”.

Fiona kołysała się powoli w tył i w przód na swoim krześle.

– Kłamiesz – powiedziała miękko. – To najgłupsza, najbardziej absurdalna historia, jaką... Nie wyobrażam sobie, że jest pan zdolny do takich rzeczy, panie Sandoval. Jestem... – niewyobrażalnie wściekła potrząsnęła głową i wstała.

– Wynoś się stąd – powiedziała.

Położyłem na biurku przyniesioną dyskietkę.

– S...sądzę, że n...nie pow...winna mnie pani w...wy...rzucić – jękając się rzuciłem przez zaciśnięte zęby. Sprzeczne emocje, które mną teraz miotają, pomagały mi w tym spektaklu. – Zgromadziłem dużo dowodów, mam zapisy... ostatnich chwil pana Thierry’ego. Spojrzała najpierw na mnie, a potem na dyskietkę. Usiadła ponownie, jakby odebrało jej mowę.

– Mogę pani przestawić dowody w bardzo krótkim czasie – powiedziałem i bez zwłoki przystąpiłem do rozwijania przed nią swojego zestawu dokumentów. Zacząłem od procesu pracownika Świątyni, Fredericka Jonesa przeciwko Logologom, potem przeszedłem do trzech nie zidentyfikowanych członków przetransportowanej na Księżyc społeczności zmarłych i do naszego sukcesu w odtwarzaniu i translacji ich ostatnich wspomnień. Fakty i wspomnienia mieszały się zapewne teraz w głowie Fiony, miotając się we wnętrzu jej czaszki, ale z twarzy przewodniczącej nie mogłem wyczytać nic oprócz ściśle kontrolowanej

furii.

– Nie dysponuje pan żadnym pewnym dowodem, panie Sandoval – powiedziała, gdy skończyłem.

Wtedy odtworzyłem jej taśmę ze wspomnieniami z końcowych lat życia Thierry’ego, a wreszcie zapis jego ostatnich chwil; nie tylko dźwięki z krótkotrwałej pamięci, lecz także wspomnienia wizualne, które zostały dość chaotycznie zreprodukowane i przetłumaczone przez Rho na żądanie Thomasa. Twarze, na początku dziwnie niepodobne do ludzkich, a potem dopasowujące się do pamięciowego wzorca rozpoznawalne; wspomnienia jeszcze nie przefiltrowane przez interpretatory indywidualnego ludzkiego umysłu, zadziwiająco szorstkie z powodu swej surowej bezpośredniości. Biuro, w którym umarł, jego tłuste dłonie na blacie stołu, mruganie powiek i przenoszenie wzroku z jednego punktu otoczenia na inny, tak szybkie, że trudno za nim nadążyć. Wreszcie zanikanie obrazu i jego całkowite wygaśnięcie – koniec zapisu.

Przewodnicząca spojrzała na dyskietkę, unosząc brwi i kurczowo zaciskając ręce na krawędzi blatu biurka.

Pochyliłem się, by zabrać dyskietkę. Jednak to Fiona ją schwyciła, przez chwilę trzymała w drżących dłoniach, by nagle cisnąć nią przez całą długość biura. Dyskietka uderzyła o ścianę ze sproszkowanej skały, po czym spadła na metaboliczny, pochłaniający odpadki dywan.

– To nie mistyfikacja – powiedziałem. – My także byliśmy zaszokowani.

– Wynoś się – powiedziała cicho. – Do jasnej cholery, wynoś się stąd natychmiast!

Odwrociłem się, by wyjść z pokoju, lecz zanim zdołałem dotrzeć do drzwi, Fiona zaczęła płakać. Ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona opadły bezsilnie. Zrobiłem krok w tamtą stronę, by jakoś ją pocieszyć, powiedzieć, że jest mi przykro, ale w odpowiedzi na ten

gest wrzasnęła histerycznie, bym się wynosił. Wówczas opuściłem jej biuro.

– Jak zareagowała? – spytał Thomas.

Znajdowałem się w jego prywatnej kwaterze w Kosmoporcie, jednak myślą przebywałem miliony mil stąd, rozważając swoje grzechy; dotychczas nigdy nie przypuszczałem, że mogę czuć się winny z ich powodu. Thomas podał mi szklankę ziemskiej madery, którą gładko przełknąłem; rozejrzałem się po kostkach informacyjnych wypełniających ściany pokoju mojego zwierzchnika.

– Nie wierzyła mi – odparłem.

– A potem?

– Przekonałem ją, odtwarzając taśmę.

– I co?

Wciąż nie mogłem spojrzeć mu w oczy.

– A zatem...? – dopytywał się.

– Płakała... zaczęła płakać.

Thomas uśmiechnął się.

– To dobrze. A potem?

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem i dezaprobatą.

– Thomas, ona nie udawała. Była naprawdę zdruzgotana.

– W porządku. Co zrobiła później?

– Wyprosiła mnie z biura.

– Nie umawiała się na następne spotkanie?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Mike, wygląda na to, że naprawdę udało ci się wybić otwór w jej pancerzu.

– Rzeczywiście, udało mi się – powiedziałem z powagą.

– To dobrze – skonstatował Thomas. – Sądzę, że mamy dodatkowy czas, który jest nam tak potrzebny. Wróć teraz do domu, Mike i odpocznij. Tym, co zrobiłeś, po stokroć naprawiłeś swoje dotychczasowe błędy.

– Thomas, czuję się teraz jak gównno.

– No cóż... jesteś, jeśli można tak rzec, czcigodnym gównem, robiącym innym jedynie to, co oni wcześniej zrobili tobie – odparł Thomas. Chciał podać mi rękę, ale nie uściśniłem jego dłoni. – To twoja Rodzina – przypomniał, patrząc na mnie kamiennym wzrokiem.

Ja jednak nie mogłem zapomnieć łez Fiony, bolesnego, szarpiącego nerwy gniewu, graniczącej z przerażeniem konsternacji, a także jej świadomości, iż została zdradzona.

– Jeszcze raz dziękuję ci, Mike – powiedział Thomas.

– Proszę, żebyś odtąd zwracał się do mnie: Michał – odparłem wychodząc.

Osamotnieniu pośród ludzi towarzyszy zawsze osamotnienie wewnętrzne; to prawo odnosi się do każdej warstwy społecznej, a także do pojedynczych ludzi. Wyrządzenie krzywdy swoim bliźnim, nawet wrogom, powoduje w człowieku także wewnętrzne spustoszenia, niszczy jakiś ważny element poczucia godności i pozytywnego obrazu własnej osoby. Tak właśnie, tylko w jeszcze większym nasileniu, musi być w prawdziwej wojnie – myślałem. Zabijając swoich wrogów, człowiek zabija stopniowo również swoje dawne “ja”. Jeśli w jego duszy znajduje się przestrzeń do ponownego samorozwoju, dokonuje się on, a człowiek staje się bardziej dojrzały, choć obarczony brzemieniem smutku. Jeśli tej przestrzeni nie ma, musi umrzeć lub oszaleć.

Samotny w swoim wyschłym wodnym zbiorniku, otoczony bogactwem wszystkich dostępnych na Księżycu przyjemności tego świata, duchowo zaś pogrążony w stanie całkowitej niedoli i nędzy, odgrywałem swój własny, bezgłośny Szekspirowski dialog z samym sobą. Trzymałem stronę wszystkich swoich “ja”, na które się podzieliłem; bez

przerwy gromadziły się one w mojej głowie, by prowadzić nie kończące się dyskusje i spory.

Czułem się źle z powodu irytacji na Thomasa, której wciąż nie mogłem zwalczyć.

Mimo to moje odczucie gniewu wydawało się nieuniknione; dotknęło mnie to, że zostałem przez Thomasa zamieniony w broń przeciwko Logologom i zadziałałem skutecznie, dokładnie tak, jak zamierzał. Zobaczyłem na własne oczy, że Fiona Task-Felder nie jest potworem bez serca; była po prostu członkiem pełniącym swoją rolę najlepiej, jak potrafiła, i to nie dlatego, by wywyżżyć siebie, lecz by rzetelnie wypełniać polecenia zwierzchników.

Zastanawiałem się nad tym, jakie wrażenie wywrą nasze informacje na jej przełożonych, kierujących politycznymi świeckimi agendami Świątyni Logologów.

Jeśli Thomas ujawnił te informacje opinii publicznej Trójni, jakie wrażenie wywrą one na milionach wierzących Logologów?

Logologia nie była niczym innym niż obłędem pojedynczego człowieka, rozrośniętym za sprawą przypadku i praw socjologicznych w wielką instytucję, zdolną nie tylko do przetrwania, ale rozwijającą się w czasie. Mogliśmy wydobyć doświadczenia, wspomnienia człowieka, który być źródłem tego obłędu. Moglibyśmy z czasem otworzyć oczy wiernych Świątyni, być może nawet zniszczyć ją całą.

Żadna z tych ewentualności nie sprawiła mi najmniejszej satysfakcji.

Tęskniłem za stanem niezbrukania, którego doświadczyłem jeszcze trzy miesiące temu, nawet nie będąc tego świadom.

Dziesięć godzin po powrocie do Kosmoportu Jin opuściłem swój wysuszony zbiornik wodny, by przekroczyć białą linię, oznaczającą wejście do laboratoriów Williama.

Udało nam się kupić dodatkowy czas i właśnie z niego korzystaliśmy; księżycowe odgałęzienie Logologów – Mnogość Task-Felderów – trwała w całkowitym milczeniu. W księżycowych sieciach informacyjnych nie dało się słyszeć nawet najmniejszego pomruku

niezadowolenia ze strony sił reprezentujących Ziemię.

Okazało się, że William jest w nastroju wręcz triumfalnym.

– Minęliście się z Rho – powiedział, gdy wszedłem. – Ale i tak zjawi się tu znów najdalej za godzinę. Mike, wreszcie mam to, czego chciałem. Jutro przeprowadzam eksperyment. Wszystkie próbki są już stabilne...

– Czy odkryłeś źródło twoich ostatnich kłopotów?

William zacisnął wargi, zupełnie jakbym wspomniał właśnie o czymś podejrzanym i nieczystym.

– Nie – odparł. – Teraz wolałbym o tym zapomnieć. Nie jestem w stanie powtórzyć tego efektu, a Kwantowy Logik w tym wypadku nie może mi pomóc.

– Strzeż się tych upiorów – stwierdziłem zjadliwie. – One jeszcze powrócą.

– Oboje z Rho jesteście ostatnio nad wyraz pogodni – zrewanżował się William. –

Zachowujecie się tak, jakbyśmy wszyscy tu oczekiwali na Sąd Ostateczny. Czyżby Thomas zmusił cię do skrytobójstwa?

– Nie w sensie dosłownym – odparłem.

– Cóż, spróbuję dodać ci otuchy; chciałbym, żebyście oboje z Rho pomogli mi jutro.

– Co mielibyśmy robić? – spytałem.

– Przy tym doświadczeniu będzie potrzebna więcej niż jedna para rąk, a także oficjalni świadkowie. Profesjonalni dokumentaliści nie są pod tym względem satysfakcjonujący; podejrzewam, że żywe, ludzkie świadectwo pomoże mi otrzymać bezzwrotną pomoc finansową, zwłaszcza jeśli ty i Rho przekazecie swoje spostrzeżenia dyspozytorom środków pieniężnych.

Staniemy się postaciami zbyt kontrowersyjnymi, by wycisnąć forszę od jakiegokolwiek finansisty, pomyślałem. – Zamierzasz handlować zerem absolutnym? – spytałem na głos.

– Będziemy handlować czymś nowym i niezwykle rzadkim – odparł William. –

Jeszcze nigdy dotąd w historii Wszechświata materia nie została schłodzona i doprowadzona do temperatury zera stopni Kelvina. Mike, ta wiadomość rozniesie się po wszystkich sieciach informacyjnych Trójni. Jeśli wolno posłużyć się metaforą, pomoże to także schłodzić atmosferę wokół Mnogości Sandoval. Ale przecież nie muszę ci tego tłumaczyć, bo doskonale o tym wiesz; dlaczego jesteś takim pesymistą?

– Przyjmij moje przeprosiny, William – odparłem.

– Z wyrazu twojej twarzy można by wysnuć wniosek, że już przegraliśmy.

– Nie. Możemy jeszcze wygrać.

– A zatem rozchmurz się trochę, choćby dlatego, żebym mógł trochę odetchnąć od totalnego ponuractwa.

Powiedziawszy to, William powrócił do pracy, ja zaś poszedłem na most górujący nad otchłanią Lodowej Komory, by stanąć pomiędzy Pompami Chaosu i ukarać swe ciało uczuciem przemieszczania się jego najdrobniejszych komórek pod wpływem zewnętrznej siły, uczuciem, które można porównać chyba tylko z odgłosem przesuwanego po szkle paznokcia.

O osiemnastej godzinie księżycowej dołączyliśmy wraz z Rho do Williama pracującego w Lodowej Komorze. Mój szwagier wyznaczył Rho do monitorowania Pomp Chaosu, których aktywność wyśrubował do maksimum. Ja obserwowałem chłodnie. Nie wyglądało na to, by istniała jakakolwiek praktyczna potrzeba naszego przebywania tutaj. Wkrótce stało się oczywiste, że zostaliśmy zaproszeni przez Williama bardziej w celu dotrzymania mu towarzystwa, niż pomocy lub odgrywania roli świadków.

William na zewnątrz wydawał się spokojny, wewnątrz zaś był bardzo zdenerwowany. Przejawiało się to w okazjonalnych i dość umiarkowanych wybuchach

urazonej miłości własnej, które starał się bardzo szybko tuszować, przepraszając za nie. Nie zamierzałem stawiać czoła jego obsesjom, jednak w jakiś sposób powodowały one korzystne odwrócenie mojej uwagi od wydarzeń na zewnątrz Lodowej Komory.

Stanowiliśmy dość dziwny zespół. Rho sprawiała wrażenie nawet bardziej opanowanej niż William, tak jakby nie wpływały na nią przykre odczucia związane z pracą Pomp Chaosu; ja stawałem się coraz bardziej oszołomiony zupełnie nie uzasadnionym poczuciem ulgi z powodu odseparowania od innych naszych kłopotów; William przeprowadzał obchód wszystkich urządzeń, kończąc go na pięknie wypolerowanej Jamie, zawierającej komórki z próbkami miedzi zawieszane na antygravitacyjnych pochłaniaczach zaraz pod lewym odgałęzieniem mostu.

Wysoko ponad nami, ledwo widoczne w rozproszonym świetle pochodzącym z laboratorium i mostu, jakby wisiało w przestrzeni ciemnoszare sklepienie pustki stworzonej przez wybuch wulkanu, dodatkowo zabezpieczone siatką przed skalnym rumoszem.

O godzinie dziewięcsetnej spokój Williama pękł jak bańka mydlana, gdy Kwantowy Logik ogłosił, że faza lambda ponownie się odwróciła, a w celach panują warunki fizyczne, których nie jest w stanie zinterpretować.

– Czy warunki są takie same, jak poprzednim razem? – spytał William, bębniąc palcami obu dłoni w górną powierzchnię sztucznego mózgu.

– Odczyty z cel i pochłanianie przez nie energii są takie same jak wtedy – odparł Logik. Rho zauważyła, że urządzenia kontrolne Pomp Chaosu ujawniają chaotyczne fluktuacje efektywności ich wysysania z cel.

– Czy to zdarzyło się już wcześniej? – spytała.

– Nigdy dotychczas nie eksploatowałem Pomp w takim stopniu jak teraz. Nie, to nigdy się jeszcze nie zdarzyło – wyjaśnił William. – Kwantowy Logiku, co stałoby się z



naszymi celami, gdybyśmy teraz po prostu wyłączyli dopływ energii stabilizującej?

– Nie jestem w stanie nic zasugerować – odparł mózg. Stanowczo odmówił też odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania sformułowane w podobny sposób, co zirytowało Williama.

– Powiedziałeś wcześniej coś o możliwości wpływu jakichś przyszłych wydarzeń w celach na teraźniejszość – przypomniałem. – Co miałeś na myśli?

– Nie mogłem wtedy i wciąż nie mogę wymyślić żadnego innego wyjaśnienia – stwierdził William. – Kwantowy Logik nie jest w stanie potwierdzić ani zaprzeczyć istnienia tej możliwości.

– Dobrze, ale co naprawdę miałeś na myśli? Jak coś takiego mogłoby się stać?

– Jeśli w celach doszło do powstania jakiegoś nie zbadanego dotychczas stanu materii, być może mamy do czynienia z czymś w rodzaju czasowego “śladu wodnego” tego wydarzenia, z oddziaływaniem, które wpływa na przeszłość będącą naszą teraźniejszością.

– Brzmi to nieco zbyt abstrakcyjnie – skomentowała Rho.

– To więcej niż abstrakcyjna historia, to intelektualna deska ratunku – stwierdził William. – Mimo to bez niej byłbym już całkiem zagubiony.

– Czy sprawdziłeś korelację czasową pomiędzy tymi zmianami?

– Taak... – odparł William, wzdychając niecierpliwie.

– W porządku. Zatem spróbuj zmienić ustalony przez siebie moment osiągnięcia zera absolutnego.

William spojrzał na swoją żonę, stojącą w drugim końcu laboratorium. Uniósł brwi i otworzył usta, co nadało jego podłużnej twarzy nieodparcie małpi wyraz.

– Coo? – spytał.

– Zmień parametry w swoich urządzeniach. Ustaw moment osiągnięcia zera nieco

wcześniej lub później, a potem już tego nie zmieniaj.

William zaprezentował swój najbardziej sardoniczny, pełen politowania uśmiech.

– Rho, kochanie, wygląda na to, że jesteś jeszcze bardziej szalona niż ja.

– Spróbuj to zrobić – odparła Rho spokojnie.

William zaklął, ale zrobił to, co sugerowała moja siostra: ustawił parametry urządzeń na osiągnięcie zera absolutnego pięć minut później, niż zaplanowano uprzednio.

W tym samym momencie odwrócenie fazy lambda skończyło się. Po upływie pięciu minut zaczęło się znowu.

– Jezu Chryste – wyszeptał William. – Nie odważyłbym się teraz ruszyć tego ponownie.

– Lepiej tego nie rób – stwierdziła Rho z uśmiechem. – Czy w wypadku poprzedniego incydentu było podobnie? Czy zdarzały się przerwy w odwróceniu fazy lambda?

– Nie, tamten incydent miał charakter ciągły, bez zmian w trakcie jego trwania.

– No widzisz. Najwyraźniej twój eksperyment skończy się sukcesem, a to jest cofnięty w czasie skutek tego sukcesu – oczywiście, jeśli coś takiego jest możliwe w logice kwantowej.

– Kwantowy Logiku? – William przekazał problem sztuczemu mózgowi.

– Wypadki inwersji czasowej są możliwe jedynie wtedy, gdy nie dochodzi do przekazania żadnej informacji pod prąd czasu – stwierdził Logik. – Ty zaś domagasz się uzyskania potwierdzenia sukcesu eksperymentu.

– Ale jakiego rodzaju miałby to być sukces? – wyraził wątpliwość mój szwagier. –

Ten przekaz z przyszłości jest kompletnie niejasny... Nie wiemy, co konkretnie spowoduje nasz eksperyment, by wywołać w przeszłości te warunki, z którymi mamy do czynienia.

– Te cholerne Pompy przez cały czas pracują, co powoduje, że jestem skołowany i nie

mogę jasno myśleć – skonstatowałem.

– Teraz są skierowane całkowicie na cele z próbkami; zobaczysz, co będzie później – ostrzegł William, który najwyraźniej cieszył się z powodu mojego złego samopoczucia.

Odsłonił zęby w sardonicznym uśmiechu, po czym zabrał się za ostatnie przygotowania do najważniejszej fazy eksperymentu. Pytał na głos o wszystkie liczby i parametry na urządzeniach kontrolnych, co było w tej chwili zupełnie niepotrzebne. Odpowiadaliśmy mu wyłącznie po to, by podtrzymać ducha. Od tej chwili eksperyment odbywał się całkowicie automatycznie, wyłącznie pod kontrolą Kwantowego Logika.

– Sądzę, że odwrotna faza skończy się za parę minut – stwierdził William, stając w pobliżu błyszczącej powierzchni Jamy. – Można to nazwać “kwantowym kuksańcem”.

Rzeczywiście, po kilku minutach Kwantowy Logik zakomunikował, że odwrócenie skończyło się. William skinął głową z osobliwą satysfakcją, zupełnie jakby posiadał wyższy stopień wtajemniczenia.

– Nie jesteśmy naukowcami, Mike – powiedział wesoło. – Jesteśmy magikami. Boże, dopomóż nam.

Zegary kontrolne urządzeń kontynuowały w ciszy odliczanie. William poszedł wzdłuż mostu, by dokonać ostatecznego podregulowania prawej Pompy za pomocą niewielkiego sześciokątnego klucza.

– Trzymajcie kciuki – powiedział.

– Czy to już? – spytała Rho.

– W ciągu najbliższych dwudziestu sekund dostroję Pompy do celu, potem wyłączę pola magnetyczne...

– Cóż, życzę nam szczęścia – powiedziała Rho. William na chwilę odwrócił się od

niej, a potem rozłożył ramiona, wziął moją siostrę w objęcia i uściśnął czule. Z jego twarzy

bił entuzjazm; wydawał się rozradowany jak dziecko.

Zacisnąłem zęby, kiedy dostroił Pompy do cel. Wrażenie związane z ich działaniem potroiło się; moje długie kości stały się teraz niczym flety, na których urządzenia Williama odgrywały ostrą, niemelodyjną nutę z obcego nam świata kwantów. Rho z jękiem przymknęła oczy.

– To okropne – powiedziała. – Powoduje, że mam ochotę narobić w spodnie.

– To najśłodsza muzyka – zaprzeczył William potrząsając głową, jakby chciał pozbyć się jakiejś natrętej muchy. – Oto nadchodzi... – Uniesionym palcem odmierzał teraz sekundy do osiągnięcia zera. – Pole wyłączone.

W powietrzu ponad główną konsolę kontrolną laboratorium rozbłysło niewielkie zielone światełko. Był to sygnał Kwantowego Logika.

– Odwrócenie nieznannej fazy. Odwrócenie fazy lambda – oznajmił Logik.

– Niech to wszyscy diabli! – wrzasnął William i tupnął nogą.

Równocześnie z jego okrzykiem wysoko, ponad sklepieniem jaskini rozległ się dźwięk czterech dodatkowych tupnięć, zupełnie jakby jacyś gigantyczni sąsiedzi mieszkający piętro wyżej zaczęli skakać po podłodze łatwo wpadającej w rezonans. William zatrzymał swoją lewą stopę w powietrzu, zaskoczony tym, co wydawało się zwielokrotnionym echem jego gniewu. Lęk, który malował się na jego twarzy, zmienił się w coś w rodzaju radosnego wyczekiwania: – Tak, na Boga, co jeszcze może się zdarzyć?

Osobista tabliczka Rho wysokim głosem poprosiła o uwagę. Moja własna dała o sobie znać dzwonieniem; tabliczka Williama nie odezwała się z tej prostej przyczyny, że mój szwagier nie nosił jej przy sobie.

– Doszło do sytuacji awaryjnej – oznajmiły równocześnie obie nasze tabliczki. – W tej chwili zostały połączone awaryjne źródła zasilania.

Światła stały się przyćmione, wszystkie lampki i sygnały alarmowe w całym laboratorium wyłączyły się.

– Nastąpiła eksplozja w generatorach dostarczających energię do stacji – zakomunikowały tabliczki.

Rho spojrzała na mnie rozszerzonymi z przerażenie oczyma, przygryzając nerwowo wargi.

Mechaniczne, spokojne głosy tabliczek oznajmiły równocześnie: – Stwierdzono zniszczenia urządzeń ponad jaskinią Lodowej Komory, w tym promienników ciepłych.

Ta informacja dotarła z automatycznych punktów wartowniczych rozmieszczonych wokół stacji. Każda tabliczka informacyjna w Lodowej Komorze, a także awaryjne głośniki we wszystkich obszarach hodowli i korytarzach będą od tej pory powtarzać ten komunikat.

Nagle jakiś ludzki głos przerwał jego nadawanie. Prawdopodobnie należał do dyżurnego obserwatora stacji; w celu kontroli automatycznego systemu wartowniczego, wyznaczano zawsze człowieka nadzorującego maszyny.

– William, czy wszystko z tobą w porządku? Czy tam jest jeszcze ktoś oprócz ciebie?

– Mike i ja jesteśmy tu z Williamem. Czujemy się dobrze – odpowiedziała Rozalinda.

– Prom kosmiczny zrzucił bomby w rowy na powierzchni. Williamie, oni zniszczyli twoje promienniki ciepłe; również wszystkie generatory mocy. Tymczasem twoja komora pobiera znacznie więcej energii niż zwykle; byłem tym zdenerwowany, ponieważ...

– To nie powinno się zdarzyć – odparł William.

– William ma na myśli to, że Komora nie powinna pobierać więcej energii niż zwykle

– poinformowała Rho anonimowego obserwatora dyżurnego.

– ...ale pobiera – dokończył William, spoglądając na tablice kontrolne swoich instrumentów.

– Odwrócenie fazy lambda we wszystkich celach – oznajmił Kwantowy Logik.

– ...ludzie, wam się może coś stać – kontynuował obserwator dyżurny, którego głos nałożył się na relacje Logika.

– U nas wszystko w porządku – stwierdziłem.

– Lepiej wyjdźcie stamtąd. W tej chwili nie sposób dowiedzieć się, w jakim stopniu zniszczona została sama jaskinia, czy...

– Idziemy – oznajmiłem, spoglądając w górę.

Odpryski skał i ziarna pyłu opadały na sieć ponad naszymi głowami, powodując, że zaczęła poruszać się, sprężynując w dół i w górę niczym odwrócony do góry nogami kielich meduzy.

– Zakończenie odwrócenia fazy lambda we wszystkich celach – zakomunikował Kwantowy Logik.

– Poczekajcie... – wtrącił się William.

Stałem na moście pomiędzy Jamą a Pompami Chaosu. Chłodnie wisały nieruchomo w swoim skomplikowanych uprzężach. Rho znajdowała się w drzwiach laboratorium.

William stał w pobliżu Jamy.

– Zero osiągnięte – oznajmił sztuczny mózg.

Rho spojrzała na mnie. Zacząłem coś mówić, ale głos uwiązł mi w gardle. Wszystkie światła wokół przybladły.

– Nadszedł czas, by się ewakuować – jakby z wielkiej odległości odezwały się obie nasze tabliczki.

Odwróciłem się w stronę wyjścia, po czym zrobiłem krok pomiędzy Pompy Chaosu i tym uratowałem sobie życie. W każdym razie wyłącznie dlatego jestem tu i teraz w swoim obecnym, całkiem niezłym stanie fizycznym.

Oslony Pomp rozbłysły zielono i zniknęły, odsłaniając przypominające spaghetti unerwienie z przewodów i kabli, a także przedmioty o kształcie jajek, z których składały się te urządzenia. Moje oczy porażał intensywny zielony blask, który wydawał się odbijać kleistymi falami od ścian jaskini. Rozważałem możliwość, że coś spadło mi na głowę, powodując, że widziałem te zjawiska, jednak nie czułem żadnego bólu, jedynie uczucie wielkiego napięcia, ogarniające mnie od stóp do głów. Patrząc teraz wzdłuż pomostu w kierunku wejścia do Lodowej Komory nie mogłem dojrzeć ani Rho, ani Williama. Nie słyszałem ich także. Gdy spróbowałem odwrócić się w drugą stronę, poczułem się tak, jakby poszczególne części mojego ciała oddzielały się od siebie, a potem ponownie łączyły ze sobą.

Wszystko, co mogłem teraz zrobić, to skoncentrować się na jednej z moich dłoni, ściskając kurczowo barierkę pomostu. Dłoń jakby wydzielała z siebie ciemne wstążki, które, zwijając się, opadały w kierunku powierzchni pomostu. Mrugnąłem powiekami i poczułem, że one również oddzielają się ode mnie, a potem łączą z resztą ciała wraz z każdym uniesieniem i opadnięciem. Lęk głębszy niż myśl zmusił mnie do powstrzymania się od jakichkolwiek ruchów, do chwili gdy przemieszczanie się krwi w żyłach i uderzenia serca stały się jedynymi poruszeniami i groziły rozsadzeniem mnie od wewnątrz.

W pewnej chwili poczułem, że nie mogę już dłużej tego wytrzymać. Zacząłem odwracać się powoli, zmierzając w stronę coraz głębszej ciszy, w której jedynymi dźwiękami były szuranie moich butów przesuwających się po pomoście oraz przypominający syk węża odgłos ciągłego rozpadu i ponownego łączenia się części mego ciała podczas kolejnych obrotów.

Proszę, byście od tej chwili nie traktowali mej spowiedzi tak, jakby kryła się w niej jakakolwiek prawda obiektywna. Cokolwiek zdarzyło się w Lodowej Komorze, wpłynęło na moje zmysły, jeśli nie na mój umysł, w sposób, który wyklucza wszelką obiektywność.

Zobaczyłem, że kula, którą była Jama, rozszczepia się niczym skorupka jajka.

Zobaczyłem też Rho stojącą pomiędzy Jamą a laboratorium, doskonale nieruchomą, skierowaną lekko w lewo, jakby została przez coś schwytna w półobrocie; nie wyglądała całkiem realnie. Światło, które odbijało się od jej ciała, nie było znajome, nie całkiem dostrzegalne, prawdopodobnie dlatego, że to światło ulegało zmianie. Może też jakoś zmieniły się moje oczy – trudno to rozstrzygnąć. W dodatku docierał do mnie z jej ciała – “promieniował” nie jest dobrym słowem, ponieważ jego znaczenie jest złudne, ale nie potrafię wymyślić lepszego – jakiś rodzaj udzielania się jej obecności, którego nie doświadczyłem nigdy przedtem, zupełnie jakby zrzucała poszczególne warstwy skóry; wydawało mi się, że proces ten zmniejszał ją w czasie, gdy ja na to patrzyłem. Myślę teraz, że działo się tak dlatego, iż informacja, którą zawierało ciało Rozalindy, ulatniała się przez nowy, nie istniejący dotychczas w naszym Wszechświecie rodzaj przestrzeni: przestrzeń skryzalizowaną, będącą superprzeźroczystością informacji. Pozbywając się niejako własnej substancji, Rho stawała się coraz mniej materialna, coraz mniej realna. Rozpuszczała się niczym kawałek cukru w szklance ciepłej wody.

Próbowałem wykrzyknąć jej imię, ale nie byłem w stanie wydać żadnego dźwięku.

Czułem się jak schwytny w pełną jadu żelatynę, która atakowała moje ciało, gdy tylko próbowałem się poruszyć. Jednak nie dostrzegałem, by moje ciało rozpuszczało się, tak jak to się działo z Rho. Wydawałem się uodporniony przynajmniej na to niebezpieczeństwo.

William stał za moją siostrą; kontur jego ciała był widoczny coraz wyraźniej, w miarę jak Rho niknęła. Znajdował się dalej od Jamy; niszczący mechanizm, jakakolwiek była jego natura, nie oddziaływał na niego tak silnie. Jednak i on zaczął tracić esencję, tę ukrytą, tajemną muzykę, którą łączy poziom kwantowy i lokalizację każdej cząsteczki naszego ciała z innymi cząsteczkami, która podtrzymuje nasz kształt i formę, w jakiej aktualnie jesteśmy,



przenosząc ją niejako od jednego do następnego momentu czasowego continuum. Myślę, że próbował poruszyć się, wrócić do laboratorium, ale osiągał jedynie to, iż jeszcze gwałtowniej tracił własną esencję; wówczas zatrzymał się, próbując zamiast tego dosięgnąć Rho; wyraz jego twarzy świadczył o całkowitej determinacji, nasuwającej skojarzenie z dzieckiem, bez lęku stawiającym czoło tygrysowi.

Jego dłoń przeniknęło przez ciało Rho.

W tym momencie zobaczyłem coś jeszcze innego, co jakby ulatywało z sylwetki mojej siostry. Z góry przepraszam za próbę opisanie tego; nie chodzi mi o to, by szerzyć w ten sposób jakąś złudną nadzieję, by dowartościowywać jakiegokolwiek mistyczne interpretacje naszej egzystencji, ponieważ, jak już mówiłem, to, co widziałem mogło być jedynie skutkiem mojej halucynacji, a nie żadnym obiektywnym bytem.

Zobaczyłem jednak dwie, a potem trzy wersje mojej siostry, stojące wspólnie na pomoście; trzecia z nich przypominała chmurę, utrzymującą swój nieregularny kształt; chmura ta zdołała przemieścić się w moją stronę i dotknąć mnie swą wyciągniętą odnogą. Czy wszystko z tobą w porządku, Mike? – usłyszałem, jeśli nie na własne uszy, to wewnątrz mojego mózgu. – Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, proszę. Wyglądasz tak, jakbyś... Nagle zobaczyłem siebie z jej punktu widzenia, jakby od strony jej doświadczenia, wytrawionego z jej mózgu i ciała, przechodzącego teraz we mnie niczym smak jej jaźni rozpuszczającej się w superprzełożniku informacji.

Chmura przeniknęła przeze mnie, niesiona jakąś tajemniczą inercją o nieznanym zasadzie poprzez barierkę pomostu ponad pustką jaskini, gdzie zaczęła opadać w dół niczym rozumny deszcz. Czy również moim przeznaczeniem było całkowite zniknięcie? Pozostałe obrazy Rho i Williama stały się teraz jedynie plamami na tle laboratorium, które także zaczęło jakby parować, tracąc płynne nici własnej substancjalności.

Dziwne, że teraz Jama, zawierająca próbki miedzi – wywnioskowałem, iż to one były przyczyną tego wszystkiego, a właściwie ich nowy stan, który ogłosił Kwantowy Logik, stan zera stopni Kelvina – wydawała się bardziej stała i stabilna niż cokolwiek innego, nie licząc oczywiście wyraźnych szczelin na powierzchni osłaniającej ją kuli.

Z powodu mojego położenia pomiędzy Pompami Chaosu – powtarzam, iż jest to tylko moja spekulacja – wydawało się, iż podlegałem powszechnemu rozpadowi tylko w takim stopniu, w jakim było to nieuniknione, podczas gdy wszystko wokół mnie stawało się coraz mniej materialne, mniej realne.

Pomost załamał się. Już wcześniej rozciągał się pod moim ciężarem, zupełnie jakbym stał na warstwie gumy. Musiałem wykonać gimnastyczną ewolucję, chwytając barierkę obydwoma dłońmi. Jednak nawet to nie powstrzymało mojego pogrążania się. Opadałem w kierunku znajdującej się przede mną przechowalni głów. Próbowałem wspiąć się ku górze, ale stopy nie odnalazły punktu oparcia.

Opadanie trwało aż do chwili, gdy pomost i moje nogi w jakiś sposób przeniknęły przez sufit dolnego pomieszczenia. Ostry, świdrujący ból przeszył mi nogi, zupełnie jakby ktoś wbił w nie ostrą dzidę, docierając do bioder. Spojrzawszy w górę w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu dla rąk, jakiegoś sposobu, by powstrzymać upadek, ujrzałem laboratorium wirujące swobodnie wokół centralnego punktu jaskini, wydzielające z siebie mgliste opary. Rho i William stali się już zupełnie nie widoczni.

Odniosłem wrażenie, że otacza mnie głęboki chłód, ale odczucie to szybko przygasło.

Wokół w ciszy opadały chłodnie, przenikając przez pomieszczenie przechowalni i wznosząc wokół siebie powolne kaskady niebieskiego płynu, który wypełniał dno jaskini. Fale tego “płynu” przelały się nade mną.

Zrelacjonuję teraz resztę moich wrażeń, choć wiem doskonale, że nie mogą one być

niczym innym niż rodzajem delirium, spowodowanego przez niezwykle warunki, w których znalazł się mój mózg.

Zastanawiam się, jak to się dzieje, że instynkt może nas ostrzegać przed sytuacjami, z którymi żadna ludzka istota nie miała dotychczas do czynienia. Czułem coś w rodzaju pełnego lęku obrzydzenia, będącego reakcją na ową falę nieznanego niebieskiego płynu; odrazę tak silną, że moje dłonie zmiażdżyły barierkę pomostu tak łatwo, jakby została wykonana z cieniutkiej aluminiowej rurki. Mimo to wiedziałem, iż ów płyn nie jest skroplonym gazem z chłodni, ponieważ nie czułem lęku przed zamrożeniem.

Wyciągnąłem stopy z odrażającego bagna i zdołałem zaczepić jedną z nich o wspornik, unosząc się dzięki temu mniej więcej o metr w górę. Jednak nie znalazłem się poza wzburzonym jeziorem i niebieski płyn zaczął przesączać się do mojego wnętrza.

Zacząłem wypełniać się nie należącymi do mnie wrażeniami i wspomnieniami.

Były to wspomnienia zmarłych.

Koleje losu stu dziesięciu martwych głów, których wzorce intelektualne i treści pamięci wyciekały teraz poprzez przekształconą, skryształizowaną czasoprzestrzeń. Informacja w nich zawarta opadała w gęste jezioro, nie składające się z materii ani z niczego, co ktokolwiek kiedykolwiek zdołał doświadczyć lub zidentyfikować; była to jakby esencja jakiegoś chłodnego wywaru o nieznannej naturze.

Niektóre z kart ich dziejów noszę wciąż w swojej pamięci. Nie wiem, co lub kto jest źródłem tych wspomnień; wiem jedno: widzę rzeczy, słyszę głosy, pamiętam sceny, które wydarzyły się na Ziemi, a których w żaden sposób nie mogłem sam doświadczyć. Nigdy nie poszukiwałem weryfikacji tych wspomnień z tych samych powodów, dla których do tej chwili nie opowiadałem nikomu tej historii, ponieważ jestem niczym kielich pełen kroniki cudzych dziejów; ponieważ zmieniły one mnie samego, zastępując pewne fragmenty

własnych wspomnień, które straciłem w ciągu pierwszych kilku chwil działania Cisy na mój umysł; dlatego, że za żadną cenę nie chcę dopuścić do siebie tej myśli, jedynego oczywistego wytłumaczenia zaistniałych faktów.

Sądzę, że powinienem odtworzyć szczególnie jedno z tych wspomnień, najbardziej wstrząsające, nawet jeśli zweryfikowanie go nie jest możliwe. Jego źródłem musiał być sam Kimon Thierry. Wspomnienie to ma pewien szczególny posmak, który powoduje, iż przewyższa ono swą plastyczną realności przetłumaczone przez Rho głosy i wspomnienia wizualne, które odtwarzałem dla Fiony Task-Felder. Sądzę, że w owym przerażającym jeziorze, które mnie wówczas ogarnęło, przeniknęły we mnie ostatnie myśli Thierry'ego, wypełniające jego umysł w chwili śmierci. Nienawidzę tego wspomnienia; nienawidzę także Thierry'ego.

Czym innym jest przypuszczać, a nawet głęboko wierzyć, że w ludziach istnieje dwulicowość, zła wola i chciwość – że istnieje w nich zło – czym innym zaś wiedzieć to z całą pewnością. Jest to rodzaj wiedzy, z którym żadna ludzka istota nie chciałaby mieć do czynienia.

Ostatnie myśli Kimona Thierry'ego nie dotyczyły oczekującej go wspaniałej podróży, związanej z transformacją w jakąś wyższą istotę. Był przerażony perspektywą kary. W ostatnich chwilach przed pogrążeniem się w mrok niepamięci był świadomy tego, iż fałszował prawdę, wciągnął setki tysięcy ludzi w to kłamstwo, ograniczając przez to rozwój ich osobowości oraz wolność; bał się, że pójdzie do piekła, o którym uczono go w dzieciństwie podczas lekcji religii...

Obawiał się mistyfikacji, ale znajdującej się jakby na innym poziomie, kłamstwa stworzonego przez oszustów z przeszłości w celu ukarania ich przeciwników i uzasadnienia ich własnej, mało znaczącej egzystencji.

Wspomnienie to kończy się nagle, co, jak sędzę, związane jest ze śmiercią

Thierry'ego, zakończeniem wszystkich wspomnień zarejestrowanych przez jego mózg, a także wszelkich fizycznych procesów w jego ciele. Od tego momentu nie ma już we mnie żadnych wrażeń związanych z tą osobą.

Zacząłem wspinać się po wspornikach pomostu, odnajdując co pomniejsze stalowe belki bardziej oddalone od Jamy, przy której pierwotnie się znajdowały; mocniejsze, a mimo to z każdą chwilą tracące swoją spoistość i kształt. Gramoliłem się po nich niczym owad w bezmyślnym przerażeniu i w kompletnej ciszy. Udało mi się jakoś pokonać dwadzieścia metrów dzielących mnie od krawędzi przedsionka.

Od czasu bombardowania minęły najwyżej trzy minuty, naturalnie jeśli nasze określenia czasu miały jakikolwiek sens w odniesieniu do Lodowej Komory.

Grupa ratownicza odnalazła mnie czołgającego się w pobliżu namalowanej niegdyś przez Williama białej linii. Gdy próbowali przejść przez właz laboratorium, by ratować pozostałych, powiedziałem im, by tego nie robili; widzieli stan, w jakim się znajdowałem, nie musiałem więc im tego długo tłumaczyć.

Okazało się, że straciłem półcentymetrową warstwę skóry wokół całego ciała od szyi w dół i wszystkie włosy, zupełnie jakbym został spryskany płynnym, superchłodnym gazem.

Spędziłem dwa miesiące leżąc w sztucznie podtrzymywanym śnie w Szpitalu

Miejskim Kosmoportu Jin, pogrążony w leczniczym płynie. Komórki mojej skóry, mięśni i kości przemieszczały się pod kontrolą chirurgicznych mikronarzędzi, tkających jakby powierzchnie mojego ciała. Pod koniec czasu przeznaczzonego na leczenie obudziłem się wpatrzony we własne wnętrze – nie z powodu choćby cienia strachu, ponieważ straciłem wszelką wrażliwość emocjonalną – ale dlatego, iż czułem, że jestem wciąż w Lodowej Komorze, unosząc się w ohydny niebieskim jeziorze. Przesączałem się poprzez sferyczną

przestrzeń Komory Lodowej niczym woda przez wyschlą gąbkę, wolno i spokojnie rozpuszczając się w Ciszy.

Thomas zjawił się w moim szpitalnym pokoju, gdy już uświadamiałem sobie nieco jaśniej, kim jestem i gdzie się znajduję. Usiadł przy chroniącej mnie “kołysce” i uśmiechnął się niczym martwy człowiek o szklistych oczach i bladej skórze.

– Nie udało mi się zbytnio, Mike – powiedział.

– Nam też się zbytnio nie udało – potwierdziłem chrapliwym szeptem, najsilniejszym, na jaki mogłem się zdobyć. Czułem się tak, jakby moje ciało otaczały lodowe kostki. Wiszące nade mną czarne sklepienie wydawało się wysysać substancję mojego ciała i mózgu na zewnątrz, w otwartą przestrzeń.

– Tylko ty wydostałeś się stamtąd – powiedział Thomas. – William i Rho zginęli.

Przypuszczałem, że tak się stało. Mimo to potwierdzenie sprawiło mi ból.

Thomas spojrzał w dół, na moją “kołyskę” i powiódł gruzołowatą, bladą dłonią po krawędzi konstrukcji, na której była zawieszona.

– Wyzdrowiejesz całkiem, Mike. Powiedzie ci się lepiej niż mnie. Zrezygnowałem z funkcji dyrektora.

Wzrok Thomasa napotkał mój i na jego ustach pojawił się przelotny półuśmiech pełen autoironii.

– Sztuka polityki jest sztuką unikania katastrof, radzenia sobie z trudnymi sytuacjami dla dobra wszystkich, nawet naszych wrogów i to niezależnie od tego, czy zdają sobie z tego sprawę, co jest dla nich dobre. Czy nie tak, Mike?

– Tak – wychrypiałem.

– Mike, to, co poleciłem ci zrobić...

– Zrobiłem to – przerwałem mu.

Przyznał mi chociaż tyle, że wspaniałomyślnie potwierdził mój współudział w tym, co się zdarzyło. Nic poza tym.

– Wiadomość rozeszła się, Mike. Naprawdę udało nam się trafić ich w czuły punkt i to w większym stopniu, niż im się wydaje, ponieważ oni zranili też siebie samych.

– Kto zrzucił na nas bomby?

Potrząsnął głową przecząco.

– To nie ma znaczenia. Nie ma żadnych dowodów, nikt nie został aresztowany ani skazany.

– Czy nikt nie widział sprawców?

– Pierwsza bomba zniszczyła nasze stanowiska wartownicze położone najbliżej powierzchni. Nikt niczego nie zobaczył. Sądzymy, że to był prom przystosowany do lotów na małych wysokościach. Do czasu, gdy zdołaliśmy wysłać za nim grupę poszukiwawczą, musiał być już setki kilometrów od Lodowej Komory.

– Żadnych aresztowań... a co z przewodniczącą? Kto odpłaci jej pięknym za nadobne?

– Nie wiemy, czy to był jej rozkaz, Mike. Poza tym my dwaj naprawdę ją załatwiliśmy. Nie jest już przewodniczącą.

– Złożyła rezygnację?

Thomas znów zaprzeczył ruchem głowy.

– Cztery dni po bombardowaniu Fiona wyszła na zewnątrz przez służę powietrzną.

Nie założyła skafandra. – Potarł wierzch dłoni palcami drugiej. – Myślę, że ja jestem za to odpowiedzialny.

– Nie tylko ty – powiedziałem.

– W porządku – odparł. To było wszystko, co od niego usłyszałem. Zostawił mnie zatopionego w myślach. I znów, jak tyle razy przedtem, zacząłem powtarzać w duchu:

Williamowi i Rho nie udało się uciec.

Tylko ja pamiętam straszliwe jezioro.

Nie wiem, czy ci dwoje są martwi, czy po prostu rozpuścili się w Lodowej Komorze wypełnionej hiperprzestrzenią, czy też unoszą się w niepojętym jeziorze lub odbijają się niczym echo od położonych wyżej ścian jaskini. Nie wiem też, czy głowy są w jakimś stopniu mniej martwe, niż były przedtem.

Istniał jeszcze problem odpowiedzialności.

W swoim czasie przesłuchiowano mnie aż do granic wytrzymałości, wciąż nie przedstawiając nikomu żadnych oskarżeń. Podejrzenie, iż sprawcy bombardowania działali na rozkaz pochodzący z Ziemi, jeśli nie na rozkaz samej Fiony Task-Felder, nigdy nie zostało przedstawione jako formalny zarzut. Zjednoczone Mnogości pragnęły wrócić do normalnego życia, zapomnieć o odrażającej anomalii, która je przerwała.

Jednak Thomas miał rację. Historia tego, co się zdarzyło, zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, stając się legendą. Opowiadano o Thierry, który zgodził się dobrowolnie na własną dekapitację i zamrożenie, co było oczywistym odstępstwem od zasad ustanowionej przez niego wiary. Wywołało to gwałtowną niechęć jego zwolenników do powrotu ich mistrza z zaświatów pod jakąkolwiek postacią.

W ciągu kolejnych dziesięcioleci ta właśnie legenda uderzyła w Świątynię Logologów silniej, niż spowodowałyby to jakakolwiek sprawa sądowa, nawet zakończona wyrokiem skazującym. Bowiem żadna obiektywna prawda nie działa tak silnie jak legenda. Nawet mistrzowska polityka, ani wielka liczba kłamstw nie są w stanie przeciwstawić się legendzie.

Przed dwudziestoma laty Task-Felderowie przestali być Zjednoczoną Mnogością Logologów. Większość członków tej Mnogości głosowała za otwarciem jej dla nowych księżycowych osadników, niezależnie od ich wyznania; związki Task-Felderów z Ziemią



zostały przerwane.

W tym czasie ja całkowicie wyzdrowiałem, przybyło mi lat, trzymałem się, by wprowadzić księżycową politykę na właściwe tory, ożeniłem się i wsparłem rodzinę Sandoval, dodając jej nowych członków – swoje dzieci. Sądzę, że należycie wypełniłem obowiązki wobec swej Mnogości oraz Księżyca i nie mam powodów, by się wstydzić.

Obserwowałem jak zmienia się polityka i konstytucja Księżyca, osiągając taką formę, zgodnie z którą można żyć, to znaczy dla nikogo nie idealną, ale możliwą do zaakceptowania przez wszystkich, a przy tym wystarczająco silną, by wesprzeć nas w czasach kryzysu.

Aż do chwili sporządzenia niniejszego zapisu nigdy nikomu nie opowiadałem całej prawdy o tym, co wiem i czego sam doświadczyłem w tych strasznych czasach.

Być może wspomnienie o czasie, który spędziłem w Ciszy, jest wyłącznie moim wewnętrznym kłamstwem, moim dziwnym, prywatnym odwetem, który przyśnił mi się w chwilach niebezpieczeństwa i bólu.

Wciąż brakuje mi Rho i Williama. Gdy pisałem te słowa, tęskniłem za nimi tak silnie, że musiałem odkładać na bok swoją tabliczkę szyfrową i powracać do niej dopiero wtedy, gdy minął czas wypełniony smutkiem. Żal bowiem nie ma końca; może zostać jedynie otorbiony przez czas niczym obce ciało, zarodek perły w muszli skorupiaka.

Nikommu nie udało się powtórzyć sukcesu Williama, co doprowadziło mnie do przekonania, że gdyby nie bombardowanie, najprawdopodobniej jego eksperyment również zakończyłby się niepowodzeniem. Jakieś tajemnicze połączenie błyskotliwości Williama, powierzenie pieczy nad eksperymentem przewrotnemu Kwantowemu Logikowi, oraz niespodziewanej awarii urządzeń doprowadziło do tego “sukcesu”, jeśli rezultat eksperymentu można w ogóle tak określić.

Od czasu do czasu powracam do całkowicie już zablokowanego wejścia do Lodowej

Komory. Zanim zacząłem prowadzić ten zapis, udałem się tam, mijając stałe punkty wartownicze, a także pojedynczego strażnika człowieka: młodą dziewczynę, która urodziła się już po opisanych przeze mnie wydarzeniach. Jako dyrektor Mnogości Sandoval, a równocześnie uczestnik tych wydarzeń, mam zezwolenie na swobodny wstęp do przedsionka jaskini.

Teren za białą linią wypełniony jest zepsutym i porzuconym sprzętem, który pozostał po dziesiątkach podejmowanych bezowocnych badań. Przybyłem tam, by się modlić, pograć w swej prywatnej zdradzie racjonalizmu, by żywić irracjonalną nadzieję, iż moje słowa są w stanie dotrzeć do przetransformowanej mieszaniny materii i informacji znajdującej się poniżej.

Przybyłem tam, próbując rozgrzeszyć się z poczucia, iż zawiniłem wobec Fiony Task-Felder, podobnie jak Thierry zawinił wobec tak wielu... nie potrafię sensownie tego wytłumaczyć.

Nikt też tego nie zrozumie, nawet ja sam, ale gdy umrę, chciałbym, by moje ciało zostało złożone w Komorze razem z moją siostrą, z Williamem i, przebacz mi, Boże, nawet z Thierryem, Robertem, Emilią oraz całą resztą głów...

W absolutnej Ciszy.